



LUDZIE TO
TOWAR, NA
KTÓRYM MOŻNA
ZAROBIĆ MILIONY,
WYKORZYSTAĆ
I WYRZUCIĆ,
GDY SIĘ ZEPSUJE

Marcin
MARGIELEWSKI

**HANDLARZE
ARABSKICH
NIEWOLNIKÓW**

Prószyński i S-ka

Książka, którą trzymacie w dłoniach, powstawała na przestrzeni kilkunastu miesięcy i stanowi swoisty epilog dla trylogii o arabskich niewolnikach. Podobnie jednak jak w przypadku poszczególnych jej części, których nie trzeba czytać w określonej kolejności, stanowi zamkniętą całość. Jeśli chcecie poznać kulisy okrutnego i rozrywającego serce procederu handlu ludźmi na Bliskim Wschodzie, po prostu sięgnijcie po wszystkie tytuły z tej serii w wybranym przez siebie porządku.



Marcin
MARGIELEWSKI



HANDLARZE
ARABSKICH
NIEWOLNIKÓW

Prószński i S-ka

Copyright © Marcin Margielewski, 2023

Projekt okładki
Michał Kubacki

Zdjęcie na okładce
© Riccardo Mayer/Shutterstock

Redaktor prowadzący
Michał Nalewski

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Maciej Korbański

ISBN 978-83-8352-533-4

Warszawa 2023

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Prolog

Napisanie trylogii o współczesnych niewolnikach, których zły los rzucił do krajów Zatoki Perskiej, wymagało ode mnie mnóstwa siły i wycisnęło z moich oczu sporo łez. Mimo upływu czasu echa historii młodych dziewczyn zmuszanych do prostytucji, kobiet służących w arabskich domach i robotników pracujących w nieludzkich warunkach przy wznoszeniu zachwycających arabskich budowli wciąż nie milkną w mojej głowie. Wiem też, że są one żywe w myślach tych, którzy przeczytali te opowieści. Spędziłem wiele godzin, rozmawiając o nich z osobami, które nie potrafiły zatrzymać w sobie tych emocji, musiały się nimi podzielić. Całkowicie to rozumiem.

Niedługo po tym, jak ostatnia książka z tej serii trafiła do księgarń, podjąłem decyzję, że to nie będzie koniec. Nigdy nie mówiłem o tym głośno, bo nie miałem pewności, czy szaleńczy plan napisania epilogu dla tych historii – skupionego wokół handlarzy ludźmi – w ogóle się powiedzie, ale od początku czułem, że warto spróbować.

Osoby, które żyją na skraju ubóstwa, są łatwym łupem i niestety nietrudno je zniewolić. Wpadają w pułapki tych, dla których człowiek to towar – taki sam jak samochód, buty czy margaryna. Nie musimy długo szukać, by znaleźć takich ludzi również wokół siebie. Tych, którzy z ubóstwa wpadli w spiralę długów i ratując się chwilówkami, nie potrafili się z nich wydostać. I tych, którzy podpisali niekorzystne umowy, chcąc spełnić marzenia o mieszkaniu, albo pozbyli się nieświadomie dachu nad głową, próbując zapłacić za leki.

Handel ludźmi jest wszechobecny. Choć historie z tej książki wydarzyły się tysiące kilometrów od Polski, są bardzo uniwersalne i warto dostrzec w nich coś więcej niż tylko oskarżenie wobec sprawców tych nieszczęść, zastanowić się, gdzie kończy się człowieczeństwo, a zostaje już tylko okrucieństwo.

Wiedziałem, że będzie to dla mnie jedno z trudniejszych, o ile nie najtrudniejsze zadanie. Podjęcie dialogu z tymi, którzy parają się handlem ludźmi, wydawało mi się wręcz niemożliwe. Nie mam takich znajomych (przynajmniej tak mi się wydawało), nie mam na tyle odwagi (albo nie miałem okazji jej sprawdzić), a przede wszystkim nie wiedziałem, jak się do tego zabrać...

Zanim zaplanowałem podróżę, w każdym z miejsc na swojej liście umówiłem spotkanie, które miało mi pomóc zebrać materiał. Nawet snując najśmielsze wizje, nie mogłem się jednak spodziewać, że spotkam osobę, która została przemycona ze swojego kraju w kontenerze, poznam tajniki wchodzenia w seksbiznes, dostanę propozycję rekrutowania niewolników – i że sam, zupełnie nieświadomie, stanę do zakupów w agencji handlującej ludźmi i będę miał okazję rozmawiać z osobami brutalnie okaleczonymi tylko po to, by bardziej nadawały się do pracy.

To było jak jazda na rollercoasterze. Zbieranie historii, które stały się treścią tej książki, trwało długo i było bardzo wymagające, ale mam wrażenie, że niezwykle potrzebne. I choć czuję ogromną satysfakcję, że się udało, mam też w sobie ogromny smutek – bo spisane tu słowa nie zmienią losu moich bohaterów. Nie są w stanie im pomóc, odmienić ich życia... Mogę mieć tylko nadzieję, że w jakiś sposób przywrócą im godność, by nie byli tylko anonimowymi, zapomnianymi przez świat ofiarami.

CZEŚĆ I
PROSTYTUCJA

ROZDZIAŁ 1

Hotel Moskwa

Bywają w Dubaju dni, kiedy imponujące drapacze toną w nisko piętrzących się chmurach. Z ziemi wygląda to tak, jakby ktoś skrócił je nagle przynajmniej o jedną trzecią. W czasie burz piaskowych też znikają z horyzontu. Oczywiście nadal tam stoją, ale trudno dostrzec coś więcej poza ich mglistymi zarysami, a czasami nawet i one rozplývają się w nicości.

W dniu, w którym po długiej przerwie spowodowanej pandemiczną zawieruchą dotarłem do Dubaju, wciąż jeszcze dawało się odczuć skutki niedawnej burzy piaskowej. Dumnie prężące się zwykle kontury miasta spowijał pustynny pył, a rzeczywistość przybrała rdzawopomarańczowe barwy. Mimo że widziałem to już wcześniej wiele razy, byłem tym fascynującym zjawiskiem zupełnie pochłonięty. Jest w nim coś przejmującego, niemal narkotycznego. Trudno oderwać od niego wzrok, choć tak naprawdę jedyne, co widać, to wirujące w oddali mocno przybrudzone tło. Tak spędziłem pierwsze godziny. Nie mogłem się oprzeć skojarzeniom ze scenami z postapokaliptycznych filmów i myślom o końcu świata. Jakby ten miał nastąpić już za chwilę...

Wiedziałem z prognoz, że najdalej następnego dnia pył opadnie, a Dubaj znowu odsłoni swoje prawdziwe, lśniące w blasku słońca oblicze, odzyskując dominację nad przypadającym mu skrawkiem nieba. W tamtej chwili nic jednak tego nie zwiastowało.

W mojej głowie pojawiła się wtedy jeszcze jedna myśl. Ta złowroga scenografia jest swego rodzaju metaforą zjawiska, które mnie tam ściągnęło. Wróciłem, by kolejny raz przyjrzeć się z bliska zjawisku prostytutki – tym razem od strony tych, którzy ją w tym mieście organizują, i zrozumiałem, że jest z nią dokładnie tak jak ze słynnymi budowlami

w dni, w które spowija je mgła lub piach. Wiemy, że istnieje, jest powszechna, a nawet czyni Dubaj słynnym, ale jej nie widać, bo znika w mroku, za zakrętem, za szczelnie zamkniętymi drzwiami, w pyle pustynnej burzy. Mimo że jest obok, dosłownie na wyciągnięcie ręki, można udawać, że jej nie ma. I większość tak właśnie woli. Tak jest bezpieczniej...

Biorąc pod uwagę oficjalne statystyki, w Dubaju mieszka trzy razy więcej mężczyzn niż kobiet. Spora ich część przyjechała tam wyłącznie do pracy i nawet jeśli ma ułożone życie rodzinne, tu żyje samotnie. To dotyczy zarówno ściąganych dziesiątkami tysięcy nisko opłacanych robotników, jak i cieszących się wysokimi zarobkami przedstawicieli świata zachodniego.

Jeśli dodamy do tego fakt, że Dubaj aspiruje do miana jednej z najciekawszych atrakcji turystycznych na świecie, możemy się spodziewać, że prostytutka jest jedną z najszybciej rozwijających się gałęzi tutejszego przemysłu. Bez niej trudno rozwijać turystykę, bez niej trudno pielęgnować też miano miejsca atrakcyjnego do relokacji i rozwijania kariery.

Choć oficjalnie nikt oczywiście jej tutaj tak nie traktuje, dla władz Dubaju jest bardzo ważna, również dlatego, że żyje z niej wiele tysięcy ludzi, i to nie tylko tych, którzy faktycznie uprawiają seks za pieniądze. Działający z ukrycia sutenerzy i handlarze prostytutek to w Dubaju całkiem popularne zawody, a parają się nimi często osoby, które trudno byłoby o to posądzać. Na prostytutce zarabiają też kluby, ich ochroniarze, kierowcy, taksówkarze – no i oczywiście hotele. Ponieważ nie ma oficjalnych danych, trudno szacować, jak ogromne sumy przynosi Dubajowi handel żywym towarem, ale pewnym jest, że gdyby nagle skutecznie zwalczono prostytutkę (tutejsze władze twierdzą, że już się to stało), na pewno poważnie odbiłoby się to na jego finansach.

Już pierwszego dnia po przylocie czeka mnie jedyne umówione wcześniej spotkanie. Nie mam czasu do stracenia, bo jeśli nie przyniesie ono oczekiwanego efektu, będę musiał poważnie improwizować, a nawet nie wiem, od czego zacząć. Los tej książki od początku do końca wisi na włosku. Jeszcze nigdy tak niewiele ode mnie zależało. Byłem skazany na

szczęście, na łaskę tych, którzy bardzo niechętnie rozmawiają o tym, co robią.

Jeden z moich dobrych znajomych z czasów, gdy mieszkałem w Emiratach, jest teraz moją ogromną nadzieją. Abd (tak naprawdę Abdullah, ale nikomu się tak nie przedstawia) żyje tam nadal i pewnie już nigdy nie wróci do swojego rodzinnego Libanu. Jest tu niezłe ustawiony i wie, że wyjazd z Dubaju byłby błędem. To, w jaki sposób zbudował swoją pozycję, jest zupełnie inną sprawą i tematem, którego zdecydowanie nie powinno się poruszać głośno. Nawet mnie nigdy o tym nie powiedział – ale wkrótce i tak poznam prawdę.

Abd, choć przemiły, przyjacielski i uczynny, zawsze był niegrzecznym chłopcem i od samego początku wiedziałem, że jeśli jest wśród moich znajomych ktoś, kto może poznać mnie z osobami znającymi kulisy dubajskiej prostytucji, to tylko on. Choć gdy się do niego odezwałem, a on zapewnił, że jest w stanie mi pomóc, nie do końca wierzyłem, że do tego dojdzie. Szczerze mówiąc, nawet po spotkaniu, na które się umówiliśmy, nie miałem pewności, czy Abd na pewno zrozumiał, o co mi chodzi.

Zupełnie niezobowiązujący Starbucks w Mall of the Emirates był kiedyś miejscem, od którego zaczynałem niemal każdy dzień, ale to nie ja zaproponowałem, by spotkać się właśnie tam. Tę decyzję zostawiłem Abdowi. Wiedziałem, że nie będzie sam, a że nie miałem pojęcia, kto ma mu towarzyszyć, wolałem, by to on dyktował warunki.

To miejsce zupełnie zwyczajne, dalekie od dubajskiego splendoru, choć znajduje się w jednym z najbardziej znanych centrów handlowych na świecie. To tu mieści się słynny stok narciarski, który wciąż jednym tchem wymienia się wśród największych atrakcji Dubaju obok najwyższego budynku na świecie i sztucznie usypanych wysp. Możliwe, że concept jeżdżenia na nartach na środku pustyni, nawet gdy termometry wskazują powyżej pięćdziesięciu stopni Celsjusza, wciąż jest działającym na wyobraźnię milionów surrealizmem. Ale co w Dubaju nim nie jest. Panuje tu wszechobecny kapitalizm na sterydach i wypłowiały islamski konserwatyzm zlepione ze sobą na siłę i nie bez pęknięć niewyobrażalnymi fortunami tych, którzy albo się w Dubaju urodzili, albo postanowili tam żyć.

Abd wpada spóźniony, zauważa mnie, uśmiecha się, macha, ale po drodze zamawia jeszcze dwie kawy. Robi to w sposób, który bardziej przypomina

wydawanie rozkazów. Jedna jest dla niego, druga dla niskiej eleganckiej Azjatki, która wyłania się z jego wypracowanej na siłowni sylwetki, chociaż początkowo nie jestem pewien, czy faktycznie przyszli tu razem. Równie dobrze mogliby się nie znać, bo Abd nie zwraca na nią szczególnej uwagi. Podchodzi do mnie i rozkłada ramiona do uścisku. Jest w barkach zdecydowanie większy niż wtedy, gdy widzieliśmy się ostatni raz, i choć czas lekko odcisnął się na jego twarzy, włosów ma więcej niż ostatnio. Abd zauważa, że się im przyglądam.

– Dam ci namiary! – Śmieje się, przyglądając nażelowaną czuprynę, po czym klepie mnie po łysej czaszce.

– Koniecznie – mówię z chyba niewystarczająco wyczuwalnym sarkazmem, bo Abd natychmiast przystępuje do opowiadania mi o swoich przygodach z przeszczepem włosów w tureckiej klinice, reklamując ją z takim zaangażowaniem, jakby płacili mu prowizję za każdego zrekrutowanego klienta.

O poprawianiu urody w klinikach w Turcji krążą bardzo różne opinie. Zwolennicy i przeciwnicy dzielą się mniej więcej po równo, a obok opowiadanych przez influencerki na Instagramie koszmarów, jak widać, niektórzy odnoszą też sukcesy. Na szczęście po kilku minutach tyrady Abd przypomina sobie o tym, że nie przyszedł tu sam, i przedstawia mi wciąż trzymającą się z tyłu Youli.

Nie wiem, czy to jej prawdziwe imię, ale przez lata rozmów z przeróżnymi ludźmi, często anonimowymi, nauczyłem się, że nie imiona, a historie są w nich najważniejsze. Nie jestem tylko pewien, czy ta, którą mam usłyszeć, będzie prawdziwa. Nie mam jednak na razie możliwości, by to sprawdzić. Youli podobno pochodzi z Singapuru, choć już po powitaniu mam co do tego wątpliwości. Ale to też na tym etapie nie ma dla mnie większego znaczenia.

– Youli wszystko ci opowie, jest bizneswoman – anonsuje ją Abd.

Kobieta jednak nie wygląda na zbyt rozmowną. Poza swoim imieniem i zwyczajowym *Nice to meet you* od początku spotkania nie powiedziała jeszcze nic. To zmienia się dość szybko, gdy przechodzimy do konkretów. Okazuje się, że słowo „bizneswoman” jest tu kluczowe. Youli ewidentnie przyjechała tu zrobić interesy.

– Chcę napisać o tym, jak dziewczyny w Dubaju trafiają na rynek prostytutki, ale pragnę poznać historie handlarzy, porozmawiać z kimś, kto

je zatrudnia, kto wie, jak to wszystko działa od kuchni... – przechodzę do konkretów.

Youli się uśmiecha.

– Ja wiem. Ja zatrudniam. Mówię wszystko. Pieniądze najpierw – oświadcza oszczędnym angielskim z silnym azjatyckim akcentem i typową dla Azjatów gramatyką.

Początkowo nie łapię, o co jej chodzi, ale wkrótce dociera do mnie, że Youli chce zapłaty za informacje. Postanawiam jednak udawać, że nie zrozumiałem.

– Jakie pieniądze? Ja nie chcę wynajmować dziewczyn, tylko o nich porozmawiać.

– Ty nie płacisz za dziewczyny, za rozmowę płacisz.

– Za rozmowy nigdy nie płacę. Dziennikarze tak nie robią – odpowiadam, choć w tym momencie już wiem, że bez zapłaty prawdopodobnie nie uda mi się ruszyć tego tematu.

– Normalnie pięćdziesiąt tysięcy dirhamów... Ale Abd jest przyjacielem, ty płacisz dziesięć i jest okej – mówi Youli, twardo trzymając się swego.

Jestem zaskoczony tymi warunkami, nawet przy tak hojnym rabacie. Nie pierwszy raz ktoś próbował sprzedać mi informacje, ale do tej pory jeszcze nikomu się to nie udało. W moim kodeksie nie ma czegoś takiego jak płacenie za wywiad, to niemoralne – za pieniądze można przecież powiedzieć wszystko. Wśród osób, które chciały opowiedzieć mi swoje historie, było sporo takich, które jak Youli niemal na samym początku próbowały ustalić cenę. I do tej pory właśnie w tym miejscu kończyły się nasze rozmowy. Ale czy w tej sytuacji mogę sobie na to pozwolić?

– Nie mogę zapłacić, dziennikarze nie płacą za wywiady – powtarzam.

Youli wydaje się nieprzejednana.

– Płacą – protestuje. – Oprah płaci księciu Harry’emu i Megan.

Jestem pod wrażeniem kalibru tego porównania. Harry i Megan faktycznie zrobili z opowiadania o swoim życiu intratny sposób na zarabianie pieniędzy, ale to tandetny show-biznes. Dziennikarstwo wciąż jeszcze trzyma standardy i nie płaci za wywiady.

– Nie mogę zapłacić, to nie byłoby uczciwe – upieram się.

– Nie ma pieniędzy, nie ma rozmowy – kwituje Youli z wyraźnym fochem.

Ogarnia mnie poczucie bezsilności. Nagle zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy zabrałem się za temat, przy którym trudno będzie ruszyć z miejsca bez płacenia za informacje. Przecież chodzi o osoby, które dla pieniędzy są w stanie pozbyć się sumienia i handlować ludźmi jak zwykłym towarem. O ludzi, którzy dla pieniędzy potrafią zmuszać innych do seksu, robić z nich niewolników w pracach domowych i na budowach. Zarabiać na ludzkim nieszczęściu bez najmniejszych skrupułów. Dla pieniędzy zrobią wszystko – bez nich nie zrobią niczego. Wątpię, by było tu pole do jakichkolwiek negocjacji. Może lepiej jednak porzucić ten temat?

Abd próbuje rozluźnić zgęstniałą atmosferę. Rozmawiamy już tylko my dwaj. Youli, wyraźnie niezadowolona z obrotu spraw, milczy, raz po raz spoglądając na zegarek. Gdy w końcu spotkanie dobiega końca, żegna się ze mną, ewidentnie obrażona. Próbuje mnie ignorować, ale ja staram się zachowywać jakby nigdy nic i podaję jej rękę. Odwzajemnia uścisk z niechęcią. Oboje jesteśmy przekonani, że to nasze ostatnie spotkanie. I żadne z nas nie wie, że tak nie jest.

Do hotelu wracam po kilku godzinach włóczenia się po centrach handlowych. Nie miałem w planach zakupów, ale przytrafiły mi się jakoś tak bezwiednie. Powinienem już wiedzieć o Dubaju to, że zakupy potrafią się tu przydarzyć bez planowania. W sumie, skoro mam wrócić do Polski bez książki, mogę przynajmniej kupić kilka zbędnych, ale poprawiających humor drobiazgów.

Ciągle nie mogę się pogodzić z tym, że temat nie wypali. A może po prostu powinienem umówić się z jakąś prostytutką i poprosić o kontakt z jej sutenerem? W *Modelkach z Dubaju* moją przewodniczką po tym świecie była Monika, dziewczyna, która trafiła do branży przypadkiem – a zaraz potem trafiła też w ręce sutenerów. Wiem, że dotarcie do nich jest trudne, a często wręcz niemożliwe. To biznes, którym operuje się zza kulis albo przy pomocy ludzi, których łatwo wymienić na nowych. Takich, których pozycja i pozorny awans społeczny spowodują, że udowodnienie im winy będzie znacznie łatwiejsze. Tacy ludzie działają jak wędka – dopóki nie urwie się szałwik. Kiedy tak się stanie, należy ją porzucić i wziąć nową. W przypadku, gdy sutenerski biznes wpada w ręce policji, rzadko odpowiadają za niego ci, którzy faktycznie na nim zarabiają. Za kraty trafiają najczęściej nic nieznaczące, choć przekonane o swojej mocy płotki.

Przeprowadzenie wywiadu z sutenerem w Dubaju. W miejscu, w którym oficjalnie nie ma zjawiska prostytucji, choć nieoficjalnie jest ona widoczna na każdym kroku. Tak, wiem, jak to brzmi. Pewnie szybko skończyłbym z wybitymi zębami, a w najlepszym razie w areszcie, wrobiony w próbę gwałtu. Pomysł jest niedorzeczny, ale to jedyny, jaki wpada mi do głowy. Okazuje się jednak, że nie muszę go realizować, bo przed wieczorem dzwoni do mnie Abd.

– *Hello, my friend!* Idziemy wieczorem do Red Square. Pójdiesz z nami – oświadcza, nie pytając, co o tym myślę. – Youli też będzie, chce cię zobaczyć. Chyba się jej spodobałeś!

Youli? Ta sama Youli, która przez blisko godzinę siedziała naprzeciwko mnie w zblazowanej pozie ze skwaszoną miną. Ta Youli?

Nie protestuję jednak. Wyjście w ich towarzystwie daje mi chociaż cień szansy na to, że mój wyjazd nie okaże się kompletnym fiaskiem. Nigdy wcześniej nie słyszałem o Red Square w Dubaju. Plac Czerwony. W Polsce to hasło nie niesie ze sobą dobrych skojarzeń, a gdy się okazuje, że to dyskoteka w hotelu Moscow – Moskwa – mam już komplet negatywnych konotacji. Wkrótce ma się okazać, że to dopiero początek.

W swojej sytuacji nie bardzo mam przestrzeń na wybrzydzenie, poza tym jestem zwyczajnie ciekawy, co się wydarzy. Wydawało mi się, że po fiasku spotkania i negocjacji z Youli Abd porzuci temat, ale nie doceniłem jego ambicji.

Hotel Moskwa znajduje się w Dierze, starej dzielnicy Dubaju, eksplorowanej raczej tylko przez tych turystów, którym do szczęścia nie wystarczy gruba warstwa złota, jakim pokryty jest nowy Dubaj, i chcą ją nieco zdrapać. W Dierze można przenieść się w czasie o co najmniej dwie dekady, a wspomniany hotel gwarantuje podróż także w przestrzeni. Radziecki prestiż znany z krajów, które znajdowały się w komunistycznej strefie wpływów. Przepych w najgorszym guście. Wszystko niby na bogato i pewnie za duże pieniądze, ale bolesne dla każdego, kto ma choć szcątkowe wyczucie stylu. Okazuje się jednak, że ludzi kompletnie go pozbawionych jest dość sporo, bo hotel i jego słynny plac Czerwony ściągają wieczorami prawdziwe tłumy. Kiedy docieram na miejsce, mam wrażenie, że chyba tylko mnie ominęła jego sława. Wypatruję Abda, jednak bezskutecznie. Okazuje się za to, że ktoś inny ma na mnie oko.

– *Martin? Hello...* – słyszę za plecami znajomy głos.

Odwracam się zaskoczony. Przede mną stoi Youli. Uśmiechnięta, z wyciągniętymi w moim kierunku rękami gotowymi do uścisku. Podchodzę i pochylam się, a ona obejmuje mnie czule, całując w policzek, po czym delikatnie ściera ślad szminki z mojej skóry.

Przez chwilę się zastanawiam, czy w konsekwencji zaniku pamięci umknęło mi coś, co zmieniło jej podejście do mnie. Kiedy widzieliśmy się wcześniej, była na mnie wyraźnie obrażona, tak naprawdę nawet się ze mną nie pożegnała. A teraz wita mnie, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi. Jeszcze kilka takich sytuacji, a o schizofrenię nie będę podejrzewał Dubaju, a samego siebie.

Youli wygląda zdecydowanie inaczej niż w Starbucksie. Tam była dyskretnie elegancka, teraz jest prawdziwą gwiazdą. Szpilki, na oko dwunastocentymetrowe, sprawiają, że jest nie tylko wyższa, ale i wzbudza podziw. Idealnie dopasowana czarna sukienka, sama w sobie dość skromna, w połączeniu z biżuterią tworzy trudną do zignorowania całość. Jej fryzura, na pewno też inspirowana gwiazdami ze światowych czerwonych dywanów, dopełnia wizerunku. Youli ewidentnie ma świadomość, że robi wrażenie.

Ciągle nie mogę się otrząsnąć ze zdziwienia. Skąd ta nagła zmiana?

– Chodź, wszystko już zapłacone. – Youli chwyta moją dłoń i ciągnie mnie za sobą.

Ignorujemy kilkusobową kolejkę i wchodzimy do tętniącego muzyką klubu. Ciasno tu, ale chyba jest to jeden z sekretów popularności tego miejsca. Znam wiele klubów w Dubaju, ten mocno się od nich różni. Nie chciałbym kategoryzować ludzi, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że goście tego miejsca nie należą do najbardziej wymagających, co nie zmienia faktu, że wszyscy zdają się doskonale bawić.

– Poznam cię z moimi dziewczynami – rzuca Youli, po czym rusza przed siebie.

Uznaję to za znak, że mam podążyć za nią. Przedzierając się przez parkiet pełen roztańczonych ludzi, docieramy do skraju baru, gdzie siedzą trzy skąpo ubrane młode dziewczyny. Dwie z nich, smukłe i dość wysokie, mają ciemną skórę, trzecia jest Azjatką, która niższy wzrost nadrabia przedłużanymi blond włosami. Youli przedstawia mi każdą z nich, ale nie jestem w stanie dosłyszeć ich imion. Dwie zresztą bardzo szybko znikają mi z oczu. Chwilę później Youli również odchodzi, zostawiając mnie

w towarzystwie jednej z ciemnoskórych dziewcząt. No tak, teraz przydałoby się pamiętać jej imię.

– Co chcesz robić? – pyta, zbliżając usta do mojego ucha, gdy zostajemy sami.

– Porozmawiać – odpowiadam natychmiast, by uniknąć nieporozumień.

– No tak, Youli mówiła, że będziesz chciał rozmawiać...

– Jesteś zdziwiona?

– Klientom z reguły nie zależy zbyt na rozmowie.

– Ja nie jestem klientem.

– No tak, ty jesteś od Abda... – mówi zniesmaczona, dodając niemal bezgłośnie: – *Bastard!*

Ewidentnie za nim nie przepada. Zastanawiam się tylko dlaczego. Abd wydaje się bardzo lubiany, zwłaszcza przez kobiety, chociaż nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością. Nie widzieliśmy się kilka lat, w jego życiu ewidentnie zaszły spore zmiany. Ja zawsze go lubiłem, ale być może zasłużył sobie na taką recenzję.

– Nie lubicie się? – pytam, korzystając z okazji.

W odpowiedzi dziewczyna spuszcza głowę, jakby spłoszona. To dla mnie sygnał, by nie ciągnąć tematu. Wciąż jednak nie do końca rozumiem, co się wokół mnie dzieje. Abd najpierw kontaktuje mnie z Youli, ta chce sprzedać mi informacje, a gdy to się nie udaje, zachowuje się z niechęcią, po czym zmienia się w przyjaciółkę, by chwilę później zniknąć, zostawiając mnie w towarzystwie dziewczyny, która, jak się domyślam, dla niej pracuje. Nie raz już się przekonałem, że w takich sytuacjach najlepszą strategią jest udawanie niewinnego i nieświadomego zdarzeń.

– Więc... co porabiasz w Dubaju? – pytam, choć przecież doskonale wiem.

– Dobrze się bawię – odpowiada dziewczyna, ale nie brzmi zbyt przekonująco.

– Przepraszam, nie chcę udawać... nie dosłyszałem twojego imienia – przyznaję, by uniknąć krępującej sytuacji.

– A jednak masz w sobie coś z klienta. Oni też przywiązują średnią uwagę do imion. Abi. – Dziewczyna wyciąga w moją stronę długą, smukłą rękę.

Jedyne, co mi pozostaje, to wykorzystać sytuację i dowiedzieć się od Abi możliwie najwięcej. Wiem już, że nie jest przyzwyczajona do rozmów z klientami, ale skoro mam nim być, na pewno nie będę tym typowym.

Czas mija nam na krępującej i nic niewnoszącej rozmowie, którą utrudnia głośnie muzyka. W końcu to klub nocny, rozmawiają tu tylko desperaci.

– Masz ochotę coś zjeść? – pytam po dłuższej chwili.

– W sumie nie jadłam od południa – stwierdza Abi. – Zaraz umrę z głodu.

– Nie możemy na to pozwolić. – Uśmiecham się. – Chodź...

Próbując dostać się do wyjścia, zaczynamy przeciskać się przez roztańczony tłum, co momentami jest ryzykowne. Tuż przed nim zatrzymuje nas korek spowodowany awanturą, a właściwie interwencją policji. Dwóch emirackich funkcjonariuszy próbuje dyskutować z agresywnym postawnym mężczyzną. Przed energiczną gestykulacją, którą mundurowi bez większej przesady mogliby uznać za atak, agresora próbują powstrzymać jego koledzy. Mężczyzna mówi głównie po rosyjsku, czasem tylko wtrącając angielskie słowa. Wrzeszczy, że ta dziwka go okradła, że on tylko się bronił...

Rozumiem rosyjski, więc szybko się orientuję, że w całą tę sytuację zaangażowana jest jeszcze jedna osoba. Pośród tłumu dostrzegam klęczącą na podłodze w błagalnej pozie drobną rozhisteryzowaną Azjatkę w czerwonej, połyskującej poliestrem sukience. Jest rozczochrana, ma rozmazany makijaż i krew na twarzy, choć trudno określić, skąd płynie. Dziewczyna zanosi się od płaczu i próbuje coś mówić, ale jedyne, co udaje się dosłyszeć, to jej histeryczne *sori, sori*.

Z jednej strony chcę już stamtąd wyjść, z drugiej zżera mnie ciekawość, jaki finał będzie miała ta historia. Mamy tu ewidentnie pobitą dziewczynę – ofiarę zwalistego, pijanego w sztok faceta, gotowego do bójki z każdym, kto stanie na jego drodze. Obaj policjanci razem wzięci tylko nieznacznie przewyższyliby go wzrostem, a na pewno nie dorównaliby jego wadze, co mężczyzna ewidentnie widzi i nie zważając na ich funkcje, siarczyście im ubliża. Jego szczęście, że po rosyjsku.

Gdybym miał obstawiać, kto tu ma większe kłopoty, postawiłbym na Rosjanina, ale przecież rzecz się dzieje w Dubaju. Wprawdzie facet jest zalany, co daje policjantom powód do aresztowania, ale niemal na pewno ujdzie mu to płazem. Chwilę później funkcjonariusze decydują się na ostateczny krok. Podnoszą z podłogi zapłakaną dziewczynę i zakładają jej kajdanki, po czym wyprowadzają z lokalu. Azjatka nie ma już siły i płacze niemal bezgłośnie. Zniecierpliwiony tłum, który utknął przed wyjściem, napiera teraz do przodu, niemal wypychając mnie i Abi z klubu.

Pospiesznym krokiem wychodzimy z hotelu Moskwa, akurat gdy policjanci odjeżdżają ze swoją aresztantką.

Z ulgą ruszamy wzdłuż ruchliwej mimo późnej pory Al Maktoum Road.

– Często zdarzają się tu takie sytuacje? – zagaduję swoją towarzyszkę.

– Często! I niemal zawsze awanturują się Rosjanie. Czasami zdarzy się Arab, ale Ruscy przodują. I zawsze twierdzą, że ktoś ich okradł, a sami przepierdalają kasę na alkohol, bo nie mają umiaru. Nie wiedzieć czemu jest ich tu ostatnio więcej niż wcześniej...

– Naprawdę nie wiesz dlaczego?

– Nie...

Jestem zdumiony brakiem świadomości Abi, ale widzę, że mówi szczerze.

– Ruscy najechali Ukrainę, a Zachód nałożył na nich sankcje – tłumaczę.

– Emiraty to jedno z nielicznych miejsc, gdzie są przyjmowani bez problemów. Kiedy większość światowych linii lotniczych ograniczyła swoje loty do Rosji, Emirates niemal podwoiły ich liczbę.

Jak widać, nie wszyscy tu nawet wiedzą, że Rosjanie to okrutni mordercy zarządzający Ukraincom rzeź. I co ciekawe, mimo że mordują i kradną, twierdzą, że to oni są napadani i grabieni. Dokładnie tak jak tutaj, wiecznie w roli ofiary...

Rozmawiamy niedługo po tym, jak świat obieży informacje o ludobójstwie w Buczy, ale te wieści najwyraźniej tu nie dotarły, bo Abi nie potrafi się odnieść do moich rewelacji. Mam wrażenie, że nawet nie bardzo wie, czym jest Ukraina, być może słyszy tę nazwę po raz pierwszy. Trudno zatem, by pojęła, jak symbolicznej sceny była świadkiem. Agresywny Rosjanin pobił kilkakrotnie mniejszą od siebie kobietę w hotelu Moskwa, w klubie o nazwie Plac Czerwony. Cóż za ironia losu.

– Zawsze zatrzymują tylko dziewczyny? – pytam dalej.

– Nie zawsze tylko dziewczyny, ale dziewczynom nigdy nie odpuszczają. Jak pada słowo „dziwka”, to nie mają wyjścia. Oni nadal twierdzą, że w Dubaju nie ma prostytutki, a jak tylko się pojawia, to dzielni policjanci natychmiast ją zwalczają – mówi Abi z wyraźnym sarkazmem.

– I co z nią teraz będzie?

– Zależy, na kogo trafi. Może ją zgwałcą i pozwolą uciec. Może wsadzą na trochę do paki i wypuszczą albo deportują po odsiadce. Mogą też ją sprzedać. Znam kilka dziewczyn, które zmieniły właściciela po tym, jak

trafiły w ręce policji. Tutaj prawo jest uznaniowe. Niby są reguły, ale wszystko zależy od tego, kto je stosuje.

Skręcamy z Al Maktoum Road w jedną z bocznych uliczek. W tej okolicy jest sporo świetnych knajp z kuchnią syryjską, libańską i indyjską. Bez trudu odnajduję libańską, którą pamiętam jeszcze z dawnych czasów. Zawsze polecam ją wszystkim, którzy szukają czegoś więcej poza sztucznym dubajskim przepychem.

– Myślałam, że pojedziemy do Downtown. – W głosie Abi słyszę zawód.

– Umierasz z głodu, nie mogłem ryzykować. – Uśmiecham się. – Wierz mi, warto.

Dziewczyna nie protestuje. W tym niejasnym układzie została dziś zwolniona z typowych obowiązków na rzecz rozmowy ze mną, co chyba jest jej na rękę, nawet jeśli klient z Zachodu tym razem jest dla niej rozczarowaniem, bo nie płaci. Z drugiej strony jest prostytutką pracującą w hotelu w Dierze – raczej nie powinna mieć wysokich oczekiwań. Przynajmniej nie takie, jakie mają modelki z najdroższych klubów w mieście.

– Powiesz mi, co tu się dzieje? – pytam, gdy czekamy na jedzenie.

– Ty mi powiedz...

– Ja przyjechałem tu w nadziei, że uda mi się dowiedzieć czegoś o handlarzach dziewczynami – wyznaję, zniżając nieco głos.

– To dobrze trafiłeś.

– No ale... wybacz bezpośredniość, ty chyba jesteś towarem, a nie sprzedawcą.

– A myślisz, że którykolwiek z tych skurwysynów opowie ci o swojej pracy? I tak masz szczęście, że Youli cię nie pogoniła.

– Próbowwała. Chciała ze mną rozmawiać za kasę, ale ja nie płacę za informacje, więc była bardzo zła. Ale potem nagle zupełnie zmieniła podejście. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Ja wiem. Youli jest zakochana w Abdzie. Zrobi dla niego wszystko. Pewnie ją opierdolił... Nigdy mu się nie sprzeciwi, chociaż udaje, że to ona tu rządzi. A on ma w tym swój interes.

– A on jest jakimś bossem?

Abi prycha, po czym rzuca z wymuszonym śmiechem:

– Chciałby! Jest zwykłym ochroniarzem, to mu zapewnia niezłe kontakty, ale nie ma żadnej realnej władzy, ściąga od nas haracze. Po tym, jak wrobili

swojego szefa, zaczął budować własny biznes, ale to zwykły leszcz. Próbuje udawać ważniejszego, niż naprawdę jest. I jak widać po tobie, niektórzy dają się na to nabrać.

– Wrobili swojego szefa?

– No, zrobili go na szaro. W tym biznesie trzeba uważać. Najbardziej chyba skorzystała na tym Youli.

– A kim właściwie ona jest? Sutenerką? Nie wygląda na to, by poradziła sobie z handlem ludźmi, choć może jej nie doceniam. Abd przedstawił ją jako bizneswoman.

Abi znowu reaguje sztucznym śmiechem.

– Youli to była dziwka. Przywieźli ją tu lata temu z Indonezji.

– Mówiła, że jest z Singapuru...

– W Singapurze to ona co najwyżej się przesiadała w drodze do Dubaju. Miała szczęście, bo zaszła w ciążę z jednym z tych, którzy rządzą w tym biznesie, a on chciał tego dziecka. W takich sytuacjach ciążę z reguły kończą się tragicznie, ale dla Youli była to przepustka do lepszego życia.

– Lepszego życia?

– Youli awansowała i teraz zajmuje się ściąganiem kasy od nas i dbaniem, żeby żadna nie spędziła nocy bez klienta. I jest w tym bardzo skuteczna, potrafi wyhaczyć nawet nieprzytomnego Ruska i oskubać go z pieniędzy, a on jeszcze podziękuje...

– Nie wiedziałem, że istnieje taka rola.

– Przecież żadna z grubych ryb nie ryzykowałaby pilnowania dziwek w klubach. Mają swoich zaufanych ludzi. Najczęściej ochroniarzy albo były dziwki z syndromem sztokholmskim. Myślisz, że jak ten twój Abd dostał się do biznesu? Stał na wejściu do kilku klubów i koledzy go wciągnęli. To straszny skurwysyn.

– Ja go bardzo lubię.

– Bo nie miałeś okazji poznać go tak naprawdę...

Abi zawiesza głos, a ja się zastanawiam, czy powinienem kontynuować ten temat. Faktycznie lubię Abda i uważam go za miłego faceta. Sam fakt, że mogę porozmawiać z jedną z prostytutek, która, jak się okazuje, znajduje się w jego strefie wpływów, świadczy o tym, że jest bardzo uczynny. Obiecał, że mi pomoże, i choć jest to dalekie od moich wyobrażeń, mam poczucie, że spełnia swoją obietnicę.

– Jak trafiłaś do Dubaju? – zmieniam temat.

Abi się uśmiecha, bo chyba dostrzega w tym pytaniu mój wybieg. Jest wyjątkowo inteligentną dziewczyną, mówi świetnie po angielsku, a do tego jest bardzo ładna. Od chwili, gdy się poznaliśmy, zastanawiam się, kim mogłaby być, gdyby los nie sprawił, że utknęła w dubajskim seksbiznesie. Zresztą często mam podobne myśli, gdy spotykam osoby z krajów, w których ludzie od najmłodszych lat nie zastanawiają się nad tym, kim będą, gdy dorosną, bo wcale nie są pewni, że dorosną. Zamiast myśleć o dalekiej przyszłości, myślą o tym, jak przeżyć do następnego dnia.

Abi dziś wygląda jak normalna, wesoła dziewczyna. Choć mam świadomość, że to w dużej mierze poza, wiem też, że jej życie, jakkolwiek je oceniać, jest znacznie lepsze od tego, jakie wiodła jeszcze niedawno. Słuchając jej historii, zrozumiałem, dlaczego to właśnie ona została wybrana przez Youli do spotkania ze mną. Wie o handlarzach ludźmi więcej niż najbardziej doświadczone prostytutki pracujące w Dubaju. Była towarem przechodzącym z rąk do rąk aż sześć razy. Możliwe, że to dlatego codzienne sprzedawanie swojego ciała nie robi już na niej żadnego wrażenia.

ROZDZIAŁ 2

Shabin

Malawi jest bardzo biedne. Tak biedne, że tylko kilka procent społeczeństwa żyje tu za więcej niż dwa dolary dziennie, a dla większości nawet ta kwota to niedościgniony majątek. To miejsce, gdzie marzenia umierają równie często jak dzieci. Codziennie.

Ten mały kraj położony w południowo-wschodniej Afryce funkcjonuje w cieniu swoich znacznie potężniejszych, choć równie uwikłanych w problemy ekonomiczne sąsiadów – Mozambiku, Tanzanii i Zambii. Na jego terenie znajduje się piąte pod względem wielkości jezioro na świecie, zajmuje ono aż dwadzieścia procent terytorium kraju i jest głównym żywicielem dla ogromnej liczby jego mieszkańców. Mimo to Malawi przymiera głodem, a wola przetrwania prowadzi w tym kraju do masowych tragedii. Abi była ofiarą jednej z nich – jedną z wielu, bo to, co ją spotkało, jest udziałem mnóstwa dziewczynek urodzonych w tym malowniczym miejscu...

Moja babcia mówiła, że Malawi jest piekłem, które wygląda jak raj. Nie znałam jej długo. Umarła, gdy miałam około siedmiu lat, ale te słowa pamiętam bardzo dobrze. Pamiętam też, że gdy mnie przytulała, zawsze płakała. Dziś wiem, że opłakiwała mój los, bo choć miałam tak niewiele lat, już wtedy nie miałam szans na cokolwiek dobrego w przyszłości.

Ja, choć pracowałam na plantacji trzciny cukrowej od najmłodszych lat, przy całej swojej dziecięcej niewinności nie mogłam się tego spodziewać. Ona już to wiedziała. A potem odeszła. Gdyby żyła, pewnie nie potrafiłaby mnie uratować przed tym wszystkim, co nadciągało, ale może byłoby mi łatwiej. A może wcale nie... Może rozstanie z nią wtedy byłoby jeszcze bardziej bolesne. Wiedząc, że nie nękają jej już choroby ani głód, żyje mi

się lepiej, niż gdybym wiedziała, że wciąż cierpi, a ja nie jestem w stanie jej pomóc, bo nigdy więcej nie będzie nam dane się zobaczyć.

Z mojego życia zniknęła jedyna kobieta, na którą mogłam liczyć. Moja mama umarła, rodząc mojego o rok młodszego brata. On zresztą też przeżył tylko dwa miesiące. Dzieci w Malawi w ogóle mają małe szanse na przeżycie, ale te, które tracą matkę w wieku niemowlęcym, niemal żadnych. Statystycznie co piąte dziecko w moim kraju nie dożywa drugiego roku życia.

Nie mogłam pamiętać mamy. Byłam za mała, chociaż czasami wydaje mi się, że dobrze wiem, jak wyglądała, jak pachniała jej skóra, czuję jej oddech. Nie mam pojęcia, czy to zakodowane w niemowlęcym wieku sceny z czasów, gdy jeszcze chodziła po świecie, czy może moje karmione tęsknotą wyobrażenia.

Miałam ciotki, które mieszkały w tej samej wiosce, ale zapracowane i zajęte wychowaniem własnych dzieci nie były mną zbytnio zainteresowane. Miałam też trzy starsze siostry, jednak dwóch z nich też prawie nie pamiętam, bo zniknęły z naszego życia, gdy byłam naprawdę malutka. Znałam tylko Akuzike. Była ode mnie starsza o dwa lata. Ona też wyjechała nagle, ale zanim zniknęła, była dla mnie najbliższym członkiem rodziny po tym, jak zmarła nasza babcia.

Uczyła mnie wszystkiego, co musiałam wiedzieć, by być przydatną w obowiązkach domowych, ale choć sama była niewiele starsza, zawsze starała się wykonywać najtrudniejsze prace za mnie. Nasz ojciec, wujkowie i bracia zdawali się nas nie zauważać. To było w pewnym sensie błogosławieństwo, bo gdy zauważali, odbijało się to na nas bardzo boleśnie. Bili nas z byle powodu, jednak zawsze w szczerym przekonaniu o słuszności kary.

Akuzike dostawała znacznie częściej. Próbowała mnie chronić przed ciosami, niejedną z nich przyjęła za mnie. Powody niezadowolenia mężczyzn w naszej rodzinie bywały różne, choć najczęściej w ogóle ich nie potrzebowali. Nasi bracia byli naprawdę bardzo brutalni. Mam wrażenie, że utwierdzali się w ten sposób w poczuciu swojej męskości, choć bardzo prawdopodobne, że robili to też po to, by przypodobać się naszemu ojcu. On nigdy nie reagował, gdy nas atakowali, a często wręcz przyglądał się temu z aprobatą, jakby był dumny, że dobrze ich wychował.

Jeśli ktoś myśli, że trudne życie i bieda scalają rodzinę i sprawiają, że jej członkowie są dla siebie lepsi, to jest w dużym błędzie. Mimo że mój ojciec i bracia harowali od rana do nocy, a jeden z nich nawet zmarł z przepracowania na plantacji, wciąż nie potrafili znaleźć w sobie współczucia dla słabszych od siebie. Byli ofiarami i katami jednocześnie. Ich praktyczne niewolnictwo – bo jak inaczej nazwać pracę ponad siły w niegodnych warunkach za głodową pensję – paraliżowało w nich wszelkie ludzkie odruchy. Mimo morderczej orki w polu po powrocie do domu wciąż znajdowali energię na to, by znęcać się nade mną i Akuzike. Zupełnie jakby chcieli odreagować. Ukarać kogoś za swój koszmarny los. Codziennie bili nas kijami, które stały u wejścia do naszej chaty. Codziennie tak samo. Czasami mocniej, ale z reguły dobrze wiedziałyśmy, czego się spodziewać. Tak bardzo się do tego przyzwyczaiłyśmy, że gdyby któregoś dnia zrezygnowali z tego obowiązku, pewnie poczułybyśmy, że coś jest nie tak, że zrobiliśmy coś złego, że może nasi bracia już nas nie kochają, może stałyśmy się im obojętne.

Wiem, jak to brzmi, ale pojęłam to dopiero po czasie. Wtedy codzienne razy były dla mnie czymś oczywistym, całkowicie zasłużonym, wręcz oczekiwanym. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nasi bracia to robili, jednak zdawali się traktować to jak swój obowiązek, powinność, bez której porządek świata zostanie zaburzony. Byli przekonani, że robią to dla naszego dobra, zresztą my chyba też tak myślałyśmy. To rodzaj zniewolenia, który trudno wytłumaczyć racjonalnie, ale to wcale nie czyni go mniej realnym.

Tak, niewolnicą byłam od najmłodszych lat, długo zanim sprzedano mnie po raz pierwszy. I nigdy tak naprawdę nie byłam zupełnie wolna. Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy chciałabym być, czy potrafiłabym się w tym odnaleźć... Zresztą to chyba i tak raczej mi nie grozi.

Nasz ojciec swego czasu hodował krowy, ale w kraju takim jak Malawi to biznes równie ryzykowny co gra w ruletkę. Jego stado z roku na rok stawało się coraz mniejsze. Nie on zabijał trzodę, a susza, która każdego roku stawała się coraz bardziej bezlitosna, coraz bardziej okrutna. Krowy czyniła bezpłodnymi, nie cielily się, nie dawały mleka, a i mięsa z padliny było niewiele. Kiedy jego stado liczyło już tylko trzy zwierzęta, a i te ledwo trzymały się życia, próbując ratować majątek, wystawił je na sprzedaż. Kupcem mógł być tylko jeden człowiek, tylko jednego w naszej okolicy

stać było na taki wydatek. Oczywiście ojciec nie dostał za swoje krowy sumy, która znacząco zmieniłaby sytuację naszej rodziny, ale zawsze było to więcej, niż miałyby, gdyby padły one z głodu.

Krowy kupił pan Limbani, człowiek, który u jednych budził ogromny podziw, a u innych grozę. Były w naszej wiosce rodziny, które opinia na jego temat podzieliła tak, że w jego obronie ich członkowie byli gotowi nawzajem się pozabijać.

Już kilka dni po transakcji pan Limbani wrócił do wioski. O tym, że się w niej pojawił, wiedzieli wszyscy dzięki dźwiękom, które nieczęsto słychać było w okolicy. Limbani jeździł żółtym samochodem. Nie wiem, jakiej był marki, nie znam się na autach. To jego przez lata było jedynym, jakie widziałam. Samochód był bardzo głośny, więc pewnie nie był najwyższej klasy, ale jak na warunki panujące w wioskach Malawi to był absolutny szczyt luksusu.

O tej porze w okolicy zostały niemal wyłącznie kobiety. Mężczyźni pracowali w polu, nasi bracia i ojciec oczywiście też. W chacie byłyśmy same, tylko ja i Akuzike. Pan Limbani wszedł do domu, jakby był jego, zresztą jestem przekonana, że tak o nim myślał. Pamiętam, jak bardzo się go przestraszyłam. Bez słowa, za to z szyderczym uśmiechem, podszedł do nas tak blisko, że obie poczułyśmy jego tłuste, spocone ciało niemal przyklejone do naszych. Uskoczyłam do tyłu. Ustąpił mi, ale wciąż nacierał na Akuzike. Spojrzałam na nią. Miała zamknięte oczy, jakby bała się je otworzyć, i przygryzione wargi, by nie wydać z siebie żadnego przypadkowego dźwięku, który mógłby go sprowokować.

Nie wiedziałam, co powinnam zrobić, ale czułam, że nie mogę na to beczynn timer patrzeć. Wybiegłam przed dom i złapałam za jeden z kijów, którymi codziennie okładali nas bracia. Wróciłam z nim do chaty, ale zanim zdążyłam zamierzyć się na Limbaniego, ten wyrwał mi broń z ręki, spojrzał na mnie z rozbawioną miną i złamał kij jednym sprawnym ruchem. Następnie z triumfalnym uśmiechem pchnął mnie w kąt chaty i wyszedł.

Obie nie wiedziałyśmy, jak tragiczna w skutkach będzie ta wizyta. To były nasze ostatnie wspólne chwile. Niedługo potem Akuzike została zabrana z chaty. Bez ostrzeżenia i bez świadomości, że wyprowadza się z niej na zawsze. Nigdy więcej jej nie widziałam. Nawet nie zdążyłam się pożegnać. Nie wiedziałam, że powinnam.

Kilka godzin wcześniej żółty samochód Limbaniego podjechał pod plantację, na której pracował mój ojciec i bracia. Należała do niego, więc nie było to w żaden sposób zaskakujące. Limbani lubił składać niezapowiedziane wizyty na swoich włościach. Dawało mu to poczucie władzy, którą ewidentnie kochał ponad wszystko. Zawsze przyjeżdżał w dobrym humorze i obdarowywał wszystkich swoim szerokim uśmiechem, który im szerszy, tym więcej ubytków w uzębieniu zdradzał – i tym większe kłopoty zwiastował.

Limbani się uśmiechał, ale cały czas kontrolował otoczenie i rejestrował wszystko, co odbiegało od ustalonej przez niego normy. Po jego wizytach zawsze następowały porządki. Ludzie, którzy z jakichś powodów przykuli jego uwagę lub mu się narazili, byli odciągani od pracy i albo natychmiast wymierzano im kary cielesne, albo grożono zwolnieniem, chyba że dobrowolnie poddadzą się pokucie. Nie było takich, którzy chcieli jej uniknąć. Kara była gwarancją, że zatrzymają pracę, która gwarantowała im zarobek pozwalający na uniknięcie śmierci głodowej, choć nie samego głodu, bo mimo ciężkiej pracy Limbani nie płacił nikomu wystarczająco dużo, by faktycznie można było się najeść.

Ludzie do ukarania znajdowali się zawsze. Nawet jeśli nie było po temu konkretnych powodów. Limbani roztaczał wokół aurę pewności siebie, ale tak naprawdę był człowiekiem przekonanym, że wszyscy wobec niego spiskują, a każdy biedak w okolicy nie marzy o niczym innym, jak tylko o pozbawieniu go majątku.

Tego dnia mężczyzna przyjechał na plantację w zupełnie innym niż zwykle humorze, nie uśmiechał się do nikogo, nie spacerował, nie przyglądał się. Wysiadł z samochodu, z trzaskiem zamknął drzwi i ruszył w kierunku zadaszonego baraku, pozbawionego frontowej ściany, co pozwalało nadzorcom skryć się przed słońcem, ale wciąż mieć widok na pola. Usiadł w zdezelowanym fotelu i szepnął coś do ucha mężczyzny, który od chwili, gdy Limbani pojawił się na plantacji, nie odstępował go na krok.

Niedługo potem przed jego oblicze przyprowadzono mojego ojca. Ten spodziewał się kary, jak każdy, kto znalazł się w kręgu zainteresowania nadzorców w związku z wizytą pana Limbaniego, ale nie wiedział, czym zawinił. Do tej pory nie zdarzyło się jeszcze, by to jego wyciągnięto

z tłumu robotników jako tego, który mógłby się narazić swoją niefrasobliwością.

– Te krowy, które mi sprzedałeś... – zaczął Limbani bez zbędnych wstępów. – Padły. Każda jedna.

Mój ojciec się obawiał, że może do tego dojść, choć liczył, że u człowieka tak mającego jak Limbani zwierzęta dostaną tak dużo paszy, by przetrwać. Nie mógł zresztą mieć pewności, że Limbani mówi prawdę. Nikt tak naprawdę tego nie wie. Krowy mogły mieć się zupełnie nieźle, ale tu jedyną prawdę stanowiło słowo tego, kto ma więcej pieniędzy.

– Oszukałeś mnie. Wiedziałeś, że towar jest trefny, ale myślałeś, że uda ci się wyciągnąć ode mnie pieniądze.

– Nie, nie wiedziałem, że zdechną, panie Limbani – odparł mój ojciec z przerażeniem, obawiając się tego, do czego może prowadzić oskarżenie ze strony tak wpływowego człowieka. – Chude były, ale najsilniejsze z całego stada. Trzymały się życia, myślałem, że u pana ciała nabiorą, bo ja nawet nie miałem czym ich karmić.

– Czyli zagłodziłeś je, a zanim zdechły, postanowiłeś na nich zarobić.

– Nie, to nie tak, chciałem je uratować.

– Za moje pieniądze.

– Nie, nie... tanio sprzedałem, byle nie zdechły, bo u mnie pewna śmierć je czekała, jak wszystkie poprzednie.

– Tak jak poprzednie? Wszystko, co mówisz, tylko potwierdza moje słowa. Sprzedałeś mi krowy, wiedząc, że nie przeżyją! – wrzasnął zniecierpliwiony Limbani.

– Oddam pieniądze...

– Oddasz, oddasz!

– Ale nie mam wszystkiego. Jedzenie kupiłem. Proszę o trochę czasu. Na pewno oddam – błagał mój ojciec.

– Oddasz wszystko. – Te słowa Limbani wypowiedział już nieco spokojniejszym głosem. – Oddasz wszystko jeszcze dzisiaj.

Limbani już wtedy wiedział, że jedynym warunkiem, jaki jest w stanie zaakceptować w tej sytuacji, jest cena znacznie przewyższająca dług mojego ojca. Oprócz pieniędzy, które miały wrócić do jego kieszeni, zażądał wydania jego starszej córki.

– Panie, proszę, tylko nie Akuzike... Już dwie córki wam oddałem. Ona zajmuje się domem jak żona, bez niej trudno będzie nam przetrwać.

– Nieźle ją reklamujesz. Przyda mi się taka.

– Panie, błagam... – próbował jeszcze ojciec, ale Limbani nie słuchał jego jęków.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia – skwitował. – A teraz wracaj do pracy. Moi ludzie zajmą się wszystkim. Nie musisz się tym przejmować, ale przyjmij na koniec ode mnie dobrą radę: nie pogarszaj swojej sytuacji i spróbuj powstrzymać emocje. Wiesz, że jestem człowiekiem pokojowo nastawionym do świata i nie przepadam za przemocą, nie chciałbym, by gniew wpłynął na naszą dotychczasową przyjaźń. A tą wpadką z krowami się nie martw. Zdarza się wśród najlepszych przyjaciół. – Po czym na koniec dodał jeszcze: – I przepraszam, że musiałem być taki niemiły, ale sam rozumiesz. Obaj jesteśmy ludźmi czynu, a w biznesie nie ma miejsca na sentymenty.

Mój ojciec nie był w stanie odnieść się do słów pana Limbaniego. Nie wiedział niczego o biznesie, zwłaszcza jeśli polegał on na tym, by odbierać biednym to, co jeszcze im zostało. Bał się powiedzieć choćby słowo ponad te, które już padły z jego ust. Był przekonany, że w żaden sposób nie naprawi tego, co już się stało. Nie wiem, czy miał z tego powodu wyrzuty sumienia, bo już wcześniej przehandlował z Limbanim dwie moje siostry. Dokładnie tak jak trzy ostatnie krowy ze swojego stada. Tyle że w przypadku córek Limbani nie zgłaszał reklamacji.

Początkowo nie wiedziałam tak naprawdę, co się stało z Akuzike, i nie łączyłam jej odejścia ze zniknięciem moich starszych sióstr. Pan Limbani nie zabrał jej osobiście – po tym, jak przyjechał ją zobaczyć, wysłał po nią swoich ludzi, więc w całej swojej naiwności nie dostrzegłam korelacji pomiędzy tymi zdarzeniami.

Tego wieczoru dostałam podwójne lanie. Za połamany kij i niesmaczną kolację, którą po nagłym zniknięciu Akuzike musiałam dokończyć sama. Od tego czasu już zawsze dostawałam podwójnie, bo teraz moi bracia mieli już tylko mnie, by wyżywać się za swoje życiowe frustracje. Nie było już Akuzike, która zawsze przyjmowała na siebie najcięższe ciosy. To właśnie od moich braci zupełnym przypadkiem dowiedziałam się, co się stało ze wszystkimi moimi siostrami – i co z pewnością w przyszłości stanie się również ze mną. Któregoś razu w szale agresji po prostu się wygadali.

– Ojciec już dawno powinien cię sprzedać Limbaniemu! – zawołał jeden z nich, zamierzając się na mnie.

– Mógł ją oddać zamiast Akuzike, tamta przynajmniej umiała gotować strawę dla ludzi, a nie paszę dla zwierząt!

– Ale ona jeszcze nie krwawi. Nie miałyby z niej pożytku!

Początkowo nie widziałam w ich rozmowie większego sensu, ale z czasem słowa zaczęły się układać w przerażającą całość, aż pewnego dnia, kilkanaście miesięcy później, zrozumiałam wszystko w boleśnie dotkliwy sposób.

Mój ojciec sprzedał mnie za sumę, której nigdy nie poznałam, ale nie spodziewam się, by była ona szczególnie duża. Sam pewnie nie wyceniłby mnie wysoko. Odebrali mnie ochroniarze Limbaniego i wrzucili na pakę samochodu dostawczego, gdzie spędziłam całą około dwugodzinną podróż. Bałam się tego, co mnie czeka, ale też w przedziwny sposób byłam na to tak dobrze przygotowana psychicznie, że ten moment był dla mnie swego rodzaju wypełnieniem wyczekiwanego przeznaczenia. Jak wysłana na rzeź jałówka, która tylko czeka, aż jej głowa znajdzie się na drodze ostrej maczety.

Nie wiem, czy to przez paraliż spowodowany strachem, czy właśnie przez spokój, ale nie było we mnie paniki. Pamiętam, jak samochód, do którego zapakowano mnie, jakbym była rzeczą, jechał po wyboistej drodze wzdłuż lasu, który tak dobrze znałam, a chwilę później znalazł się w miejscu, w którym nigdy wcześniej nie byłam. Oglądałam krajobraz zza przerdzewiałego metalowego boku auta. Nie zmieniał się zbyt szybko, stopniowo znikał tylko w mroku, do czasu, gdy kompletnie utonął w ciemnościach.

To była bardzo bolesna podróż – fizycznie, bo emocjonalnie nie czułam nic. Samochód podskakiwał na wyboistej drodze, a ja boleśnie obijałam się o metalową pakę. Nie byłam w stanie utrzymać się w miejscu. Gdy pojazd wreszcie stanął, moje ciało było całe w siniakach, a na głowie miałam kilka pulsujących, świeżo nabitych guzów. Nie miałam jednak komu się poskarżyć.

Mężczyźni, którzy zabrali mnie z domu wczesnym popołudniem, teraz, pod osłoną nocy, ściągnęli mnie z paki i kazali iść przodem. Moje bliskie bezwładnie nogi drżały w trudnym do opanowania spazmie. Nie ze strachu. Była to reakcja na kilkugodzinne nieustanne kołowanie się na wertepach. Nikt nie dbał o moją wygodę, choćby w najmniejszym stopniu. Przewieziono mnie jak towar. Wtedy jeszcze chyba nie do końca

rozumiałam, że właśnie tym jestem – towarem. Nie wiedziałam też, że już na zawsze nim zostanę.

I wtedy poczułam prawdziwy strach. Dotarło do mnie, że znalazłam się w punkcie, z którego nie ma już odwrotu. Po raz pierwszy w życiu byłam o tej porze poza domem, a do tego nie wiedziałam gdzie. Szłam przed siebie zgodnie z poleceniem obcych mężczyzn, którzy mnie eskortowali. Nie widziałam zbyt wiele, dookoła było zupełnie ciemno, a kierunek marszu wyznaczały tylko widoczne w oddali światła. Z każdym krokiem jaśniejsze, coraz wyraźniej zarysowywały się kształty niskiego, ale dość rozległego budynku. Nigdy nie widziałam tak skomplikowanej murowanej budowli, choć oceniając ją z perspektywy architektury Dubaju, była tylko nieco większym murowanym barakiem.

Kiedy podeszliśmy bliżej, dostrzegłam, że przed wejściem do budynku stoi kobieta. Ubrana w rudobrazową tradycyjną szatę i turban, niska, ale potężnej postury. Ludzie w mojej wiosce rzadko mieli okazję przybrać na wadze. Tęgość w moim kraju zawsze była oznaką wyższego statusu i nigdy nie stanowiła powodu do wstydu, jak w wielu innych krajach. Przeciwnie – była źródłem dumy, dowodem na to, że odniosło się sukces.

Mówili na nią Mama. Była najważniejszą postacią w życiu kilkudziesięciu dziewcząt mieszkających w budynku, który od tej pory miał się stać moim domem. Takie miejsca nazywa się *shabin*. Nie miałam pojęcia, co oznacza to słowo, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia. Intuicja podpowiadała mi, że to jakiś rodzaj ochronki dla dziewcząt, które cierpiały w swoich rodzinnych domach z powodu przemocy i wykorzystywania seksualnego – albo w ogóle nie miały domów. Ale to były tylko domysły. Prawdę miałam dopiero poznać...

Słowo *shabin* ma różne zapisy w różnych językach i różne, bardzo interesujące znaczenia. W językach hinduskim, bengalskim, urdu i arabskim Shabin to imię męskie, w wymowie podobne do polskiego imienia Sabina, a oznaczające tyle co „muzyka nocy”.

Na Karaibach słowem tym określa się osoby czarnoskóre o jaśniejszym odcieniu karnacji. W Irlandii i sporej części kontynentu afrykańskiego, zwłaszcza tej, która dostała się w swojej historii pod wpływy kolonialne, słowa *shebeen* używa się, mówiąc o nielicencjonowanych lub nielegalnie prowadzonych lokalach gastronomicznych i barach z alkoholem.

Co niezwykle, wszystkie te z pozoru tak różne od siebie definicje zdają się mieć wspólny mianownik. Jego emanacją było miejsce, do którego trafiła Abi, i cała jej dalsza historia.

Mama ewidentnie czekała właśnie na mnie. Skinęła dłonią w moim kierunku. Podeszłam nieśmiało, a ona objęła mnie za szyję z czułością, jakby nie mogła się mnie doczekać, i wprowadziła do budynku. Nie obracałam się za siebie. Nawet nie zauważyłam, gdy mężczyźni, którzy mnie tu przywieźli, zniknęli. Najwyraźniej ich zadaniem było tylko mnie przetransportować.

Weszliśmy do sporej wymalowanej na biało i obwieszanej kolorowymi firanami izby, w której znajdowało się sporo dziewcząt, na oko w moim wieku, niektóre nieco starsze. Wtedy przemknęła mi przez głowę myśl, że może spotkam tu swoje siostry. Może chociaż Akuzike tu jest, bo skoro nasz ojciec sprzedał nas obie panu Limbaniemu, to pewnie i ona trafiła w to miejsce. Ta myśl w jednej chwili zdjęła ze mnie cały stres. Zastąpiła go nadzieja. Może fakt, że mój ojciec w tak bezduszny sposób pozbył się mnie, jak wcześniej moich sióstr, okaże się jednak błogosławieństwem. Znowu będę z moją ukochaną siostrą, może poznam też te starsze. Będziemy szczęśliwe, połączone po latach i z dala od naszych lubujących się w przemocy braci. Może moje życie wreszcie nie będzie takie złe.

– Jest późno, czas spać – powiedziała do mnie Mama.

Następnie wzrokiem przywołała przeraźliwie chudą dziewczynę o skórze dużo ciemniejszej od mojej, o co akurat nie było trudno, bo zawsze wyglądałam jak lekko wyblakła lub jakby regularnie traktowano mnie wybielaczem. À propos bieli – dziewczyna ubrana była w nieprawdopodobnie białą, sztywno wykrochmaloną suknię.

Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że słowa o spaniu w nocy nie padają tu często i są przywilejem, który już nigdy nie będzie mi dany.

– Sekani, zaopiekuj się nią, niech się porządnie umyje i wyśpi – zadysponowała Mama, po czym zwróciła się do mnie: – Jutro się tobą zajmę. – Jej głos był łagodny, choć słowa brzmiały bardziej jak przestroga niż zapowiedź troskliwej opieki.

Sekani natychmiast do mnie dostąpiła i skinieniem dłoni wskazała kierunek, po czym ruszyła przed siebie, co chwilę odwracając głowę, by się

upewnić, że za nią idę.

Już po chwili stało się dla mnie jasne, że sporą część wystroju tego miejsca stanowią kotary z zasłon, które dzielą je na małe, niezbyt intymne pomieszczenia. Niektóre były szczelnie zasłonięte, inne bezwstydnie obnażały swoje wnętrza. Wyglądały jak sypialnie, ale nie byłam pewna, czy nimi są.

Po chwili dotarliśmy do murowanej ściany z drewnianymi drzwiami, za którymi znajdowała się łaźnia. W porównaniu z warunkami, jakie znałam od dziecka, była wręcz prestiżowa, choć pewnie niewiele osób ze świata Zachodu byłoby w stanie z niej skorzystać. Nie wiem, czyby potrafiły, skoro nawet ja potrzebowałam instrukcji.

To była łaźnia tylko z nazwy. W rzeczywistości patrzyłam na niedbale otynkowaną i zabieloną wapnem komórkę z zasłoną. Podłogę po części wylano betonem, a częściowo ułożono z desek wspartych na kilku poprzeczkach rzuconych na gołą ziemię. Miały one za zadanie przepuszczać spływającą z mytych ciał wodę, stanowiąc rodzaj bardzo prymitywnego odpływu. Jedyne możliwe w miejscu, gdzie niewiele osób jest sobie w stanie wyobrazić kanalizację, a są i takie, które przez całe życie nie miały szansy z niej skorzystać.

Oczywiście o bieżącej wodzie nie było tu mowy. Ani w ogóle o wodzie w nadmiarze. Sekani wskazała mi metalowe wiadro do połowy nią wypełnione. Była mętna, ale dość czysta jak na to, do czego byłam przyzwyczajona. Następnie wcisnęła mi do ręki starannie odkrojony kawałek mydła i powiedziała, że mogę się umyć za zasłoną.

– Nie bój się, nikt tu nie wejdzie, przypilnuję – szepnęła.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że nie na tym polegają moje obawy. Nie bałam się nagłego wtargnięcia kogoś obcego, bo wszystko było tu dla mnie obce. Ale w tej samej chwili zrozumiałam, że właśnie tego należy się tutaj bać.

Zrobiłam kilka kroków i z szorstkiej, betonowej posadzki przeszłam na zбитy z luźno ułożonych wąskich desek podest. Nigdy wcześniej nie miałam do dyspozycji więcej wody, dlatego umycie się w takiej ilości nie było dla mnie wielkim problemem. Zrobiłam to szybko i sprawnie, a gdy wyszłam zza zasłony, Sekani czekała na mnie z szatą, którą miałam na siebie założyć. Była to luźna sukmana w trudnym do określenia jasnym kolorze.

– Jutro dadzą ci jakieś ubrania, na razie to ci wystarczy – oznajmiła.

Nie wybrzydzałam. Sekani wydawała się przyjazna, choć przejęta swoją rolą, więc nie chciałam w żaden sposób utrudniać jej wypełniania. Kiedy wyszliśmy z łaźni, zaprowadziła mnie do części sali, która miała tylko jedną murowaną ścianę. Pozostałe trzy stanowiły zawieszony na tyczkach tkaniny.

– Tu będziesz spać. Nie wychodź stąd do rana. O świcie po ciebie przyjdę – zapowiedziała.

To wszystko było dziwne, ale z mojej perspektywy naprawdę luksusowe. Nie pamiętam, kiedy wcześniej kładłam się spać umyta, w czystym ubraniu i w miejscu tak wygodnym. Nie skłamię chyba, jeśli powiem, że nigdy.

Posłusznie ułożyłam się na pościeli i spojrzałam w górę. Choć sama miałam do dyspozycji tylko skrawek przestrzeni, sufit nade mną zdawał się nie mieć końca. Wykraczał daleko poza przestrzeń, którą byłam w stanie dostrzec. Wpatrywałam się w niego, próbując uspokoić gonitwę myśli, a chwilę później podwieszona pod nim lampa oświetlająca całe pomieszczenie zgasła. Myśli też się uspokoiły, a odgłosy zaczęły znikać w tle. Zasnęłam spokojnie i z zaskakującą beztrąską, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazłam. Nie tęskniłam za domem rodzinnym i pewnie dlatego nie było mi źle. Zapamiętałam tę noc bardzo dobrze, bo była jedyną w moim dotychczasowym świadomym życiu, kiedy zasnęłam bez świeżych ran i siniaków, nie licząc tych, które zdobyłam w podróży. One jednak bolały jakby mniej, nie były zadane z premedytacją i nie przez osoby, które z definicji powinny chronić, a nie katować. Ta noc była wypełniona nadzieją na lepsze życie.

Następnego ranka od razu przystąpiłam do prób odnalezienia szczęścia w miejscu, do którego trafiłam.

– Znasz Akuzike? Jest tutaj? – spytałam, gdy tylko Sekani pojawiła się w mojej kwaterze, by mnie obudzić. – To moja siostra. Zabrali ją tak jak mnie. Nigdy się nie dowiedziałam dokąd, ale teraz sobie myślę, że może trafiła tutaj...

Sekani była wyraźnie zaskoczona, bo ludzie z reguły nie zadają pytań zaraz po tym, jak otworzą oczy, ale wydawała się też spłoszona. Miałam wrażenie, że imię mojej siostry nie jest jej obce, ale nie odpowiedziała na moje pytania.

– Chodź szybko, Mama chce cię zobaczyć – rzuciła zamiast tego.

Zrozumiałam, że to nie czas ani miejsce, by drażyć, ale nie miałam zamiaru odpuścić tego tematu. Musiałam tylko zaczekać na bardziej dogodny moment.

Pospieszyłam z przygotowaniami, wciąż próbując przypodobać się Sekani. Byłam bardzo głodna. Poprzedniego dnia nie jadłam nic, a kolejny poranek obudził mnie bolesnym skurczem żołądka. Znałam to uczucie. Nieraz szłam spać bez jedzenia, zdarzały się całe dni tylko o jednym posiłku, ale w domu zawsze były jakieś resztki, a gdy jeszcze mieszkała z nami Akuzike, dbała, bym nie szła spać głodna, choćby sama miała odjąć sobie od ust.

Teraz głód musiałam zdusić w sobie, nie odważyłam się upomnieć o jedzenie, ale miałam nadzieję, że skoro zadbano o to, bym miała gdzie się umyć, dano mi czyste ubranie i wygodne miejsce do spania, na pewno w swoim czasie pojawi się też strawa. Próby walki z głodem zajęły moje myśli tak skutecznie, że nawet nie zauważyłam, kiedy znalazłam się w kuchni. Nie miałam wątpliwości, że to kuchnia, bo dochodził z niej wspaniały zapach, choć nie wyglądała jak ta w naszej chacie. Nigdy wcześniej nie widziałam takiej, w której nie było ogniska. W centralnym miejscu zgrzebnie urządzonego, choć w moich oczach absolutnie luksusowego pomieszczenia, na drewnianym blacie stała mała, dwupalnikowa kuchenka podłączona czerwoną gumową rurą z ogromną obdrapaną, chyba kiedyś niebieską, butlą gazową, która podsycala ogień pod wielkim garem. Mama mieszała w nim osobiście, ale nie wyglądała na bardzo zapracowaną.

– No jesteś wreszcie – zawołała na mój widok nieco zniecierpliwionym tonem, odrywając się od swojego zajęcia. – Tutaj nie ma miejsca na lenistwo.

Jej miejsce przy garze zajęła okutana chustą młoda dziewczyna. Nie potrzebowała nawet polecenia – złapała za chochlę niemal natychmiast po tym, jak Mama ją odłożyła.

Nie wiedziałam, która jest godzina, kompletnie straciłam rachubę czasu. Nie byłam zresztą przyzwyczajona do robienia czegoś na konkretną godzinę. Dotychczas mój rytm dnia wyznaczało słońce, nigdy nie miałam zegarka, chyba nawet nie bardzo miałam świadomość, że coś takiego istnieje, ale najwyraźniej tutaj czekała mnie zmiana nawyków. Oczywiście jeśli faktycznie byłam spóźniona, nie mogła to być moja wina, bo ja po

prostu wykonywałam polecenia, ale postanowiłam nie sprzeciwiać się Mamie, nie tłumaczyć i nie wchodzić z nią w polemikę. Zauważyłam, że dziewczyny raczej tego tutaj nie robią. Skuliłam więc głowę i słuchałam wszystkiego, co ma mi do powiedzenia.

– Jak zjesz, to Sekani cię ubierze, a potem powie ci, co masz robić. Teraz siadaj przy stole i czekaj. – Ton Mamy był trudny do określenia. Z pozoru stanowczy, ale wcale nie niemiły. Taki bardzo neutralny. Nie wzbudzała we mnie strachu. Możliwe, że wynikało to z mojej ogromnej tęsknoty za silną kobietą przewodnikiem. Brak matki, śmierć babci, zniknięcie sióstr spowodowały, że bardzo mi kogoś takiego brakowało. I nagle pojawia się Mama. Daje mi rzeczy, których nigdy nie miałam, gotuje i obiecuje, że moje życie będzie miało ciąg dalszy, że odnajdę w nim sens.

Patrzyłam na nią z fascynacją. Jakby była jakimś charyzmatycznym guru, którego słowa stają się świętością od chwili, gdy docierają do uszu wiernych. Jediną wierną na tym kazaniu byłam ja. Sekani zniknęła bez śladu, więc posłusznie usiadłam przy długim stole, który znajdował się za zasłoną po drugiej stronie kuchni.

Siedziałam tam przez jakiś czas, zastanawiając się, co mnie dziś czeka. Byłam szczerze podekscytowana. Przez prawie trzynaście lat mojego życia każdy dzień był podobny do drugiego. Poza śmiercią babci i wyjazdem Akuzike nie wydarzyło się w nim nic, co odbiegało od smętnej rutyny. Dlatego teraz nawet z pozoru tak zwyczajna sytuacja jak ta wywoływała we mnie prawdziwe podniecenie.

Po jakimś czasie do sali zaczęły się schodzić dziewczęta. Bardzo szybko wypełniły jadalnię, tak że wkrótce przy stole nie było już miejsca. Żadna z nich nie zwracała na mnie uwagi. Niby na mnie patrzyły, ale jakbym była przezroczysta. Domyśliłam się, że to one mieszkają w tym domu. Przyglądałam się każdej z nich w nadziei, że dostrzegę twarz Akuzike, ale nie było jej wśród tych, które zasiadały do posiłku. Po chwili z kuchni wyszło jeszcze kilka dziewcząt. Dwie z trudem niosły parujący gar, który postawiły u zwieńczenia stołu, dokładnie po przeciwnej jego stronie. Wśród nich też nie było mojej siostry, ale ja nadal nie traciłam nadziei.

W sali zrobiło się gwarno, rozmowy mieszały się z dźwiękami obijanych o blat aluminiowych talerzy i sztućców. Dziewczęta, które wyszły z kuchni, w pośpiechu nakładały strawę. Kremowoszara breja pachniała zaskakująco dobrze. Po chwili zrozumiałam, że nikt mnie tu nie obsłuży i jeśli sama nie

podejdę do gara, nie dostanę jedzenia. Ale gdy do niego dotarłam, nie zostało w nim już zbyt wiele. Jedna z dziewcząt, nawet na mnie nie patrząc, wydrapała resztki z dna. Dostały mi się fragmenty czegoś, co przypominało przypaloną kaszę. Nie było tego wiele, ale dobre i to. Odwróciłam się, by wrócić na swoje miejsce, ale to okazało się już zajęte. Dziewczyny rozsiadły się na ławkach tak, by skutecznie je zająć.

Sekani, gdy tylko dostrzegła moje skonfundowanie, podeszła z talerzem pełnym śniadaniowej potrawy i stanęła przy skraju ławki, tam, gdzie wcześniej siedziałam. Zawisła nad koleżankami i bez słowa zgromiła je wzrokiem. Dziewczyny rozsunęły się tak, że mogłam usiąść. Ta, która siedziała najbliżej mnie, obróciła się praktycznie tyłem, dając mi do zrozumienia, że nie jestem mile widziana, ale gest Sekani sprawił, że nie bardzo się tym przejęłam. Miałam poczucie, że jest ktoś, na kim mogę polegać. Byłam tego głodna zdecydowanie bardziej niż jedzenia, ale to właśnie stygło na moim talerzu, a mój żołądek nie pozwalał mi na dłuższe zastanawianie się nad układami, jakie rządzą tym miejscem.

Podziękowałam więc Sekani i zaczęłam pałaszować. Dawno nikt niczego dla mnie nie ugotował. Kiedyś robiła to babcia, później moje siostry, a od kilku lat robiłam to sama, zawsze mając na uwadze, że przede wszystkim gotuję dla mojego ojca i braci. Ja jadłam tylko przy okazji i tylko za ich zgodą. Tutaj miałam swój niepodzielny przydział. Choć zdobyty nie bez perypetii, to zdecydowanie łatwiej niż do tej pory.

Zgodnie z tym, co zleciła Mama, zaraz po śniadaniu Sekani zabrała mnie do małego pomieszczenia, w którym stały kartonowe pudła z zupełnie obcymi mi napisami. Ja nie umiałam czytać, nie znałam wtedy języka angielskiego i mogę tylko przypuszczać, że pochodziły one z darów wysyłanych przez kraje zachodnie do Afryki. Takie rzeczy docierały nawet do nas, do wioski. Ludzie rzadko nosili je jako ubrania, ale nadawały się do urządzania chat, moszczenia legowisk, były jedynym sposobem na to, by faktycznie uczynić je przytulnymi.

W magazynie było ich naprawdę sporo, a ja mogłam wybrać, co tylko chcę, pod warunkiem, że zostanie to zaakceptowane przez Sekani. Znowu poczułam się jak dziecko w sklepie z zabawkami. W sumie byłam dzieckiem, ale wtedy nawet nie wiedziałam o istnieniu takich sklepów. Byłam jednocześnie wczesną nastolatką i choć dorastałam w miejscu, w którym dziewczęta w moim wieku raczej nie mają szansy na strojenie się

i zajmowanie własnym wyglądem, okazało się, że kobiece instynkty są takie same na całym świecie. Ten obudził się we mnie natychmiast. Możliwość przebierania w ciuchach – i przebierania się w ciuchy – była strzałem w dziesiątkę.

Ubrania, które znajdowały się w kartonach, ewidentnie zostały już wcześniej wyselekcjonowane i dobrane według odpowiedniego klucza. Wcale mi to jednak nie przeszkadzało. Były tu seksowne minispódniczki, legginsy, mocno wydekoltowane, skąpe bluzeczki, a także śliczna cekinowa torebeczka w kolorze emeraldowej zieleni, którą wygrzebałam z dna jednego z pudeł. Stała się moim skarbem od chwili, gdy dostała się w moje ręce. Nigdy wcześniej nie miałam niczego tak pięknego. Pamiętam ją do dziś. Była dla mnie cenniejsza od wszystkich tych markowych i nieprawdopodobnie drogich torebek, jakie można zobaczyć na ulicach Dubaju.

Sekani bez większych oporów zaakceptowała wszystkie moje wybory.

– Dobrze wyglądasz. Zaraz zrobię ci makijaż i fryzurę – zapowiedziała. – Potem pojedziesz na salę.

Nie wiedziałam, czym jest makijaż, nie wiedziałam, że fryzurę się robi, nie miałam też pojęcia, co oznacza „pójście na salę”, ale czułam, że to ciąg dalszy atrakcji, więc bez szemrania oddałam się w ręce mojej przewodniczki. I naprawdę miałam wrażenie, że uczestniczę w jakiejś ekscytującej przygodzie, która nieustannie zaskakuje i podnieca.

W ciągu niespełna godziny Sekani zmieniła mnie w kogoś, kogo nie byłam w stanie rozpoznać w lustrze, ale choć patrząc obiektywnie, wyglądałam koszmarnie tandetnie, w tamtej chwili wydawałam się sobie absolutną gwiazdą. I bardzo mi to imponowało.

A później poszłam na salę...

Sala okazała się obskurną speluną z barem obitym brudnym czerwonym skajem w centralnej części. Dookoła stały stoliki z metalowymi, dobranymi przypadkowo, krzesłami. Kiedy znalazłam się tam pierwszy raz, siedziało w niej kilku mężczyzn. Dwóch wpatrywało się w butelki z piwem, wisząc na barze, kilku okupowało stoliki. Nie było wątpliwości, które ze znaczeń słowa *shabin* najlepiej pasuje do tego miejsca.

Wszyscy zebrani niemal od razu zauważyli moją obecność.

– Podejdz, do którego chcesz – szepnęła Sekani.

– I co mam zrobić?

– Porozmawiaj.

Byłam bardzo zestresowana tą sytuacją, ale jakoś znalazłam w sobie odwagę, by zrobić to, o co poprosiła mnie moja przewodniczka. Do tej pory była dla mnie taka dobra, że nie spodziewałam się niczego złego. Podeszłam do najbliższego zajętego stolika. Siedział przy nim dość młody mężczyzna w czarnej koszuli zadrukowanej złotymi wężami. To nie było jedyne złoto, jakie miał na sobie. Kiedy się uśmiechnął, ujawnił swój skarbiec w postaci dwóch lśniących złotem zębów. Nie wiedziałam, co powinnam powiedzieć w takiej sytuacji, ale on szybko mnie w tym wyręczył.

– Jesteś tu nowa – zauważył.

Przytaknęłam, a on uśmiechnął się lubieżnie.

– Dobrze! Lubię nowe!

ROZDZIAŁ 3

Towar

Po drugiej stronie sali, w której mieściła się knajpa, znajdowało się wejście do przeciwległego skrzydła budynku *shabin*. Był za nim bardzo wąski korytarz, a po każdej jego stronie – małe pokoje z leżankami. W przeciwieństwie do tych w części mieszkalnej ich ściany nie były zaaranżowane za pomocą tkanin, a zbudowane z pomalowanej na pistacjowo dykty. Nie sięgały do sufitu, jednak na tyle wysoko, by nie mógł ponad nie sięgnąć dorosły mężczyzna. Każdy z pokoi, czy raczej kabin, miał przesuwane drzwi, które zapewniały pozory intymności, choć szpary w nich zdradzały wiele. Wystarczyłoby przystanąć i się przyjrzeć, ale tu nikt nie miał na to ani czasu, ani sposobności. Korytarz był tak wąski, że nie było mowy o minięciu się przez dwie nawet drobne osoby. Zatrzymanie się natychmiast spowodowałoby korek. To chyba dlatego nikt nie obawiał się o to, że kabiny nie są zbyt szczelne. Zresztą klienci, którzy w nich bywali, nie dbali o intymność ani reputację. O naszą też nikt nie dbał.

To tam zaprowadził mnie zaraz po naszej krótkiej rozmowie poznany w sali mężczyzna. Dobrze znał drogę, jakby był tam nie raz, ja za to wciąż nie miałam pojęcia, co tak naprawdę się dzieje. Wydaje mi się, że nie miałam jeszcze skończonych trzynastu lat, choć wiedziałam to tylko z szacunków, bo nigdy nie obchodziłam urodzin, w moim domu nikt nie przywiązywał wagi do takich szczegółów. Jesteś, to znaczy, że się urodziłaś – nikt nie musi wiedzieć niczego więcej, aż do momentu, w którym umrzesz. Chociaż wtedy już cię nie będzie i tak jak za życia nikogo nie będą obchodziły żadne daty ani to, ile czasu spędziłaś na tym świecie. Kiedy znaczy się tak niewiele, czas nie odgrywa żadnej roli, dokładnie tak jak samo istnienie. Dość więc powiedzieć, że byłam w wieku, w którym wiele dziewczynek w moim kraju odkrywa, czym jest seks, ale wcześniej

żadna z nich nie ma o nim zielonego pojęcia. O takich rzeczach po prostu się nie mówi – a potem następuje ta chwila i już na zawsze pozostaje koszmarem.

Rzucił mnie na posłanie. W jednej chwili z łagodnego i uśmiechniętego człowieka zmienił się w brutala. Zerwał ze mnie moje nowe ubrania. Próbowałam protestować, ale nie miałam z nim żadnych szans. Cios w twarz skutecznie zamknął mi usta. Skupiłam się na bólu, a on nie ustawał w zadawaniu mi go. Tym razem tam, na dole. Był rozdzierający, trudny do opisania. Przyprawiał mnie o mdłości i omal nie pozbawił przytomności. Może tak byłoby lepiej. Mężczyzna napierał na mnie, przygniatając mnie swoim ciałem. Był trzykrotnie większy niż ja, ale chyba właśnie to podniecało go najbardziej.

– Jesteś taka malutka – powtarzał w kółko.

Nie mogłam oddychać. Był moment, kiedy żadna próba złapania powietrza się nie powiodła i byłam niemal pewna, że już nigdy nie będzie mi to dane. Wszystkie nadzieje związane z miejscem, do którego mnie przywieziono, wyparowały w jednej chwili – i wcale nie wróciły, gdy tlen w końcu znowu dotarł do moich płuc.

Kiedy mężczyzna skończył, wstał i poprawił ubranie. Wyszedł natychmiast potem, a ja nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Nie byłam pewna, czy moje ciało nadal jest całością. Miałam wrażenie, że kilka minut jego uniesień rozerwało je na strzępy i rozrzuciło po całym pomieszczeniu. Bałam się poruszyć, a gdy wreszcie się na to zdecydowałam, przeszyły mnie spazmy bólu, jakby w jednej chwili dosięgło mnie kilkanaście wystrzelonych w tym samym czasie kul.

– Zbieraj się i wracaj na salę – usłyszałam nagle zza lekko przymkniętych drzwi.

W półmroku nie byłam w stanie dostrzec postaci. Chciałam ją przywołać, zatrzymać, dopytać, czy na pewno miała na myśli właśnie mnie. Mam wrócić na salę? Po tym, co zrobił mi ten człowiek? A co, jeśli pojawi się tam kolejny i będzie chciał zrobić mi to samo? Nie miałam jednak komu zadać tych pytań. Tocząc potworną walkę z bólem, zebrałam się w sobie i stanęłam na nogi, po czym ubrałam się i ruszyłam do wyjścia.

Tuż przed nim zatrzymała mnie dziewczyna, która ewidentnie też mieszkała w *shabin*.

– Jak ty wyglądasz! Ogarnij się, zanim cię Mama zobaczy. Ona bardzo nie lubi, jak dziewczęta o sobie nie dbają – rzuciła. – I przestań chodzić taka zboląła, musisz zachęcać klientów. Takiej ofiary nikt nie weźmie.

Znowu nie bardzo wiedziałam, co oznaczają te słowa, ale brzmiały jak poważna przestroga, choć odebrałam je też jak receptę na uniknięcie kolejnych upokorzeń. Zdecydowałam się jednak pójść za radą wyraźnie bardziej doświadczonej koleżanki. Korzystając ze światła tłącego się nad lustrem umieszczonym w kącie tuż przed wyjściem na salę, poprawiłam fryzurę, makijaż i poszarpane ubranie, przynajmniej w miarę możliwości. Nie mogłam zrobić niczego więcej.

Okazało się, że starania nie były konieczne, bo chwilę później znowu znalazłam się w dusznej kabinie. I tak jeszcze kilkanaście razy tego dnia, a później codziennie bez choćby dnia przerwy. Wszystkie moje marzenia związane z wyjazdem z rodzinnej chaty, z ucieczką od braci oprawców, bezpowrotnie prysły, umarły w jednej chwili. Musiałam zaakceptować to, kim teraz jestem. Stałam się własnością obrzydliwych mężczyzn, którzy płacąc za czas ze mną, mogli zrobić, co im się żywnie podobało.

Pieniądze za nasze usługi osobiście przyjmowała Mama, stojąc za pulpitem lady ustawionej przy wejściu do lokalu. Pilnowała biznesu. Choć raczej się stamtąd nie ruszała, zdawała się mieć oko na wszystko. Widywałam ją, jak liczy gotówkę. Sama nigdy w życiu nawet nie miałam jej w ręku. Widziałam ją wcześniej u mojego ojca, choć nigdy w takich ilościach, ale zupełnie nie rozumiałam jej mocy. Aż do teraz...

Tak minął jakiś czas, pół roku, może nawet rok, nie potrafię tego dokładnie określić. Moje dni znowu zlewały się w jedno. Były takie same, tylko znacznie bardziej bolesne niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet codzienne lanie od braci nie było w stanie konkurować z tym, co spotkało mnie tutaj.

W pewnym momencie zaczęłam chorować. Moje narządy płciowe pokrywała paląca wysypka. Kiedy o tym powiedziałam, kazano mi się położyć, po czym jedna z dziewczyn przyniosła miskę z parującym wrzątkiem. Zanurzyła w nim ręcznik, wyjęła go patykiem i pottrzymała chwilę, by ociekł z wody, a następnie rzuciła go na chore miejsce. Trudno mi opisać ten ból, ale był to jedyny przejaw troski, na jaki mogłam liczyć, od kiedy zaczęto mnie stręczyć. Oczywiście chodziło tylko o to, by mnie naprawić. Żebym znowu była zdatna do pracy. Parę godzin później, jeszcze

tego samego dnia, zostałam zgwałcona przez kilku mężczyzn. Nie wiem, czy to skuteczność metody leczenia wrzątkiem, czy fakt, że poparzenie zabiło we mnie czucie, ale miałam wrażenie, że pomogło, że nie bolało już tak bardzo. A może po prostu sobie to wmówiłam.

Wśród tych identycznych dni zdarzył się w końcu jeden zupełnie inny...

W *shabin* Mamy pojawił się pan Limbani w towarzystwie mężczyzny, który wyglądał na równie bogatego. Nikt nie wiedział, jak się nazywa, nigdy wcześniej nie był w tym miejscu. Na jego przyjęcie kazano nam założyć nasze najlepsze ubrania i przygotować jak dla najbogatszego klienta.

Nie chciałam się starać i nie mogłam zrozumieć amoku, w jaki wpadły niektóre z dziewczyn. Dosłownie wychodziły z siebie, by wyglądać perfekcyjnie, zupełnie jakby to był jakiś konkurs, w którym zwyciężczyni wygrywa szczęście do końca życia.

Ja nie miałam już w sobie tyle naiwności ani jeszcze wystarczająco dużo wyrachowania, by uczestniczyć w tych zawodach. Ubrałam się zwyczajnie, jak na co dzień, ale wzięłam ze sobą swoją zieloną cekinową torebkę. Nauczyłam się, że dla mężczyzn, którzy mnie codziennie gwałcą, mój wygląd nie ma większego znaczenia. Ten wyjątkowy klient pewnie też nie zwróci na niego uwagi. A może jeśli się nie spodobam, da mi spokój? Niech wybierze te dziewczyny, które tak bardzo się starają, by zostać zauważone.

Zebrano nas wszystkie w sali zamkniętego na ten czas baru. Wtedy chyba po raz pierwszy miałam okazję się przekonać, jak wiele dziewczyn tak naprawdę mieszka przy *shabin*. Było ich więcej, niż mogło się wydawać. Nigdy tak naprawdę nie było okazji, żebyśmy wszystkie znalazły się w jednym pomieszczeniu. *Shabin* to był wbrew pozorom dobrze zaplanowany biznes i dbano, by towar dla chętnych klientów był zawsze dostępny. Te dziewczyny, które danego dnia obsłużyły już wielu mężczyzn, zastępowały kolejne, by *shabin* mógł działać przez całą dobę i nie tracił żadnej okazji do zarabiania pieniędzy.

Pan Limbani i jego gość siedzieli przy jednym ze stolików, sącząc jakiś alkohol i świetnie się bawiąc w swoim towarzystwie. Opowiadali sobie dowcipy i zaśmiewali się do rozpuku, a my czekałyśmy w ciszy, niepewne, co nas czeka. Przez dłuższy czas oglądałyśmy spektakl odgrywany przez obu mężczyzn jak niema widownia, aż nagle to my znalazłyśmy się na scenie, a oni stali się obserwatorami. Wstali z krzeseł i zaczęli przechadzać

się po sali, przyglądając się nam uważnie. Recenzowali naszą urodę, dyskutowali między sobą, rzucali dowcipy, niewybredne komentarze...

– Brałbym takie, które naprawdę dobrze ciągną – rzucił gość.

– Tu każda ssie jak wygłodniały cielak – zachwalał pan Limbani.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze do końca, jakie zależności istnieją w tym miejscu. Choć mogłam się domyślać, że to Limbani kupił mnie i moje siostry od naszego ojca, nie sądziłam, że nadal jest naszym właścicielem. To wyglądało tak, jakby skupował dziewczyny, a potem je odsprzedawał. Było jednak zgoła inaczej.

Mama zdawała się szefową tego miejsca, ale okazało się, że jest tylko świetnie opłacaną i bardzo zaangażowaną w biznes prawą ręką swojego pracodawcy. Pan Limbani dbał o to, by do jego *shabin* trafiały nowe dziewczyny, ale zarabiał na nierządzie, nie tylko sprzedając nasze usługi. Prowadził swego rodzaju centrum dystrybucyjne. Dziewczęta przechodziły tu przez szkolenia, a następnie były wystawiane na dalszą sprzedaż. Takie sytuacje jak ta, w której uczestniczyłam po raz pierwszy, miały miejsce już wielokrotnie wcześniej. Klienci chcący kupić dziewczęta hurtowo przyjeżdżali i wybierali sobie je jak towar w sklepie.

Moje siostry prawdopodobnie spotkał właśnie taki los. W *shabin* dziewczęta były brutalnie przyuczane do zawodu, a później albo przerzucane do podobnych domów, albo sprzedawane innym handlarzom żywym towarem, którzy najczęściej sprzedawali je za granicę, bo w samym Malawi raczej nie rozwijali swoich biznesów. Jest niemal pewne, że Limbani by im na to nie pozwolił.

W tym biznesie obowiązują niepisane reguły i bardzo jasno ustalone strefy wpływu. Są producenci, dystrybutorzy, odbiorcy wewnętrzni i eksporterzy. Wszyscy działają zgodnie z podstawowymi zasadami ekonomii, choć przyglądając się temu bliżej, można stwierdzić, że są po prostu przestępcami. Nawet w Malawi. To dlatego *shabin* Mamy i wszystkie inne podobne placówki kontrolowane przez pana Limbaniego oficjalnie były przytułkami dla sierot i dzieci porzuconych przez rodziców.

Mama miała opiekować się głównie dziewczętami. Wszyscy niewtajemniczeni uważali, że to właśnie ona chroni je przed niebezpieczeństwami tego świata, przygotowując do dorosłego życia. Wtedy nie mogłam tego wiedzieć, bo całe moje życie toczyło się we wnętrzach *shabin*, ale słyszałam od dziewczyn, które poznałam już

w Dubaju, że Mama przez ludzi z okolicznych wiosek uważana była niemal za świętą, kobietę, która poświęciła wszystko, by bezinteresownie pomagać bezbronnym. Sama chętnie podsycala ogień tej legendy, a Limbani, któremu też była ona bardzo na rękę, często publicznie ją chwalił, dodając, że w ramach swojej płynącej z dobroci serca działalności charytatywnej wspiera *shabin* Mamy, by jej podopieczne nigdy nie cierpiały głodu.

Fakt, że oprócz taniego jedzenia dostarczano do przybytku litry nielegalnego, często kradzionego i przemycanego alkoholu, sprzedawanego potem spragnionym rozrywek amatorom procentów i maniakom seksualnym, był tu tylko pilnie strzeżonym przed ujawnieniem szczegółem. Oczywiście tak naprawdę ludzie musieli wiedzieć, co dzieje się w *shabin*, bo to miejsce miało sporo klientów, a ci, nawet jeśli nie chwalili się wszem wobec bywaniem u Mamy, pewnie też jakoś bardzo tego nie ukrywali. To nie był tajny klub. Można było do niego wejść z ulicy, ale swoista zmowa milczenia, nieprzebrana wręcz hipokryzja i zapewne też strach przed Limbanim powodowały, że legenda świętej Mamy i jej sierot z *shabin* zupełnie nie przeszkadzała w prowadzeniu burdelu i meliny pod tym samym adresem.

Tymczasem przegląd towaru trwał, a towarzysz Limbaniego był coraz bliższy podjęcia decyzji. Żarty ucichły, on zaś w skupieniu i bardzo dokładnie analizował twarze i sylwetki dziewcząt, wśród których się przechadzał. W końcu zaczął wybierać. Wskazywał na dziewczyny, którym Mama od razu nakazywała przejście na bok.

By nie rzucać się w oczy, schowałam swoją cekinową torebkę pod spódnicę. Mogła przykuć jego uwagę, a ja bardzo tego nie chciałam. Zdążyłam wprawdzie znienawidzić to miejsce, ale i tak się bałam, że znajdę się wśród wybranych. Wolałam zostać tutaj, niż znowu jechać w nieznaną i ryzykować, że moje życie stanie się jeszcze gorsze. Szczęśliwie nie zostałam wybrana. Udało mi się wtopić w tłum dziewczyn, które miały zostać.

– Przygotujcie je. Jutro przyjedzie po nie samochód – powiedział klient pana Limbaniego po tym, jak wybrał osiem z nas.

Trudno było stwierdzić, jakim kluczem się kierował. Każda ze wskazanych dziewcząt była ładna i młoda, wszystkie raczej byłyśmy takie. Jeśli jednak miałabym wskazać jakąś ich wspólną cechę, byłaby to cera – miały dość jasną karnację w porównaniu z innymi. Ja w sumie też

wydawałam się nieco jaśniejsza, ale na szczęście niewystarczająco, by wpaść mu w oko.

Wybrane dziewczyny zostały odseparowane i miały zacząć się przygotowywać. Pan Limbani nakazał, by zrobiono to według najwyższych standardów. Dobrze znał zasadę, że klient zadowolony z towaru zawsze przychodzi kolejny raz. Reszta dziewczyn wróciła do pracy. Bar otwarto kilka minut po tym, jak Limbani i jego gość wyjechali. Natychmiast też pojawiło się w nim kilkunastu spragnionych rozrywki mężczyzn, którzy z niecierpliwością czekali pod zwykle otwartymi o tej porze dnia drzwiami knajpy.

Tego wieczoru w *shabin* miał miejsce nieszczęśliwy wypadek. Nie do końca wiadomo, jak do niego doszło, bo szybko obrósł legendą, ale faktem było, że do łaźni dostał się *naja* – dobrze znany w moim kraju jadowity wąż. Prawdopodobnie podpełznął pod wyłożoną deskami część, po której spływała woda, zachęcony wilgotnym ciepłem wprosił się do środka, a gdy zaskoczyła go obecność ludzi, zaatakował. Woda tego dnia przeznaczona była głównie dla dziewczyn wybranych do transportu. Miały całą łaźnię wyłącznie na swój użytek.

Wąż wywołał ogromną panikę. Został sprawnie unieszkodliwiony przez jednego z wezwanych ochroniarzy, ale zanim to się stało, zdążył ukąsić jedną z dziewcząt, nieszczęsną Siegele. Nie znałam jej wcześniej. Zapewne widywałyśmy się w przelocie, na pewno podczas posiłków, ale jej imię poznałam dopiero w chwili, gdy w *shabin* wybuchło poruszenie wywołane przez atak *naja*. Wyglądało na to, że jej ziemskie imię nie będzie jej potrzebne zbyt długo. Stan Siegele pogarszał się w błyskawicznym tempie. Mama natychmiast wezwała lekarza, bynajmniej nie z troski, a ze strachu. Musiała też poinformować o wszystkim pana Limbaniego. Był wściekły. Kazał za wszelką cenę postawić dziewczynę na nogi.

– Jutro ma być gotowa! I lepiej, żeby nie kombinowała, bo jak się dowiem, że próbuje uniknąć transportu, to dopiero będzie jej ostatni dzień na tej ziemi! Przekona się, jak smakuje mój jad! Przy nim ukąszenie *naja* to dziecięca igraszka – wrzeszczał jak opętany.

Jego słowa okazały się prorocze. Niedługo po północy Siegele wydała ostatnie tchnienie. Nie udało się jej uratować. Nie jestem zresztą pewna, czy ktoś naprawdę próbował. Jeśli leczono ją takimi metodami jak przy

zapaleniu dróg rodnych czy chorobach wenerycznych, to od początku była skazana na śmierć.

Limbani był wściekły. Następnego ranka przyjechał do *shabin* osobiście. Grzmiał już od wejścia. Cały swój gniew skupił oczywiście na Mamie. Ta nigdy wcześniej nie była tak zbita z tropu, tak przestraszona.

– Jak ty ich pilnujesz! Przecież to jasne, że ta suka się zabiła! Na złość to zrobiła!

Poziom absurdu zarzutów Limbaniego był wręcz piramidalny, ale wiele mówił też o jego skrajnym narcyzmie. Wszyscy, którzy swoim istnieniem lub nieistnieniem powodowali jakieś problemy, posądzeni byli przez niego o złośliwość. Zachowywał się jak rozkapryszony, tupiący nóżką chłopiec. Z tą różnicą, że Limbani był bardzo niebezpieczny.

– Masz natychmiast załatwić tę sprawę! – wrzeszczał na Mamę, a jego głos niósł się po baraku, docierając do uszu przebywających w nim dziewcząt.

Przez jakiś czas słychać było tylko szmer trudnych do rozszyfrowania szeptów, a potem znowu rozległ się wrzask Limbaniego:

– Trzy najlepsze! Przyjadą tutaj po nie za godzinę. Mam nadzieję, że mój klient wybierze sobie jakąś za tę cwana smarkulę! A jak nie, zapłacisz za to z własnej kieszeni! Jemu i mnie!

Mama była dosłownie sparaliżowana strachem, gdy pojawiła się w naszych prowizorycznych kwaterach. Wskazała na mnie i dwie inne dziewczyny.

– Ubierzcie się porządnie.

Obleciał mnie strach. Słowa Limbaniego wykrzyczane na odchodne nagle nabrały sensu. „Trzy najlepsze” miały być ofertą w zastępstwie za zmarłą dziewczynę. Handlarz chciał w ten sposób udobruchać swojego klienta na wypadek, gdyby ten przejął się brakiem wybranej dziewczyny.

Moim zdaniem, gdyby podstawiono mu inną dziewczynę, nawet nie zauważyłby różnicy, ale Limbani nie chciał ryzykować konfliktu z człowiekiem, który miał międzynarodowe kontakty. On sam też bardzo na nie liczył. Ewidentnie miał kompleks, bo choć udało mu się stworzyć sieć wpływów sięgającą niemal każdego zakątka Malawi, jego władza nie wykraczała poza granice kraju, a on czuł, że należy mu się znacznie więcej. To dlatego o kontakty z każdym, kto mógł go wypromować poza krajem, zabiegał z przesadną pieczołowitością.

Od tej chwili wszystko potoczyło się bardzo szybko. Nie minęła godzina, a we trzy w milczeniu siedziałyśmy na tylnym siedzeniu samochodu osobowego. Jechałam takim po raz pierwszy w życiu, ale w tamtym momencie nie potrafiłam już wykrzesać z siebie entuzjazmu.

Nie znałam dziewczyn, które mi towarzyszyły. To była smutna rzeczywistość życia w *shabin*. Mieszkałyśmy wszystkie na dość ograniczonej przestrzeni, ale nie znałyśmy się prawie w ogóle. To miejsce nie sprzyjało budowaniu relacji, choć mam wrażenie, że była głębsza przyczyna tego stanu rzeczy. Każda z nas wyniosła potężną traumę z miejsca, z którego ją wyrwano, a znalezienie się w przytułku, tak naprawdę będącym burdelem, tylko te traumy potęgowało. To nie jest sytuacja, która budzi otwartość na drugiego człowieka. Wręcz przeciwnie. Zamykałyśmy się w sobie, by ochronić choć resztki tego, co nam zostało.

Przyglądałam się swoim towarzyszkom kątem oka. Jedna z nich wyglądała, jakby zapadła się w sobie. Zdawała się kompletnie nieobecna, sparalizowana. Nawet jazda po wertepach nie przeszkadzała jej w trwaniu w bezruchu.

Druga płakała, ale tak, że nie wydawała z siebie ani jednego dźwięku. Wyraźnie miała w tym wprawę, bo jest to nie lada sztuka. Łzy płynęły z jej oczu, a ona tylko oddychała miarowo, co zapewne było jej sposobem na ukojenie emocji.

Pomyślałam, że jeśli mężczyzna, który ma wybrać jedną z nas, będzie oceniał po wyglądzie – a nie bardzo byłam w stanie sobie wyobrazić, czym innym miałyby się kierować – to bycie opuchniętą i czerwoną od łez jest całkiem niezłą strategią. Oczywiście nie twierdzę, że ta dziewczyna płakała celowo, ale chciałam i sobie dać tę szansę. Niestety nie potrafiłam. Nie umiałam płakać. Moje oczy były wyschnięte jak rzeki Malawi. Nawet gdy mi się wydawało, że płaczę, nie wilgotniały.

To właśnie wtedy zdałam sobie z tego sprawę. Przypomniałam sobie, że lata codziennego bicia przez moich braci zupełnie mnie znieczuliły. Nigdy nie płakałam, gdy okładali mnie kijem. Nie płakałam, gdy mój ojciec mnie sprzedał. Nawet gdy Akuzike odeszła, z moich oczu nie płynęły łzy. To nie znaczy, że nie było mi smutno, że mojego serca nie rozdzierała rozpacz. Po prostu moje oczy nie produkowały łez. Może dlatego, że podświadomie nie chciałam dawać światu znać, że jestem słaba. Ukrywałam swój smutek

przed ludźmi, bo oni najczęściej rozpoznają go właśnie po łzach, rzadko zaglądną w głąb duszy.

W końcu zatrzymaliśmy się przed jakimś domem. Był murowany i naprawdę duży. Chyba najładniejszy, jaki do tej pory widziałam. To nie jest w moim kraju częsty widok. Niewielu ludzi stać na to, by wybudować dom, a przytłaczająca większość mieszka w chatach, które w najlepszym wypadku oblepione są gliną. Ja przynajmniej właśnie w takiej się wychowałam, a w podobnych mieszkali wszyscy, których znałam w dzieciństwie. Ten dom musiał robić wrażenie na absolutnie wszystkich. Na mnie na pewno, ale wcale nie chciałam w nim zostać. Wciąż miałam nadzieję, że będzie mi dane ruszyć w drogę powrotną. W przeciwieństwie do tamtego dnia, gdy zabrano mnie od ojca i braci, nie widziałam w tej podróży szansy na lepsze życie. Byłam przeświadczona o tym, że choć w *shabin* jest koszmarnie, wszędzie indziej może być tylko gorzej.

Zgodnie z moimi przypuszczeniami dom należał do mężczyzny, który pojawił się razem z Limbanim w naszym *shabin*. Zostałyśmy przyjęte przed wejściem do jego posiadłości, jakby nasza obecność miała ją w jakiś sposób skazić. Wszystko przebiegło bardzo szybko. Mężczyzna wyszedł, wskazał na mnie i dziewczynę, która wciąż zachowywała się jak zombie. Ta zapłakana została odrzucona i wróciła do *shabin*, a nam kazano czekać. Okazało się, że Limbani oddał dodatkową dziewczynę za darmo, by udobruchać swojego klienta. Ten najprawdopodobniej udawał bardzo niezadowolonego, chcąc ugrać więcej. Zaraz po dokonaniu wyboru gospodarz wszedł z powrotem do domu, zostawiając nas w upale pod okiem swoich ochroniarzy.

Usiadłyśmy w cieniu budki strażniczej, nadzorowane przez uzbrojonego w karabin, umundurowanego chłopaka, który mógł być od nas co najwyżej trzy, może cztery lata starszy, i czekałyśmy. To niesamowite, jak szybko człowiek jest w stanie odnaleźć spokój w tym, że nic od niego nie zależy. Jeśli tylko tak naprawdę zdamy sobie sprawę, że niczego nie możemy, nagle cała presja ratowania się znika. To nadzieja na lepsze ciągle pcha nas w odmętę strachu. Gdy ona pryska, ulatnia się i on. Ja nie miałam już nadziei, że moje życie się zmieni, jeśli tak, to pewnie tylko na gorsze, więc po prostu musiałam to zaakceptować.

Mężczyzna, który mnie odkupił od Limbaniego, nazywał się Fatsani Bakuwa. Swoje interesy robił głównie z Chińczykami. Handlował z nimi

niemal wszystkim. Sprowadzał do Malawi mnóstwo chińskiego badziewia, które mimo panującej w kraju biedy rozchodziło się na pniu, ale sporo też eksportował.

Nie wiadomo, jak nawiązał z nimi kontakt, ale jego rodzina była bardzo wpływowa i od pokoleń zajmowała się produkcją tytoniu. On i jego bracia byli właścicielami ogromnych plantacji, a jedyną szansą na jego sprzedaż było szukanie odbiorców za granicą, i to zapewne stanowiło trampolinę do wejścia w światek szemranych interesów z biznesmenami z Chin. Ci szybko się zorientowali, że poza tytoniem Malawi ma inny, całkiem chodliwy towar na zbyciu – kompletnie pozbawione własnej woli, idealnie nadające się do burdeli młode dziewczynki, kupowane lub przejmowane od zadłużonych rodziców.

Bakuwa sam miał dostęp do dzieci pracowników, których zatrudniał na plantacjach. Dokładnie tak jak Limbani odbierał im je lub kupował, wykorzystując rozmaite formy szantażu, ale nie prowadził własnych *shabin*, więc gdy dostawał większe lub bardzo sprecyzowane zlecenie, przyjmował rolę pośrednika i odkupował dziewczęta od Limbaniego.

Bakuwa skupiał się na organizowaniu pierwszej fazy przemytu żywego towaru za granicę. Wkrótce miałam się przekonać na własnej skórze, jak dokładnie wygląda ten proceder.

Kilka godzin później dołączyłyśmy do pozostałych dziewczyn wybranych poprzedniego dnia przez Fatsaniego Bakuwę. Było nas dziewięć i jeszcze pięć innych, które handlarz zdobył zapewne z innego źródła. Zastanawiałam się, skąd się wzięły. Ciekawość nigdy nie leżała w mojej naturze, bo moje życie mnie do niej nie stymulowało. Żeby być ciekawym świata i ludzi, trzeba mieć świadomość, że istnieją, a ja nie wiedziałam, że jest coś poza moją wioską, że gdzieś tam żyją jeszcze jacyś ludzie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nawet jeśli by tak było, pewnie byłiby tacy sami jak ci, których znałam. Naprawdę nawet przez myśl mi nie przeszło, że można robić coś innego, być kimś innym.

Zebrano nas w małym pokoju. Podłogi w nim wystarczyło, byśmy wszystkie mogły siedzieć z wyprostowanymi nogami, a może nawet położyć się na boku, ale nie było jej wiele więcej. Siedziałyśmy w niemal zupełnej ciszy i to ja byłam tą, która ją przerwała.

– Skąd jesteście? – rzuciłam w eter pytanie.

Czekałam, aż ktoś je podchwyci, ale w pokoju panowała grobowa cisza. Wiele z dziewczyn, przerażonych tym, że któraś z nas odważyła się odezwać, wstrzymało oddechy, nawet ich nie było już słyhać.

Ta konsternacja trwała dłuższą chwilę, aż w końcu jedna z siedzących nieopodal mnie odważyła się na szept:

– Mnie przywieźli z obozu Dzaleka.

Nie miałam pojęcia, gdzie to jest i co to za obóz, ale byłam wdzięczna, że zdobyła się na odwagę i wybawiła mnie od niezręczności tkwienia w milczeniu przez kolejne godziny.

– Gdzie to jest? – spytałam, wiedząc, że żadna odpowiedź tak naprawdę nic mi nie da. Przecież ja nie wiedziałam, gdzie jest cokolwiek.

Kalisa – tak miała na imię dziewczyna, która się do mnie odezwała. Była mniej więcej w moim wieku. Jej rodzice przed laty jako dzieci uciekli z trawionej wojną domową Rwandy i trafili do obozu dla uchodźców znajdującego się około czterdziestu kilometrów od Lilongwe, stolicy Malawi. Ten jedyny w kraju obóz dla uchodźców był przeznaczony dla ludzi uciekających przed ludobójstwem i wojnami w Burundi, Rwandzie i Demokratycznej Republice Kongo. Jego populacja z czasem urosła w dziesiątki tysięcy, znacznie przewyższając możliwości zakwaterowania i zapewnienia życia w godziwych warunkach.

Wojna domowa w Rwandzie rozpoczęła się na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku pomiędzy dwoma plemionami Tutsi i Hutu. U jej zarania chodziło o to, czyja tak naprawdę jest Rwanda i kto był jej pierwszym mieszkańcem. Tego problemu nie potrafią bez wątpliwości rozstrzygnąć nawet bardzo zaangażowani w sprawę naukowcy. Jedna z teorii przyznaje pierwszeństwo Hutu, twierdząc, że Tutsi migrowali na te tereny z miejsca zwanego Rogiem Afryki. W alternatywnej wizji oba plemiona sukcesywnie zasiedlały rwandyjską ziemię symultanicznie. Niezależnie od tego, jaka była prawda, zarówno Tutsi, jak i Hutu uważali się za jedynych prawowitych władców tej ziemi. Hutu byli jednak zdecydowanie bardziej zdeterminowani, rządząc Tutsi jedną z najbardziej krwawych rzezi w historii planety i zmuszając setki tysięcy z nich do ucieczki.

Konflikt między Tutsi i Hutu doprowadził też do wybuchu wojny w Burundi i miał ogromny wpływ na dwie wojny domowe w Demokratycznej Republice Kongo, które rozlały się również na Sudan i Ugandę. Koniec XX wieku sphywał

hektolitrami krwi w afrykańskich krajach, a wielu ich mieszkańców zmienił w uchodźców.

W Dzaleka zaczęła panować potworna bieda, a coroczne susze i zawieruchy polityczne w kraju tylko pogarszały sytuację osiedleńców. Rodzice Kalisy byli Tutsi. Dorastali w obozie i tam też założyli własną rodzinę. Doczekali się czwórki potomstwa, a Kalisa była ich trzecim dzieckiem. Choć warunki życia w obozie były bardzo trudne, stały się ich rzeczywistością, a przez wspomnienie masakry, jakiej byli świadkami we własnym kraju, rodzice dziewczyny nigdy nie narzekali na to, jak przyjęło ich Malawi.

Niestety obóz z czasem stał się łatwym łupem dla zbirów, którzy potrzebowali taniej siły roboczej – albo żywego towaru na sprzedaż. Miejsce opanowali samozwańczy szamani, którzy zaczęli wmawiać ludziom choroby albo inne nieszczęścia, jakie spadną na nich, jeśli nie pozbędą się opętanego ich zdaniem przez demony dziecka. Zaczęli tworzyć coś w rodzaju religii, która zatruwała umysły pozbawionych dostępu do edukacji biedaków, i skłaniać ich do robienia potwornych rzeczy.

W Dzaleka zaczęły odbywać się nielegalne targi, na których zdesperowani rodzice sprzedawali swoje potomstwo. Jedni po to, by pozbyć się siedliska demonów, inni dla ratowania pozostałych dzieci przed śmiercią głodową. Handlarze ludźmi, tacy jak pan Limbani czy Fatsani Bakuwa, często wysyłali na nie swoich przedstawicieli, a ci nigdy nie wracali z pustymi rękoma.

– Dlaczego rodzice cię sprzedali? – spytałam cicho.

– Szaman powiedział, że moja mama jest chora przeze mnie. I że ja też jestem chora, ale on kontroluje obie te choroby.

– I nie mógł ich po prostu wyleczyć?

– Jedynym sposobem na wyzdrowienie jest to, żebym zabrała obie choroby i poszła w świat, a jak znajdę się wystarczająco daleko od domu, on je uwolni i będę mogła wrócić do rodziców zupełnie zdrowa. Wtedy też wyzdrowieje moja mama.

– Co to za choroba?

– Nie wiem, mama od dawna jest osłabiona. Nie je, wymiotuje i coraz bardziej opada z sił. Nie ma chwili do stracenia, więc mam nadzieję, że

niedługo nas wywiozą, tak żebym mogła pozbyć się tej jej choroby. Szaman obiecał, że to zrobi, jak tylko poczuje, że jestem wystarczająco daleko.

Kalisa mówiła o tym z takim przejęciem, że ja sama przestraszyłam się tego szamana. On miał być w tej opowieści bohaterem pozytywnym, który ratował dwie kobiety od zła, ale jakoś podświadomie nie wierzyłam, że tak jest naprawdę. Nie mogłam być oczywiście tego pewna. Dziś już wiem, że to kompletne bzdury, które mają na celu tylko wymuszenie na biednych ludziach posłuszeństwa, ale już wtedy widziałam w tym jakiś przekręt.

Może to cynizm, jaki pojawił się w moim podejściu po tym, jak potwornie mnie oszukano. Kiedy pełna nadziei na lepsze życie poza okrutnym domem, na odnalezienie ukochanej siostry, w wieku zaledwie kilkunastu lat zostałam dziwką gwałconą paręnaście razy dziennie. Kalisa nie miała takich doświadczeń. Los jej ich oszczędził, ale wiedziałam, że nie na długo. W jej zapale do jak najszybszego wyjazdu widziałam swoją dawną naiwność. Wiedziałam też, że jak już wyjedzie, wcale nie zdarzy się to, co jej obiecano, choć życzyłam jej tego z całego serca. Nie próbowałam wyprowadzić jej z błędu. Sama tęskniłam do czasów swojej własnej nieświadomości i nie chciałam jej tego odbierać. Rozmawiałyśmy jeszcze przez jakiś czas, po czym obie dołączyłyśmy do reszty śpiących już dziewcząt.

To była bardzo krótka noc. Obudzono nas, gdy na dworze było jeszcze zupełnie ciemno. Zaspane i zdezorientowane, trafiłyśmy na przykryty plandeką tył ciężarówki. Zająłam miejsce w jej rogu, tak by mieć się czego trzymać. Wiedziałam, co oznacza transport takim autem, choć to, którym jechałam do *shabin*, było znacznie mniejsze. Przyciągnęłam bliżej zagubioną Kalisę i wtulone w siebie czekałyśmy na moment odjazdu.

W końcu samochód ruszył, bezlitośnie spychając nas wszystkie na jedną stronę. W ciemnościach nocy, przy zasłoniętej plandecce, tkwiłyśmy w otchłani, z trudem dostrzegając kontury tych, które siedziały najbliżej nas. Na wertepach rzucało niemiłosiernie. Po kilkunastu minutach podróży niektóre z dziewczyn zaczęły wymiotować, inne skarżyć się na otarcia, siniaki i rany.

Starałam się za wszelką cenę uniknąć kłopotów, ale już samo trzymanie się blaszanego boku ciężarówki powodowało obrażenia. Skóra na wnętrzach dłoni zaczęła mnie piec, a chwilę później otarcia zmieniły się w małe krwawiące rany. Gdy krew płynęła już na całego, musiałam

zrezygnować ze swojej jedynej szansy na w miarę stabilną pozycję, zawiązać dłonie w bluzkę i liczyć na to, że nic gorszego mi się nie przytrafi. Przez całą drogę warkot silnika ciężarówki pobrzmiwał przy łamiącym serce akompaniamencie bolesnych jęków moich współtowarzyszek.

W pewnym momencie samochód stanął, silnik umilkł. Stał w gąszczu, pośród drzew. Nie miałam pojęcia, gdzie jesteście. Do dziś nie wiem, jak wyglądała trasa tego transportu, którą wiodła. Pamiętam jedynie, że podróżowałyśmy pod osłoną nocy, a dni spędzałyśmy w duchocie paki. Mężczyźni, którzy nas wieźli, pozwalali nam wychodzić z niej tylko po to, by się załatwić. Miałyśmy na to szansę co najwyżej dwa razy w ciągu dnia – zaraz po przyjeździe i tuż przed odjazdem. W ciągu trzech dni każda z nas dostała zaledwie kilka bananów i niewiele wody do popicia. Na całą naszą grupę zostawiali nam jeden pięciolitrowy baniak. Picie z niego z jednej strony przynosiło ulgę, z drugiej było potwornie bolesne, bo moje zdarte do żywego dłonie ledwo były w stanie utrzymać butlę.

Na miejsce, w którym miałyśmy zmienić środek transportu, dotarłyśmy niemal zupełnie wyczerpane, a to był dopiero początek. Powiedziałabym, że raczej łatwiejszy etap tej podróży.

Po trzech nocach jazdy dotarłyśmy do miejsca położonego nad morzem. Ciężarówka wjechała do dużego baraku w porcie, w którym przeładowano nas do specjalnie przygotowanego kontenera. Na jego tyle zbudowane było prowizoryczne pomieszczenie, w którym miałyśmy się zmieścić wszystkie. Jediną szansą, by się to udało, było siedzenie w kucki. Każda z nas przed wejściem dostała butelkę wody i papierową torebkę z grudkami cukru. Niektóre z dziewczyn dosłownie rzuciły się na te dary. Okazało się to dużym błędem, ale wtedy nie mogłyśmy jeszcze tego wiedzieć. Nikt nie dawał nam żadnych instrukcji. Przez całą dotychczasową podróż słyszałyśmy tylko rozkazy „wsiadać, wysiadać”. Transportujący nas mężczyźni byli oszczędni w słowach, obcesowi i unikali kontaktu wzrokowego, jakby wstydziło się tego, co robią. A może mieli wyrzuty sumienia i w ten sposób je uciszali?

Kiedy weszłyśmy do środka, pomieszczenie zamknięto, a kontener załadowano tytoniem. Nagle wszystko ucichło. Znowu siedziałyśmy w mroku i wsłuchiwałyśmy się we własne oddechy. Przez szpary i wywiercone w górnej ścianie tej prowizorycznej celi otwory sączyło się wątłe światło.

To wszystko trwało bardzo długo. Nie wiem ile, bo znużona bezruchem, zmęczona długą podróżą samochodem i zadowolona, że wreszcie nie muszę walczyć o to, by utrzymać się w jednej pozycji, szybko zasnęłam.

Obudził mnie hałas i wrażenie, że kontener przechyliła się na bok, a następnie unosi. Po chwili nie miałam już wątpliwości, że jesteśmy w powietrzu. Kontener huśtał się miarowo, co przyprawiało nas wszystkie o mdłości, by wreszcie opaść z hukiem. Później co jakiś czas słyszałyśmy podobne dźwięki w oddali, a potem nie działo się już nic.

Temperatura w kontenerze stawała się nie do zniesienia, pot spływał z nas wszystkich hektolitrami. Marzyłam, by można było odzyskać go jako wodę pitną, bo tej szybko zaczęło nam brakować. Nie było też mowy o tym, byśmy mogły oddalić się w jakieś ustronne miejsce, a przecież każda z nas miała naturalne potrzeby fizjologiczne. Dlatego wkrótce do wysokiej temperatury i braku tlenu dołączył jeszcze niemiłosierny smród. Wiele razy się zastanawiałam, ile trwała ta podróż. Wydawała się wiecznością, ale realnie mogło to być pięć, może siedem dni.

Najgorsze było kilkanaście godzin sztormu. Nieustające huśtanie, opadanie i wznoszenie. Do tego po prostu nie dało się przyzwyczaić. Byłam pewna, że to moje ostatnie chwile na tej ziemi i o dziwo, wcale nie odczuwałam z tego powodu strachu ani smutku. Miałam tylko nadzieję, że jak umrę, to wszystko naprawdę się skończy, że nie będzie to tylko kolejny etap i nie wpadnę znowu w ręce jakichś ludzi, którzy będą mnie traktowali jak rzecz.

I chyba naprawdę wolałabym umrzeć niż zobaczyć to, co w końcu ukazało się moim oczom...

Z czternastu dziewczyn, które Fatsani Bakuwa wysłał swojemu klientowi, żywych dotarło na miejsce tylko pięć. Pozostałe udusiły się lub zmarły z wyczerpania. Miałam nadzieję, że wśród tych, które przeżyły, odnajdę Kalisę, ale niestety nie przetrwała transportu. Leżała w kałuży odchodów i wymiocin, przytulona do ciała innej martwej dziewczyny.

Jacyś mężczyźni w maskach i gumowych rękawiczkach kazali nam wyjść z kontenera. Po kilku dniach w ciemnościach moje oczy miały spore trudności z przystosowaniem się do światła. Chodziłam niemal po omacku. Zaraz po wyjściu z kontenera zostałyśmy poprowadzone w miejsce, gdzie jakiś mężczyzna wycelował w naszym kierunku szlauch, by zmyć z nas

smród potu, odchodów i moczu. Wyraźnie nie robił tego po raz pierwszy w życiu.

Martwych dziewczyn nie wyjęto z kontenera, nie umyto, nie pochowano. Kiedy stałam na betonowym nabrzeżu, ociekając wodą, usłyszałam zgrzyt łańcuchów. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak kontener, z którego przed chwilą wyszliśmy, unosi się i przechyla, a ciała dziewczyn, oblepione śmierdzącą breją, wpadają do morza jak zużyty, wybrakowany, nikomu niepotrzebny towar.

ROZDZIAŁ 4

Indra

Nadal nie miałam pojęcia, gdzie jestem ani jak wyglądała droga, którą przebyłam. Osłabiona i potwornie zmęczona, straciłam ogłęd sytuacji. Pamiętam, że po tej upokarzającej „kąpieli”, która jednak przyniosła mi sporą ulgę, ubrano mnie i pozostałe dziewczyny w czyste, zwiewne szaty i zapakowano do kremowego busa. To było tak niesamowite uczucie, jakiego nie jest w stanie zrozumieć człowiek, dla którego codziennym doświadczeniem jest choćby jazda samochodem. Od dawna już nie przebywałam w tak komfortowych warunkach, w miękkim fotelu przestronnego auta, którego wnętrze osłonięte było przed światem gęstymi zasłonami. Nie okazywałam emocji, ale tak bardzo się cieszyłam, że nikt już nie wpycha mnie na pakę ciężarówki ani do sekretnej klatki w kontenerze. Gdybym miała spędzić kolejne godziny w takich warunkach, chyba sama wskoczyłabym do morza w ślad za ciałami tych biednych dziewczyn, które nie przeżyły transportu.

Nagle się zorientowałam, że nie mam już swojego największego skarbu. Moja emeraldowa torebka zniknęła. Nie miałam w niej niczego cennego, ale sama w sobie, nie wiedzieć czemu, znaczyła dla mnie bardzo dużo. Pamiętam, że miałam ją jeszcze w ciężarówce, i bardzo prawdopodobne, że straciłam dopiero w kontenerze. Wyrzucono ją do morza wraz z tymi nieszczęśnikami. Przez chwilę miałam wyrzuty sumienia, że żałuję torebki bardziej niż ich samych. Czy pod wpływem doświadczeń zmieniałam się w potwora? To było okropne odkrycie, ale chyba mocno mnie ono otrzeźwiło, bo udało mi się zatrzymać proces korozji mojej duszy. Choć czasami się zastanawiam, czy wciąż jeszcze mam duszę.

Zanim bus ruszył, drobny ciemnoskóry chłopiec ubrany na biało przyniósł nam kosz z daktylami i pięciolitrowy baniak pełen czystej wody.

Rzuciłyśmy się na te dary z takim zapałem, że już po chwili nie było po nich śladu. Chyba nigdy wcześniej nie byłam tak głodna. Pamiętam, że niedługo potem dopadł mnie potworny ból brzucha. Wszystkie się na niego skarżyłyśmy. Każda z nas rozważała ewentualność, że nas otruto. Zaczęłyśmy nawet o tym rozmawiać.

– To musiała być trucizna, przecież wszystkie to czujemy. To nie mógł być przypadek – powiedziała jedna z moich towarzyszek.

Na te słowa dwie z nich zaczęły płakać.

– Nie chcę umierać... – łkały.

Teraz śmierć wydawała mi się dużo bardziej okrutnym rozwiązaniem niż w czasie, gdy myślałam o niej z ulgą, siedząc w cuchnącej brei ludzkich wydzielin i rozkładających się ciał w kontenerze. Poza tym nie wierzyłam w to całe otrucie.

– Przecież nie po to nas tu przywieźli, żeby teraz nas otruć. Jaki mieliby w tym interes? Same słyszałyście, cieszyli się, że przeżyło nas aż pięć. I co, mieliby nas otruć? – przekonywałam dziewczyny, a przy okazji również samą siebie.

Wszystkie jeszcze tak mało wiedziałyśmy o życiu. Żadnej z nas nie przyszło na myśl, że łąpczywe zjedzenie suszonych owoców, zwłaszcza po tak długiej głodówce, i zapicie ich sporą ilością wody będzie miało swoje konsekwencje dla żołądka.

Nie byłam pewna, czy mam rację, ale obstawałam przy swojej wersji – otrucie nas nie miałyby sensu. I faktycznie nikt nie miał zamiaru nas otruć.

Bussem jechałyśmy bardzo długo, zatrzymując się tylko kilka razy i tylko na chwilę. Gdy dojechałyśmy na miejsce, było już rano. Wcale nie miałam ochoty wysiadać. Brzuch przestał mnie boleć, było mi wygodnie, upajałam się dobrodziejstwem klimatyzacji i korzystałam z możliwości, że mogę się wypaść. Byłam przemycanym towarem, ale wtedy czułam, że nigdy jeszcze nie byłam tak blisko luksusu. Nie miałam pojęcia, że jestem transportowana do miejsca, które ludziom na całym świecie kojarzy się właśnie z luksusem. Zresztą nawet gdy już przywieziono mnie do Dubaju, nie miałam świadomości, że w nim jestem. Wcześniej nie słyszałam przecież o jego istnieniu. Dla mnie to było porównywalne z lądowaniem na Marsie.

Miasto z wysokimi budynkami, asfaltowymi drogami, wyłożonymi kostką chodnikami... Byłam w szoku, gdy po raz pierwszy znalazłam się na ulicy w Dubaju. A warto dodać, że miejsce, do którego mnie przywieziono, nie

grzeszy urodą i charakteryzują je strzeliste wieżowce. Dla mnie jednak było emanacją raj. Najpiękniejsze na świecie, uderzające, niezwykle, cudowne!

Dopiero po latach tam wróciłam. Nie robi już takiego wrażenia. Wręcz przeciwnie – jest odrażające. Nie wiem, czy to ze względu na moje późniejsze doświadczenia, czy po prostu zmieniła mi się optyka, a może jedno i drugie, ale tak właśnie je postrzegałam. To miejsce znajduje się w pobliżu Maleha Street. To tam, w jednym z budynków mieszkalnych, spędziłam swoją pierwszą noc w mieście, z którego pewnie już nigdy nie zdołam wyjechać.

– Dlaczego miałybyś tu zostać na zawsze? – pytam Abi, podejrzewając, że dobrnęliśmy do końca jej opowieści, choć moje obliczenia mówią, że powinna mieć ciąg dalszy. Mówiła, że sprzedano ją sześć razy. Jej ojciec, pan Limbani i Fatsani Bakuwa – to dopiero trzy osoby, które potraktowały ją jak towar.

– Bo nie mogę stąd wyjechać. Mogę być stąd tylko wywieziona albo deportowana. Ja nie mam żadnych dokumentów, władze Dubaju nie wiedzą, że istnieję. Jestem kimś, kto żyje zupełnie poza systemem. Więcej praw mają nawet psy, których właściciele rejestrują je, szczepią, zakładają im paszporty i książeczki zdrowia. Takie dziewczyny jak ja nie mogą liczyć na żadne tego typu luksusy. Jesteśmy przedmiotami, sprzętem domowym, czasami dekoracją, ale na pewno nie ludźmi.

Abi mówi o tym wszystkim spokojnie, jakby bez urazy. Jeśli jej szacunki są właściwe, miała dziesięć lat na to, by przywyknąć do swojej sytuacji. Całkowicie ją zaakceptować. Choć trudno mi uwierzyć, że można tak żyć, ona wcale nie wydaje się z tego powodu załamana.

Zbliża się trzecia w nocy. Czas, kiedy dubajskie kluby pustoszeją. Za chwilę na ulicach pojawią się wylewające z nich tłumy. Niektóre restauracje będą jeszcze przez kolejne godziny obsługiwać klientów, którzy nie mają dosyć i nie zamierzają wracać do swoich domów, apartamentów czy hoteli. Wielu z nich właśnie tam przeniesie swoje imprezy.

– Do której masz czas? – pytam w obawie, że nie będzie mi już dane jej spotkać, a wiem, że wciąż jeszcze mamy sporo do obgadania.

– Youli wciąż nie dzwoniła – odpowiada Abi, sprawdzając swój telefon.

– A nie jesteś zmęczona?

– O tej porze? – Uśmiecha się, dając do zrozumienia, że nieprzespane noce to dla niej chleb powszedni, po czym wzywa kelnera i zamawia drinki.

Dla mnie też, nie pytając, czy mam ochotę. Nie piję alkoholu, ale nie chcę z tego robić tematu. Najważniejsze, że jest gotowa opowiedzieć mi ciąg dalszy historii swojej i handlarzy, z którymi miała do czynienia.

Rano zawieźli nas do jakiegoś hangaru. To był ogromny magazyn w odludnym miejscu na pustyni. Dziewczyny, z którymi później o tym rozmawiałam, mówiły mi, że znajduje się w pobliżu Jebel Ali, ale nie mam co do tego pewności, zresztą nie samo miejsce, ale fakt jego istnienia jest tu najważniejszy. Dość powiedzieć, że jedynymi oznakami cywilizacji, jakie dostrzegłam po drodze, były ogromne słupy do przesyłania energii elektrycznej oraz nowoczesne, czarne, szerokie i lekko przysypane piachem drogi.

To tam poznałam człowieka, na którego zlecenie działał Fatsani Bakuwa. Nigdy nam się nie przedstawił, a dziewczyny nazywały go po prostu Chińczyk. Tak zresztą mówili o nim również jego klienci. Faktycznie był Chińczykiem, który zbijał fortunę na sponsorowaniu przemytu dziewcząt z kilkunastu biednych krajów i organizowaniu swoistych targów, na których inwestorzy z dubajskich burdeli mogli zakupić nowe dziewczyny do swoich przybytków. Z jego usług korzystali głównie sutenerzy, którzy prowadzili tanie burdele w uboższych dzielnicach, a których nie było stać na to, by zainwestować w przemyt, nie mieli też wystarczająco dużej siły perswazji, by łączyć ze sobą dziewczyny już pracujące w klubach lub próbujące sił w tym zawodzie na własną rękę. Właściciele luksusowych agencji nie znaleźliby w tym miejscu niczego dla siebie. Niczego, bo przecież nie nikogo...

Ustawiono nas w rzędzie. Każdą kilka kroków od kolejnej. Na miejsce zwieziono znacznie więcej dziewczyn niż tylko nasza piątka. I ciągle dowożono kolejne. Były tam nie tylko dziewczęta ciemnoskóre, takie jak my, ale też sporo pięknych białych blondynek. Nie mogłam się na nie napatrzeć. Nigdy dotąd podobnych nie widziałam...

Kiedy zebrała się nas naprawdę spora grupa, do magazynu zaczęli zjeżdżać klienci i ochoczo przystąpili do zakupów. Po koszarze w *shabin* Mamy byłam już przyzwyczajona do obłapiania przez obcych mężczyzn, ale to, co robili klienci Chińczyka, było jeszcze bardziej upokarzające. Faceci w Malawi mieli tylko jeden cel – chcieli się wyżyć i osiągnąć orgazm, a potem wychodzili, płacili i mogłam o nich zapomnieć. Traktowali mnie przedmiotowo, ale choć pewnie zabrzmiało to dziwnie, było to bardziej ludzkie.

Ci, którzy obmacywali mnie teraz, nie szukali spełnienia ani zaspokojenia swoich potrzeb fizjologicznych. Dla nich byłam wyłącznie towarem. Macali moje piersi, by sprawdzić ich jędrność. Przeglądali moje zęby i gładzili skórę wyłącznie po to, by ocenić, ile mogą za mnie zapłacić. Sprawdzali wartość towaru, zanim zdecydowali, czy są nim zainteresowani, a potem określali jego cenę.

Każda z nas miała swój numer. Zainteresowani nami klienci podchodzili do krążących wokół skrybów z zeszytami, podawali numer dziewczyny, którą chcieli odkupić, i proponowali swoją cenę. Licytację wygrywał oczywiście ten, który zaproponował najwięcej. Była też opcja testowania towaru. Za trzysta dirhamów w przypadku ciemnoskórych dziewcząt i pięćset w przypadku białych można było zabrać ją na zaplecze i zgwałcić. O dziwo, niewielu z tych pożał się Boże biznesmenów decydowało się na takie próby. Być może to kwestia przesytu, przecież dostępu do seksu na pewno im w życiu nie brakowało.

Ten obrzydliwy spektakl trwał nieco ponad godzinę. Kiedy przyszedł czas zamknięcia aukcji, Chińczyk osobiście podchodził do każdego skryby przydzielonego do dziewczyn z danej sekcji i sprawdzał wyniki licytacji, po czym ogłaszał jej zwycięzcę, inkasował gotówkę i gratulował.

Tak właśnie zostałam sprzedana po raz czwarty, mając na oko zaledwie czternaście lat, choć też na oko wyglądałam na co najmniej osiemnaście. Pamiętam swoją cenę. Sprzedano mnie za cztery i pół tysiąca dirhamów. Dowiedziałam się o tym dużo później. Wtedy na tym swoistym targu nie rozumiałam prawie nic. Podobno cztery i pół tysiąca to więcej, niż byłam warta. Moją cenę podbiła jaśniejsza od ciemnoskórych dziewczyn karnacja.

Moim nowym właścicielem został Hindus, który swój biznes prowadził z żoną i synem w mieszkaniu na trzecim piętrze bloku w Al Karama. Jak się wkrótce okazało, w niektórych budynkach tej dzielnicy co czwarte

mieszkanie było burdelem, a większość z nich prowadzili właśnie Hindusi. Zresztą czas przeszły nie jest tu właściwy, bo choć opowiadam o tym, co miało miejsce dziesięć lat temu, ta sytuacja jest nadal bardzo aktualna.

Hari był całkiem uprzejmym, drobnym człowiekiem, który ewidentnie gustował w ciemnoskórych dziewczętach, bo oprócz mnie kupił jeszcze dwie inne Afrykanki, ale żadnej z mojego transportu. Podczas aukcji towarzyszył mu jego syn Indra, również całkiem łagodny z usposobienia. Uśmiechał się do nas szeroko i był naprawdę miły. Jak miało się wkrótce okazać, głową biznesu była żona Hariego, Harita. Kobieta tylko z pozoru miała indyjskie pochodzenie, bo nie ulegało wątpliwości, że tak naprawdę wywodzi się z najgłębszych czeluści piekieł. Niewykluczone, że w obawie przed przejściem władzy eksmitował ją stamtąd osobiście sam Szatan...

O tym, że jest chodzącym koszmarem, dała znać, gdy tylko dotarliśmy na miejsce. Nie mogliśmy wiedzieć, co ją tak zdenerwowało, bo awantura, jaką urządziła synowi i mężowi, toczyła się w języku hinduskim, ale z czasem się okazało, że nie spodobała jej się mała różnorodność w nowej dostawie towaru. Harita chciała, by w ofercie jej burdelu były dziewczyny o urozmaiconej urodzie, tymczasem do dwóch Afrykanek, które już miała, dołączyły trzy kolejne. Niestety towar został już opłacony i nie podlegał zwrotom. Musiała pogodzić się z wyborem mężczyzn, których wysłała na zakupy, choć stara prawda mówi, że przecież to kobiety radzą sobie z nimi najlepiej. Problem w tym, że według niepisanych zasad kobiety nie mają wstępu na targi niewolników. Harita, choć potężna w swoim biznesie, sama była w pewnym sensie ofiarą dyskryminacji płciowej.

W jej burdelu pracowało kilkanaście dziewczyn. Obowiązywały tam zasady bardzo podobne do tych, jakie zapamiętałam z *shabin* Mamy. Do dyspozycji miałyśmy tylko jeden mały pokój, w którym spałyśmy rotacyjnie. Był dość przytulny. Dziewczyny, które mieszkały w nim od lat, dbały o to, by jak najbardziej przypominał dom, ale mimo wszystko były to dość trudne warunki do życia.

Harita karmiła nas tylko raz dziennie, ale kucharką była wybitną i zawsze przygotowywała potrawy sama. Posiłki dostawałyśmy w środku dnia i musiało nam to wystarczyć aż do następnego. Dojadałyśmy owocami, które codziennie przywoził nam Indra. Choć trudno tę sytuację uznać za normalną, w moim życiu stanowiła zmianę na lepsze.

Praca w tym burdelu miała jeszcze jedną trudną do przecenienia zaletę. Harita miała nosa do interesów i wiedziała, że w biznes trzeba inwestować, by wyciągać z niego profity. Wszystkie dziewczyny, które dla niej pracowały, zmuszała do nauki języka angielskiego. Nie był to dla niej żaden koszt, bo nauczaniem zajmował się Indra, a jedyne, co musiała poświęcić, to czas, który mogła sprzedawać klientom. Zresztą to też raczej nie było większą stratą, bo lekcje odbywały się, gdy klientów było mniej albo wcale, a jeśli jakiś się pojawił, któraś z nas po prostu przerywała naukę i szła go obsłużyć.

Nasza burdelmama miała ogromne ambicje. Wiedziała, że jeśli będziemy posługiwać się dobrze językiem angielskim, będzie można wysłać nas do hoteli. Była już zmęczona mieszkaniem w miejscu, do którego nieustannie przychodzą obcy mężczyźni, by uprawiać seks.

Od dawna miała w głowie plan wyremontowania tego miejsca i zlikwidowania burdelu. Chciała przerobić dwa zajmowane przez jej rodzinę i biznes mieszkania na jedno i zrobić z niego prawdziwą rezydencję, ale to wymagałoby wypchnięcia biznesu poza to miejsce. Dopóki jej dziewczyny nie mówiły po angielsku, nie było na to szans. Musiały obsługiwać klientów, z którymi nie trzeba rozmawiać. Takich, którzy wpadają na kwadrans, płacą za godzinę i znikają do czasu, aż ze swoich marnych pensji uskładają na kolejny numererek.

Uczenie nas języka angielskiego miało z jej punktu widzenia jeszcze jedną zaletę – pozwalało jej wyżywać się na nas werbalnie. Nie ma przecież sensu ubliżać komuś, kto nic z tego nie rozumie. Paradoksalnie swoje postępy w nauce języka byłam w stanie ocenić właśnie dzięki obelgom Harity. Im więcej z nich rozumiałam, tym lepiej wychodziło mi porozumiewanie się po angielsku.

Lubiłam te lekcje. Tylko podczas nauki czułam się jak człowiek. Lubiłam też naszego nauczyciela. Z każdym dniem coraz bardziej. Indra był ode mnie trochę starszy, miał siedemnaście lat, i był naprawdę bardzo przystojny, a atrakcyjności niewątpliwie dodawała mu jego inteligencja. Znał trzy języki – oprócz hinduskiego i angielskiego świetnie władał też arabskim. Nie było to byle co, bo każdy z tych języków jest różny, każdy ma zupełnie inny alfabet, a on w każdym z nich poruszał się bez żadnych oporów. Ubierał się po europejsku, ale zawsze nosił emiracką *ghutrę*. Wyglądał w niej jak młody książę. Nie ukrywam, że to dzięki Indrze

przyswajałam angielski w tak ekspresowym tempie. Chciałam mu zaimponować i móc z nim rozmawiać. Lubiłam, jak mnie chwalił, gdy odpowiadałam poprawnie na pytania. Nikt nigdy wcześniej mnie nie chwalił. Jeśli nawet mówiono coś pozytywnego o mojej urodzie, to brzmiało to raczej jak zachwalanie sprzętu niż komplement mający sprawić mi przyjemność. A Indra robił to szczerze.

Moje postępy w nauce zbliżały mnie do niego. Mogliśmy sobie pozwolić na coraz bardziej swobodne rozmowy, poznawaliśmy się coraz lepiej, a ja chciałam opowiedzieć o tym, co do tej pory przeżyłam. Indra okazał się bardzo naiwnym chłopakiem, bo choć jeździł z ojcem na targi, na których kupowali prostytutki, nie miał pojęcia, skąd się tam brały. On chyba naprawdę wierzył, że my robimy to wszystko z wyboru. A ponieważ jego matka wiecznie podkreślała, że nas żywi, był przekonany, iż uczestniczy w jakiejś akcji charytatywnej ratującej uchodźcze sieroty. On sam przecież uczył nas za darmo, co tylko mogło potwierdzać tę tezę. Możliwe, że nie chciał przyjąć do wiadomości prawdy, bo przecież istniało sporo dowodów na to, że jego rodzice czerpią dochody z naszego nierządu, ale nie jestem tego pewna. To był naprawdę dobry chłopak.

– Jesteś niesamowicie piękna – powiedział któregoś dnia po skończonych lekcjach, gdy zostaliśmy sami w pokoju.

Bardzo się tym zawstydziałam. Po raz pierwszy pochwalił nie mój angielski, ale moją urodę. Wiem, że to może powierzchowne, ale on też bardzo mi się podobał, więc ten komplement znaczył dla mnie bardzo wiele.

– Chciałbym cię lepiej poznać – kontynuował. – Zgodziłabyś się ze mną wyjść? Załatwię ci wolne.

– Jak to wyjść? – spytałam zdezorientowana.

– No wiesz... na randkę.

Nie znałam wtedy konceptu randek, ale wyjaśnił mi, że pójdziemy do restauracji. I co to jest restauracja. Będzie to pierwszy lokal, w którym to nie ja będę w ofercie. To wszystko brzmiało jak spełnienie marzeń. Zupełnie jakby ktoś zapytał mnie, czy chciałabym wyjść z więzienia na przepustkę. Oczywiście natychmiast się zgodziłam, a potem musiałam uciekać. Nie chciałam, by ktoś zobaczył nas sam na sam, to mogłoby przekreślić wszelkie szanse na naszą randkę.

Tego dnia miałam kilku klientów, a każdy z nich był dla mnie znacznie bardziej odrażający niż dotychczas. To tak, jakbym nagle dzięki Indrze odzyskała świadomość. Kilkoma słowami obudził we mnie tę stronę świadomości, której nigdy nie znałam. Żaden mężczyzna nie interesował się mną do tej pory tak naprawdę. Płacili i chcieli, bym ich obsługiwała. Na tym kończyła się nasza relacja. Nie żebym chciała, by trwała lub przerodziła się w coś innego, ale najwyraźniej potrzeba bliskości i miłości wciąż we mnie tkwiła. Uśpiona gdzieś głęboko, czekała na odpowiedni moment, by wybudzić mnie z letargu. Indra zupełnie opanował moje myśli. Przystojny nauczyciel był chłopakiem moich marzeń. Był też niestety synem sutenerów, którzy czerpali zyski z mojej prostytutki. To nie mogło skończyć się dobrze.

Nie wiedziałam, jak Indra przekonał Haritę, by na to pozwoliła, ale kilka dni później po skończonych lekcjach poprosił, bym przygotowała się do wyjścia. Zabrał mnie do restauracji nieopodal miejsca, gdzie mieszkaliśmy. To była moja pierwsza randka w życiu. Miałam jakieś piętnaście lat. On był już wtedy pełnoletni. Widziałam w jego oczach, jak bardzo mu się podobam, a i ja chyba się w nim zakochałam, choć nie wiedziałam, że kiedykolwiek będzie dane mi czuć coś podobnego.

Wróciliśmy kilka godzin później. I zaraz potem czas pełen uniesień zmienił się w absolutny koszmar. Dziewczyny, z którymi mieszkalam, odwróciły się ode mnie, kierowane zazdrością, choć mocno inspirowaną z zewnątrz. Już następnego dnia liczba moich klientów się podwoiła. Przyjmowałam ich więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Byłam tak zajęta, że gdy przyszedł czas na lekcję angielskiego, nie mogłam na nią pójść. Kolejnego dnia sytuacja się powtórzyła. A następne były podobne.

Nie mogłam już chodzić na lekcje Indry, nie mogłam się z nim spotykać, harowałam jak wół, a jedzenia nie dostawałam wcale. Kiedy w końcu, przyciśnięta potwornym głodem, upomniałam się o choćby skromną porcję, dostałam spleśniałe skórki z bananów i cebuli.

– Na nic więcej nie licz. Wystarczająco długo cię karmiłam za darmo – powiedziała Harita, rzucając mi miskę z zepsutymi odpadkami.

Próbowałam je zjeść, ale szybko zebrało mi się na wymioty, co paradoksalnie załatwiło na jakiś czas problem głodu.

Kilka dni później byłam świadkiem kłótni, która jakby celowo była przeznaczona dla moich uszu. Harita często wyzywała, często kłóciła się

z mężem, często też podnosiła głos na syna, ale zawsze robiła to po hindusku, od czasu do czasu tylko wtrącając angielskie słowa. Tym razem wrzeszczała wyłącznie po angielsku.

– Masz natychmiast sprzedać tę dziwkę! – zażądała od męża. – Indra nie będzie się prowadził z żadną afrykańską zdzirą! Patrz, jak mu zawróciła w głowie! Nawet własnej matki chce się wyrzec!

– Mamo, nie chcę się ciebie wyrzekać, ja po prostu ją Kocham – wtrącił się Indra.

– No widzisz, widzisz, co on wygaduje?! Opętała go! Przecież on sobie życie zrukuje! Zrób coś! – wrzeszczała histerycznym tonem, ale jej mąż albo milczał, albo nie usłyszałam jego odpowiedzi. – Do jutra ma jej tu nie być – rozkazała wreszcie z wściekłością, po czym zwróciła się do Indry: – A ty masz siedzieć w swoim pokoju, dopóki nie powiem, że możesz z niego wyjść!

Byłam przerażona. Ale chyba bardziej bałam się tego, że stracę kontakt z Indrą, niż tego, co stanie się ze mną. Wciąż nie sądziłam, że może mi się przytrafić coś gorszego niż do tej pory, więc o sobie się nie martwiłam. Nagle w moim życiu pojawiło się coś znacznie cenniejszego, najcenniejszego na świecie. Tak bardzo nie chciałam tego stracić... Ale strata jest wpisana w los takich dziewczyn jak ja. O ile oczywiście w ogóle mają coś do stracenia.

Następnego dnia ku mojemu zaskoczeniu nie wydarzyło się nic szczególnego. Nadal pracowałam niemal bez przerwy. Przyjmowałam klientów praktycznie jednego po drugim. Nadal też byłam ignorowana przez dziewczyny, które dzięki mnie miały znacznie mniej pracy, a niektóre wręcz w ogóle nie przyjmowały klientów. Mogły odpocząć. Miały wakacje, na które w normalnych warunkach nie mogłyby liczyć. Harita rezerwowała je tylko wtedy, gdy ja byłam zajęta.

Gdy minęło kilka kolejnych dni, a ja już zaczęłam myśleć, że złość mojej właścicielki minęła, znowu zostałam sprzedana. Okazało się, że opóźnienie w przeprowadzeniu transakcji wynikało jedynie z konieczności znalezienia odpowiedniego klienta. Na sprzedaż wystawiono mnie natychmiast po tym, jak Harita zdecydowała się ratować przede mną swojego jedyne syna.

Do nowego właściciela zawieziono mnie wieczorem. Nie miałam pojęcia, dokąd jedziemy. Było już ciemno, choć to akurat nie miało znaczenia. Nie

znałam Dubaju. Było dokładnie tak jak podczas poprzednich transportów. Byłam tylko niemym i ślepym towarem przetrzucanym z rąk do rąk.

Miejsce, do którego trafiłam, przypominało mały, raczej obskurny hotelik. W pokojach nie było zbyt wielu mebli, a jedynym elementem mającym przydać im przytulności była zwisająca w oknie brudna zasłona. Pokoik, w którym mnie zamknięto, nie był większy niż dwa na dwa metry, ale miałam w nim spać sama. Chyba po raz pierwszy w życiu.

Bywałam już w sytuacjach, w których tłoczyłam się z innymi na maleńkiej przestrzeni, byłam w sytuacji, gdy od dziewczyn i ich klientów oddzielały mnie tylko cienkie kotary, ale nigdy nie miałam okazji spędzić nocy sam na sam w czterech ścianach dających pełną intymność. I wcale nie było mi z tym dobrze. Wpadłam w panikę. Bardzo się bałam, ale moją głowę zaprzętały głównie myśli o Indrze. Dopiero wtedy zrozumiałam, że naprawdę go kocham, a rozłąka z nim potwornie boli.

Następnego dnia zostałam ubrana w całkiem niezłe ciuchy i przygotowana do nowej roli. Nadal miałam być dziwką, ale okazało się, że mój nowy właściciel, również Hindus, mężczyzna o imieniu Gopal, działał dokładnie tak, jak wymarzyła to sobie Harita. Jego dziewczyny pracowały w hotelach i klubach nocnych Diery i Bur Dubai. Było wśród nich znacznie więcej Europejek niż u Harity i wszystkie wyglądały na zdecydowanie bardziej zadbane. Co najważniejsze, każda mówiła po angielsku.

Szybko zrozumiałam, że znajomość języka, którego nauczyłam się dzięki Indrze, stała się w moim przypadku kartą przetargową. To było jak nowa wersja oprogramowania, taki *upgrade* sprzętu. Teraz nadawałam się dla klientów dysponujących znacznie większymi finansami, choć wciąż daleko im było do tych, którzy rozdają karty w nocnym świecie Dubaju.

Satysfakcję dawał mi w tej sytuacji tylko fakt, że Harita nie zarobi na mnie ani dirhama więcej, choć to w pewnym sensie ona we mnie zainwestowała. Ale trudno, sama o tym zdecydowała. Ja byłam gotowa zostać nawet mimo represji, byle tylko być blisko Indry.

Moje szkolenie w nowym miejscu trwało bardzo krótko. Jeszcze tego samego wieczoru po raz pierwszy w życiu znalazłam się w nocnym klubie. Pojechaliśmy tam busem, którego prowadził Oleg, barczysty chłopak z Białorusi, którego rumiana, niemal dziecięca twarz zupełnie nie pasowała do postury. Z Białorusi była też Nadia, która miała przyjąć rolę mojej przewodniczki, ale nie była nią szczególnie przejęta.

– Wejdziemy do środka i pracujesz na siebie. Na początek masz przynieść minimum pięć tysięcy. To dopóki się nie rozkręcisz. Jak złapiesz frajera, dajesz znać Olegowi. Umawiaj się raczej w hotelu. Jak frajer będzie chciał jechać do siebie, też mówisz Olegowi. Żadnych numerów, nic na własną rękę – powiedziała znudzonym tonem i dodała: – Masz jakieś pytania?

Nie wiedziałam, o co mogę spytać. Tak naprawdę nawet nie do końca rozumiałam jej instrukcje. Wiedziałam, że mam zarobić pięć tysięcy dirhamów, czyli więcej, niż wynosiła kwota, na jaką wyceniono mnie samą, bałam się tylko o jedno...

– A jak nie uda mi się nikogo znaleźć?

Nadia wzruszyła ramionami.

– To twój problem. Ale jeśli chcesz mojej rady, zrób wszystko, by ci się udało...

To zabrzmiało bardzo złowieszczo i wcale mnie nie uspokoiło. Nie miałam jednak zbyt dużo czasu, by się nad tym zastanawiać. Prowadzony przez Olega bus właśnie zatrzymał się przy Khalid Bin Al Waleed Road. Byliśmy na miejscu.

York International Hotel zapamiętam na zawsze. Choć dziś nie znalazłby się wysoko w rankingu dubajskich hoteli, moje pierwsze wrażenie było absolutnie obezwładniające. Myślałam, że wkraczam do jakiegoś pałacu, i byłam przekonana, że zaraz mnie z niego wyproszą, ale szybko się okazało, że nie ma takiego ryzyka.

Byłam wprost oszołomiona muzyką, kolorami, kreacjami... Wiem, że to bardzo tandetny klub, ale dla mnie był wtedy absolutnym cudem. Ludzie, których tam obserwowałam, zdawali się tkwić w jakimś zbiorowym amoku nieskrępowanej rozrywki. Nie wiedziałam, jak powinnam się zachować. Co się robi w takim klubie?

Zanim jednak dotarłam do połowy baru, zostałam zaczepiona przez spoconego chłopaka w białej rozchełstanej koszuli. Miał kręcone włosy w rudym odcieniu blond, mokre i lekko przylizane. Był ewidentnie pijany, ale bardzo skory do rozmowy.

– Jesteś tu sama, bogini? – spytał angielskim, który ledwo zrozumiałam.

Przytaknęłam.

– Może w takim razie mi potowarzyszysz? – wybełkotał.

Nie wiem, jak to się stało, że udało mi się zachować przytomność umysłu. Może to kwestia strachu, że nie uda mi się spełnić oczekiwań Gopala. Nie

miałam pojęcia, co może mnie za to spotkać, ale wiedziałam, że nie będzie to nic przyjemnego. Od razu więc wypaliłam:

– Pięć tysięcy!

– Funtów, dolarów, euro, dirhamów? – bełkotał chłopak, a ja nic z tego nie rozumiałam. Jedyne słowo wśród tych wymienionych, jakie słyszałam wcześniej, to „dirhamy” – waluta Emiratów.

Nie byłam pewna, czy tak powinna brzmieć moja odpowiedź, ale powiedziałam, że chodzi o dirhamy.

– Okej, chodź ze mną. – Chłopak od razu wziął mnie pod rękę.

– Poczekaj – zatrzymałam go. – Muszę spytać Olega.

– Olega? To twój chłopak?

– Nie, opiekuje się mną.

– No dobrze, chodźmy do Olega. Ale musisz mnie przedstawić jako swojego faceta.

Znalazłam Olega bez trudu i wspinając się na palce, szepnęłam mu do ucha, że „mam frajera”.

– Dokąd chce cię zabrać? – spytał.

– Nie wiem – odparłam, po czym zwróciłam się do ślaniającego się na nogach blondyna: – Dokąd idziemy...?

– Na górę! Do nieba! – Zaśmiał się, jakby opowiedział dobry żart.

– Okej – rzucił Oleg, po czym podszedł do mojego klienta i warknął: – Siedem tysięcy!

– Ona mówiła, że pięć...

– A ja mówię, że siedem. Płacisz czy mam się zdenerwować? – Oleg mówił z twardym akcentem, który nie pozostawiał miejsca na dyskusję.

Trudno powiedzieć, czy ze względu na to, że chciał mnie przelecieć, czy może ze strachu przed Olegiem, chłopak wyciągnął z portfela świeżo wyplute przez bankomat pieniądze i dobił targu.

Niespełna godzinę później było już po wszystkim. Mój klient ewidentnie przeschacował swoje możliwości. Nawet nie zdołał we mnie wejść, a po chwili zasnął. To były chyba najłatwiej zarobione pieniądze w moim życiu.

Kiedy zjechałam na dół, Oleg już na mnie czekał.

– Zarobiłaś pięć tysięcy – oznajmił.

– Siedem – poprawiłam go.

– Jak mówię, że pięć, to pięć! – poprawił mnie podniesionym głosem.

Zrozumiałam, że te dodatkowe dwa, wynegocjowane przez niego, to haracz. Z czasem się zorientowałam, że pracujący dla Gopala ochroniarze właśnie w ten sposób dorabiają. Nie tylko Gopal był tu sutenerem. Zatrudniani przez niego goryle również czerpali spore zyski z naszej prostytutki. To dlatego tak bardzo garnęli się do tej pracy. Ona naprawdę się im opłacała. Wystarczyło, że od każdej z nas ściągnęli po dwa tysiące, a często było to znacznie więcej. Każdego wieczoru, nie robiąc nic specjalnego, po prostu będąc na miejscu, zgarniali prawdziwą fortunę.

Zarobione w szybkim tempie pieniądze wcale nie oznaczały, że mogłam odpocząć. Tego wieczoru obsłużyłam jeszcze dwóch innych frajerów.

Bardzo szybko znalazłam się wśród topowych dziewczyn Gopala, a gdy naprawdę się rozkręciłam, zaczęłam przynosić mu ogromne pieniądze. Oczywiście sama nic z tego nie dostawałam. Poza jedzeniem, zakwaterowaniem, ubraniami i kosmetykami nie miałam ze swojej pracy nic.

Najczęściej pracowałam w York Club, choć czasami zabierano mnie też do Barasti. Z czasem się zorientowałam, że ten drugi klub znajduje się niedaleko burdelu Harity. Oczywiście nie miałam ochoty na powrót do tego piekielnego miejsca, ale wciąż myślałam o Indrze. Bardzo chciałam go zobaczyć, porozmawiać z nim, powiedzieć mu, gdzie jestem, co robię. Może on sam mnie szukał? Może w ten sposób moglibyśmy kontynuować naszą znajomość?

W ciągu dnia miałam wolne i choć nie miałam prawa opuszczać miejsca zakwaterowania, na pewno znalazłabym sposób, by obejść ten zakaz. Byłam zdeterminowana do tego stopnia, że któregoś wieczoru w Barasti udało mi się przechytrzyć ochroniarza i wyjść na ulicę, a stamtąd wyuczona wcześniej dzięki mapie w telefonie drogą dotrzeć do mieszkania Indry.

Nie miałam zbyt dużo czasu, więc musiałam uciec się do podstępu. Podeszłam do chłopaka, który czekał w kolejce na schodach przed burdelem Harity, i wcisnęłam mu w rękę kartkę z numerem telefonu. Powiedziałam, by dał ją dziewczynie, która będzie go obsługiwała, i poprosił ją o przekazanie jej Indrze. Napisałam tylko, by zadzwonił pod mój numer. Nie podpisałam się. Gdyby któraś z dziewczyn się dowiedziała, że to liścik ode mnie, na pewno nie dotarłby on do Indry. Liczyłam na to, że mój plan nie jest zbyt skomplikowany. I faktycznie nie był.

Mój telefon odzywał się bardzo rzadko. Był narzędziem kontroli. Sama nie mogłam z niego nigdzie zadzwonić, miał mocno limitowany internet i służył głównie do tego, by w razie czego mnie namierzyć. Miało mnie to chronić, gdybym wpadła w ręce jakiegoś psychopaty lub porywacza, ale przede wszystkim pomagało ochroniarzom ogarniać wszystkie dziwki, które mieli pod swoją opieką danego wieczoru.

Kiedy byłam już gotowa wracać do Barasti, telefon zadzwonił, a na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer. Byłam podniecona, bo wiedziałam, że to może być Indra. Numery ochroniarzy wyświetlały się nam od razu, nie były zastrzeżone.

– Dostałem ten numer. O co chodzi? – usłyszałam jego łagodny głos.

– Indra? To ja, Abi... Przyszłam cię odnaleźć... – powiedziałam ze wzruszeniem ściskającym mi gardło.

Wyraźnie go to zaskoczyło, bo przez dłuższą chwilę milczał. Wreszcie rzucił oschle:

– Moja matka powiedziała ci chyba, co o tobie myśli.

– Tak, ale nie musimy się nią przejmować. Kocham cię, mówiłeś, że ty mnie też... Chciałam ci powiedzieć, gdzie mieszkam, możemy się nadal spotykać...

– Ja dobrze wiem, gdzie mieszkasz – przerwał mi. – Ale nie myślisz chyba, że postawię jakąś tanią dziwkę ponad rodzoną matkę.

Serce zatrzymało mi się na krótką chwilę. Myślałam, że nie potrafię płakać, ale łzy nagle popłynęły z moich oczu strumieniem. Nie zdążyłam już nic więcej powiedzieć. Indra rozłączył się, a ja w rozpaczę puściłam się biegiem przed siebie. Musiałam wrócić do klubu, zanim ktoś odkryje, że uciekłam. Jak mogłam być tak głupia i myśleć, że ktoś będzie w stanie mnie pokochać? Miłość tylko komplikuje sprawy, zwłaszcza kiedy jest się „tanią dziwką”.

Zanim zdążyłam dotrzeć do Barasti, mój telefon znowu zadzwonił.

– Gdzie ty, kurwa, jesteś? – warknął ochroniarz.

– W toalecie. Źle się poczułam.

– Nie kłam, szmato. Stoję pod drzwiami!

Miałam przechłapanie. Ale może właśnie na to zasłużyłam. Wiedziałam, że będę musiała za to zapłacić... I dobrze. Powinnam była liczyć się z tym, że naiwność ma wysoką cenę.

Uderzył mnie w twarz, gdy tylko pojawiłam się w klubie. Nikt tego nie zauważył. Ale to był dopiero początek. Kazał mi wrócić do pracy, jednak zanim nad ranem odwiózł nas do kwater, poważnie mnie poturbował. Był niemiłosiernie wściekły. Nie pomogło nawet to, że dzięki kilku szybkim numerkom zarobiłam dla niego tej nocy na lewo jakieś pięć tysięcy dirhamów.

Od tego czasu często mnie bił. Zawsze tak, żeby nie było widać. Znajdował w tym wyraźną przyjemność, choć powtarzał, że musi to robić, żebym znowu mu nie uciekła. Jego ciosy miały mi przypominać o zasadach. Dokładnie z takich samych powodów dostawałam kiedyś od braci. Wtedy jednak myślałam, że przyjmowanie razów to moja powinność. Teraz byłam bardziej świadoma i każde jego uderzenie wzbudzało we mnie jeszcze większą nienawiść.

ROZDZIAŁ 5

Porta Potty

– To był ten Oleg? To on cię pobił? – pytam. – Wydawało mi się, że to łagodny chłopak...

– Oleg był w porządku. Kilku innych też, Gopal zatrudniał ich sporo, tylko... Na pewno chcesz wiedzieć?

– No teraz to oczywiście, że chcę.

– To był ten twój Abd. On uwielbia napierdalać laski, a od kiedy rozkręcił własny biznes, robi to jeszcze bardziej regularnie. Jemu się wydaje, że dzięki temu więcej zarobi, bo ma nad nami kontrolę, a każda z nas, chcąc uniknąć kary, będzie się bardziej starać, by zarobić dla niego jak najwięcej.

Słowa Abi totalnie mnie zszokowały. Przecież Abd to taki fajny, zawsze uśmiechnięty chłopak! Wiedziałem, że lubi sporty walki, ale zawsze myślałem, że to dla niego tylko trening. Nigdy nie wyglądał mi na brutala ani tym bardziej damskiego boksera. Pracował w sklepie z ciuchami, w weekendy dorabiał jako ochroniarz w klubie. Nie mogłem uwierzyć w to, że jest sutenerem, w dodatku stosującym brutalną przemoc wobec kobiet. Przecież kiedy powiedziałem mu o tym, jaką książkę planuję napisać, mógł odpowiedzieć, że nie zna nikogo z tej branży. Pewnie bym mu nie uwierzył, bo pamiętałem jego opowieści z dawnych czasów, ale zawsze byłem przekonany, że to po prostu próba dorobienia do pensji.

Abd często mówił o swojej mieszkającej na przedmieściach Bejrutu schorowanej mamie, której regularnie wysyłał pieniądze. Myślałem, że to dlatego potrzebuje dodatkowego zarobku. W mojej głowie to była opowieść o pozytywnym bohaterze, a nie chłopaku, który stał się oprawcą żyjącym z niewolniczej pracy. Nie mogłem tego pojąć. To wszystko po prostu do niego nie pasowało! Ale skoro już Abi zdobyła się na taką szczerość, chciałem wiedzieć więcej.

– Ja znam Abda z czasów, gdy na pewno nie zarabiał w ten sposób... – próbuję tłumaczyć.

– Bo on nie miałby kasy na wykupienie żadnej dziwki – odpowiada Abi. – Handlarze na rynku żądają dziś co najmniej pięćdziesięciu tysięcy, ceny bardzo poszły do góry. Jak masz jedną dziwkę, to biznes się nie opłaca. No, chyba że masz wejścia na imprezy najbogatszych, a nie oszukujemy się, żaden początkujący sutener nie ma takich kontaktów. Jak laska mówi po angielsku, to jej cena natychmiast rośnie, bo sama jest w stanie naganiać sobie klientów. Na takie tym bardziej nie byłoby go stać.

– Wiesz, jak zaczął?

– Wiem. On i kilku innych ochroniarzy weszli w konflikt z Gopalem. Podobno się dowiedział, że go kroją na boku, i przestał im płacić, więc któregoś wieczoru zorganizowali na niego zasadzkę i pozbyli się go.

Miałam przeczucie, że coś się święci, ale nawet w najśmielszych przypuszczeniach nie mogłam się spodziewać tego...

Ochroniarze, którzy zawozili nas do klubów, zachowywali się jakoś dziwnie, ale nie potrafiłam tego zdefiniować. Byli jakby podenerwowani, często do siebie dzwonili, mówili półsłówkami. To jednak wcale nie musiało oznaczać czegoś podejrzanego.

Tego wieczoru byłam pod opieką Abda. Nie wiedziałam, że był jakiś podział łupów. Ochroniarze podzielili się nami, wiedząc, że jeśli nie będziemy z dala od kwater i pod ich okiem, jak Gopal wpadnie, aresztują również nas. Ale to też nie było nic niezwykłego. Dla nas to była po prostu kolejna noc w pracy. Oczywiście ochroniarzom nie chodziło o to, by nas uratować, tylko by nie stracić okazji do przejęcia majątku szefa.

Gopala ewidentnie zawiódł instynkt samozachowawczy, bo dał się nabrać na wręcz banalny wybieg. Każdy sutener zorientowałby się, że coś tu jest nie tak. No, chyba że nie jest świadomy tego, że jego biznes już dawno przejęli jego pracownicy. I choć on nadal na nim zarabia, odcięcie go od dochodów jest już tylko kwestią czasu.

– Szefie, mamy problem z tymi dwiema nowymi dziewczynami. Nie chcą iść do pracy. Mówią, że nie będą pracować – powiedział Oleg, dzwoniąc do Gopala.

– To je zmuście – rzucił poirytowany Gopal. – Przecież one są z Białorusi. Powinieneś umieć je przekonać.

Drobne bunty dziewczyn zdarzały się wcale nierzadko, a ochroniarze nigdy się nimi nie przejmowali. Sprzeciw dziewczyn, które nie mają nic do powiedzenia, jest absurdem samym w sobie, więc żaden z goryli nigdy nie przywiązywał do niego wagi. Załatwiali to nieznoszącym sprzeciwu rozkazem, a czasami także ciosem. Dziewczyny raczej ich słuchały. Fakt, że nagle dwie najnowsze w zespole nie chcą pracować i nie boją się protestu, powinien być dla Gopala pierwszym sygnałem ostrzegawczym. Ale nie był. Przekonany przez Olega, że sprawa jest poważna i że tylko on może ją rozwiązać, zapowiedział, że przyjedzie do motelu, w którym zakwaterowane były jego pracownice.

Wiele mogło pójść nie tak, ale wszystko poszło zgodnie z planem. Zaraz po tym, jak Gopal przyjechał do kwater, by rozprawić się ze swoimi nowymi prostytutkami, wpadła tam policja i dokonała kilku zatrzymań. W normalnej sytuacji obie Białorusinki zapewne same trafiłyby za kratki za prostytutkę, ale to one zadzwoniły na policję, zgłaszając, że zostały porwane, a mężczyzna, który je więzi, chce je zmusić do nierządu. Ponieważ przyjechały do Dubaju niedługo wcześniej jako turystki i miały legalne wizy, a same pomogły policji ująć porywacza, zwolniono je po złożeniu obciążających Gopala zeznań. Hindus wiedział, że nie może powiedzieć w przesłuchaniu niczego więcej i wrobić tych, którzy wpakowali go w kłopoty, bo przyznałby się do tego, że prowadził nielegalny biznes na szeroką skalę, a tak w oczach policji wyglądał tylko na nieudolnego porywacza, którego przechytrzyły dwie laski.

Wsadzili go do aresztu, a jakiś czas później sąd nakazał jego deportację. W Dubaju nikt nigdy więcej o nim nie słyszał, a dziewczyny, które dla niego pracowały, zostały w rękach swoich ochroniarzy. Jedni zapędzili je do roboty, inni szybko się ich pozbyli, sprzedali swoim kumplom lub innym suterenom. Ja trafiłam w ręce Abda. To był mój szósty i do tej pory ostatni właściciel. Teraz on sprzedaje mnie innym każdej nocy, choć robi to w białych rękawiczkach.

Na początku tej historii nie spodziewałem się, że zakończy się ona właśnie w taki sposób. Nic na to nie wskazywało. Wciąż nie mogłem otrząsnąć się z rewelacji o tym, że Abd jest tak bardzo umoczony w rynek współczesnego niewolnictwa.

– Kim zatem jest Youli? – pytam.

– Youli oficjalnie zarządza całym biznesem. I trudno powiedzieć, które z nich jest gorsze. Oboje są kompletnie nie zrównoważeni. Ja już się przekonałam o tym, że kobiety świetnie się w tym biznesie odnajdują i gdy dostają władzę, potrafią być bezwzględne, ale Abd to straszny skurwysyn. Są siebie warci.

– Wiesz, skąd się wzięła ta spółka? Mówiłaś, że Youli też była kiedyś prostytutką.

– Bo była. Zresztą nadal czasami się puszcza, jak chce zrobić na złość Abdowi.

– A on się tym przejmuje?

– Nie wiem, to jest przedziwny układ. Czasami się wydaje, jakby byli ze sobą, innym razem zachowują się jak zaprzysięgli wrogowie.

– Ale w jaki sposób prostytutka, niewolnica staje się właścicielką biznesu? Przecież gdyby to było takie proste, wszystkie byście się z tego wyrwały.

– Youli zagrała *va banque*, chociaż miała też sporo szczęścia. Pewnego razu zupełnym przypadkiem trafił się jej klient, który pomógł jej zdobyć wpływy, a przynajmniej sprawiać wrażenie, że je ma. W tym biznesie kontakty to wszystko, a każdy z tych smętnych wyzyskiwaczy działających w tandetnych klubach starego Dubaju marzy o tym, by dostać się do miejsc, w których bywają najbogatsi. Kluby Downtown, Jumierah, Palm czy Mariny odwiedza zupełnie inna klientela. Bawią się tam biznesmeni, gwiazdy i royalsi. Ale gdyby którykolwiek z nich pojawił się w tych miejscach z choćby jedną dziwką, natychmiast skończyłby w areszcie. Dubaj podzielony jest na strefy wpływów i awanse do elit zdarzają się tu niezwykle rzadko.

Podobnie zresztą jak wizyty po drugiej stronie, choć jak pokazują dalsze losy Youli, obie sytuacje się zdarzają. Pewnej nocy, kiedy Youli była

jeszcze szeregową prostytutką i pracowała dla Gopala, a ochraniał ją Abd, trafiła na klienta, którym okazał się najprawdziwszy, zerwany ze smyczy ochrony szejk. Tak przynajmniej twierdzi Youli, a okoliczności wskazują na to, że raczej nie kłamie.

Młody książę postanowił zabawić się bez kontroli i ominąć najbardziej elitarne kluby, by zagwarantować sobie anonimowość. Tak właśnie trafił do York Club, a w nim spotkał piękną, drobną Azjatkę z ogromnym talentem do flirtowania. Książę kompletnie nie orientował się w stawkach obowiązujących w klubach dla spragnionego rozrywki pospólstwa, więc zupełnie naturalnie zaproponował Youli spędzenie nocy w hotelowym pokoju za pięćdziesiąt tysięcy dirhamów.

Youli zachowała spokój, ale natychmiast się zorientowała, że ma do czynienia z kimś z wyższych sfer. Nie pytał o cenę, nie targował się, od razu podał swoją, i to znacznie przewyższającą jej zarobki. Wiedziała, że musi dać znać Abdowi, że idzie z klientem na górę, co oznaczało, że będzie musiała się z nim podzielić tą ogromną fortuną. Na szczęście było czym się dzielić. Youli zarabiała dla Gopala w jeden wieczór minimum dziesięć tysięcy dirhamów. Nadwyżką mogła się podzielić z Abdem i wciąż wyjść na tym całkiem nieźle. O ile Abd będzie chciał się z nią podzielić.

Youli nigdy nie zdradziła, co wydarzyło się za zamkniętymi drzwiami z księciem, ale ta noc była momentem zwrotnym w jej karierze. Jeszcze zanim wróciła do kwatery w motelu, pomiędzy nią a Abdem doszło do kłótni.

– Oddaj mi resztę mojej kasy – zażądała.

– Jakiej kasy? Ty nie masz żadnej kasy – odparł, udając, że nie wie, o co jej chodzi.

– Nie wkurwiał mnie. Dobrze wiesz, o jaką kasę chodzi. Tym razem nie pozwolę się wyrolować. Jeśli nie oddasz mi pieniędzy, pożalujesz. Ten książę obiecał mi protekcję.

– Tak, tak, młody royalsik urwał się ze smyczy i spotkał z tanią dziwką w podrzędnym klubie, a teraz będzie ją chronił. Powiedz jeszcze, że się w tobie zakochał i wkrótce zostaniesz arabską księżniczką – drwił Abd.

– Mów, co chcesz, ale na twoim miejscu nie testowałabym mojej cierpliwości.

– Dałaś dupy jakiemuś bogaczowi i od razu zaczynasz odgrywać bossa? – Nie przestawał z niej żartować, ale znał ją długo i widząc jej reakcję, coraz

bardziej zaczynał wierzyć w jej wersję.

Nie mógł mieć pewności, czy Youli blefuje, czy faktycznie dogadała się w jakiś sposób z szejkiem. Intrygowało go, na czym miałyby polegać ta protekcja. Miał świadomość, że człowiek, z którym spędziła noc, na pewno należy do elit. Bardzo różnił się od typowych klientów, a poza tym był pierwszym w jego historii człowiekiem, który bez wahania wyciągnął pięćdziesiąt tysięcy dirhamów za kilka godzin z dziewczyną.

– I co niby zrobi? Zabierze cię do swojego pałacu? Ciebie, tanią azjatycką dziwkę?

Po tych słowach Youli rzuciła się na niego z pięściami, ale z miejsca ją powstrzymał. Ta sytuacja szczerze go rozbawiła, ale zamiast złości poczuł do niej wtedy sympatię. Youli była inna od większości dziewczyn, z którymi miał do czynienia. Nie godziła się na los, który przypadł jej w udziale. Ewidentnie miała plan i nie zamierzała do końca życia pracować jako niewolnica seksualna. To go kręciło. Zresztą, choć skrzętnie to ukrywał, zawsze miał do niej słabość.

– Naprawdę chcesz się przekonać? Sam zobaczysz, że to nie było nasze ostatnie spotkanie. Problem w tym, że następnym razem, jak się z nim umówię, ty możesz już tu nie pracować. – Youli mówiła to z ogromną pewnością siebie.

To raczej mało prawdopodobne, by w ciągu kilku godzin tak dokładnie omówiła swoją sytuację z kimś, kto choć ewidentnie pochodził z arystokratycznej rodziny, chciał zachować anonimowość. Jej ton był jednak tak hardy, że trudno było oprzeć się wrażeniu, iż to ona pociąga tu za wszystkie sznurki.

– Dam ci dziesięć tysięcy – powiedział w końcu Abd.

– Chyba żartujesz! – prychnęła. – To ja mogę ci dać co najwyżej pięć.

– Okej, piętnaście. To moje ostatnie słowo!

Piętnaście tysięcy dirhamów to więcej, niż Youli kiedykolwiek trzymała w dłoniach, ale wiedziała, że zarobiła na czysto czterdzieści tysięcy, i nie zamierzała odpuścić tego tak po prostu. Negocjacje z Abdem zainspirowały ją jednak do całkiem niespodziewanego pomysłu.

– Dam ci połowę, ale od tej pory będziemy współnikami – powiedziała zupełnie zmienionym, łagodnym tonem.

– Wspólnikami? – zakpił Abd, ale również szybko złagodniał. – Mów dalej...

– Będziesz się dzielił ze mną wszystkim, co kosisz Gopalowi, po połowie, a ja będę się dzieliła z tobą swoimi zarobkami.

– I to ma być dla mnie interes? – Zaśmiał się. – Teraz też trzymam rękę na kasie i nie muszę się z tobą dzielić.

– Ale jeśli nie będziesz się ze mną dzielił, ja nie szepnę o tobie księciu. Nie chciałbyś...

Youli nie zdążyła skończyć, gdy Abd zgodził się na jej warunki. Oczywiście, że by chciał. Miał świadomość, że podobna okazja zbliżenia się do elit może mu się nie zdarzyć, a od kiedy przyjechał do Dubaju, o niczym innym nie marzył bardziej.

Jeśli okazałoby się, że Youli blefuje, zawsze mógł się wycofać z tego układu. Nie miał nic do stracenia, a do ugrania była naprawdę wysoka stawka. Tego dnia Abd i Youli zawiązali nieformalną spółkę, opartą na wszystkich możliwych żywiołach. Klócili się, nienawidzili, kontrolowali, sprawdzali, ale z czasem chyba pokochali. Miłość oczywiście nie zmieniła dynamiki tego układu, bo nadal naskakiwali na siebie jak dzikie zwierzęta, ale z równie dziką namiętnością uprawiali seks. Youli, choć wiecznie nastroszona, zakochała się w nim bez pamięci, a Abd, mimo że wciąż traktował ją jak krnąbrną niedogodność, byłby w stanie wskoczyć za nią w ogień.

To Youli wpadła na pomysł wykopania Gopala z biznesu i przejęcia jego majątku. Wiedziała, że ona sama zyska na tym najwięcej, bo będzie wolna i awansuje z dziwki na szefową. Nagle z własności stała się właścicielką. A ja weszłam w skład zarządzanych przez nią aktywów.

Marzenia o tym, by przenieść biznes do tej lepszej części Dubaju, nie były jednak łatwe do spełnienia, a to dość poważnie nadwierało pozycję Youli, która zbudowała ją właśnie na tej obietnicy. Z czasem presja rosła, a książę, z którym spotkała się po ich pierwszej randce jeszcze dwa razy, nagle zniknął i nie pojawił się nigdy więcej. Youli musiała coś zrobić – i w sobie tylko znany sposób dostała zlecenie dla dwóch dziewczyn warte sto tysięcy dolarów. Był w nim jednak haczyk. Pracę mogły wykonać tylko dziewczyny gotowe na wszystko. Naprawdę na wszystko.

To pewnie był czysty przypadek. A może nie? Niektórzy twierdzą, że w życiu nie ma przypadków. Do Dubaju dotarłem kilka dni po tym, jak media społecznościowe w krajach arabskich, a później także na całym świecie obiegała informacja o smutnym losie dziewczyny znanej w sieci jako Mona Kizz. Nie wiedziałem, kim jest, ale wszyscy o niej pisali, a sądząc po komentarzach, jej postać mocno polaryzowała internetowe audytorium.

Jedni zapalali wirtualne znicze i modlili się za jej duszę, inni rzucali niewybredne żarty, często opatrywane emotkami z uśmiechniętymi odchodami, jeszcze inni wyrokowali, że sama jest sobie winna, i deklarowali, że na jej miejscu zrobiliby to samo.

Zajrzałem na jej media społecznościowe. Ze zdjęć patrzyła na mnie pochodząca z Ugandy śliczna, zgrabna dziewczyna o ciemnej, lśniącej skórze, ewidentnie świadoma swoich walorów i prezentująca je bez większego skrępowania. Tak naprawdę nazywała się Monica Karungi i przyjechała do Dubaju jako nastolatka z nadzieją na lepsze życie. W jednym z instagramowych filmików zwraca się do swojej mamy, z ekscytacją oświadczając, że jej się udało, dokładnie tak, jak to zapowiedziała, zanim wyjechała ze swojego kraju. Możemy się tylko domyślać, że mama ostrzegła ją przed tą podróżą. I jak się okazało, niestety miała rację, choć aktywność Mony w mediach społecznościowych tego nie dowodzi. Jej zdjęcia i filmy pokazują ekskluzywne życie pełne imprez i wizyt w najbardziej elitarnych miejscach Dubaju. Godne pozazdroszczenia. Ale to nie tymi filmami najbardziej ekscytowali się internauci.

Najpopularniejszy film, w którym wzięła udział, zrobił światową karierę w ciągu doby po tym, jak pojawił się w mediach społecznościowych. Informacje dotyczące tego, kto go tam umieścił, zmieniają się nieustająco. Wielu przypisuje sobie jego autorstwo. Zbyt wielu, by komukolwiek z nich dać wiarę.

Treść filmu jest równie trudna do opowiedzenia, jak do obejrzenia. Młoda dziewczyna odchyła do tyłu głowę i otwiera usta, w których chwilę później lądują świeżo wyprodukowane odchody z męskiego odbytu...

Mona Kizz stała się w jednej chwili symbolem zjawiska, które w Dubaju nazywa się *porta potty*. To niewinnie brzmiące sformułowanie utworzono

ze skrótu angielskiego słowa *portable* – przenośny i dziecięcego określenia na nocnik – *potty*. Choć brzmi łągodnie, jest najwyższą formą upodlenia.

O wymiotowaniu i defekowaniu na ciała dubajskich prostytutek pisano już wcześniej sporo, ale istotą *porta potty* jest wymóg, że wynajęta do tej perwersji dziewczyna ma zjeść odchody swojego klienta. Mona Kizz zgodziła się to zrobić, możliwe też, że zgodziła się, by to nagrano, prawdopodobnie nie zgodziła się jednak na to, by pokazano to światu. Ale na to nie miała już wpływu.

Film dystrybuowano w błyskawicznym tempie do momentu, gdy ze względu na jego treść platformy społecznościowe zaczęły go blokować. Ale prawdą jest, że w internecie nic nie ginie, i dziś, nawet przy niewielkim zaangażowaniu, wciąż jeszcze można go odkopać. Tylko po co...?

Sprawa wywołała do odpowiedzi wiele influencerów, które zaczęły nagrywać swoje filmy. Opowiadają w nich o własnych doświadczeniach związanych z propozycjami udziału w *porta potty*. Padają kwoty: sto tysięcy dolarów za możliwość wykorzystania ust modelki jako nocnika. Wiele z dziewczyn podłączających się pod trendujący hashtag ewidentnie zmyśla, ale są takie, które jasno dają do zrozumienia, że za odpowiednią kwotę są w stanie zdecydować się nawet na *porta potty*, wymieniają je wśród wielu innych perwersji, choć pozostałe brzmią przy tym raczej jak dziecięce igraszki.

Internet huczy, a opowieść o modelkach, które pozwalają szejkom i arabskim biznesmenom wypróżniać się do swoich ust, wciąż go rozgrzewają. Mona Kizz z gwiazdy stała się społecznym wyrzutkiem. Oprócz lawiny hejtu, jaka ją zalała, zaczęła dostawać pogróżki. Chciała się wytłumaczyć, ujawnić, kto jej to zrobił, zaprzeczyć, że się na to zgodziła, ale zrezygnowała w ostatniej chwili.

W maju 2022 roku w sieci pojawia się jeszcze jeden film opatrzony jej internetowym pseudonimem – Mona Kizz. Przypadkowy człowiek nagrywa okolicę z okna zajmowanego przez siebie mieszkania. Nagle oko kamery zatrzymuje się na oknie na siódmym piętrze, w którym stoi młoda dziewczyna. Ma na sobie czarne spodnie i jasną koszulę. Zapiera się rękami o górną framugę i spogląda w dół. Wszystko trwa dosłownie kilka sekund. Przypadkowy filmowiec nie ma czasu na reakcję, bo chwilę później dziewczyna skacze.

Chłopak woła po rosyjsku „stój!”, ale nie może nic zrobić. Na nagraniu słychać jeszcze krzyk towarzyszącej mu dziewczyny i odgłosy z dołu. Ciało spadające na chodnik i momentalnie pojawiająca się wokół niego kałuża krwi wywołują powszechną panikę.

Choć film dokumentujący rzekome samobójstwo Mony Kizz widziały miliony, niewielu wie, że nie jest on prawdziwy. Dziewczyna po raz kolejny stała się ofiarą internetu. Owszem, nagranie przedstawia podejrzaną przez przypadkową osobę samobójstwo, ale każdy, kto był w Dubaju, wie, że sceneria tego nagrania wyklucza, by samobójczynią była Mona.

Dziewczyna faktycznie wypadła z okna znajdującego się w Dubai Marina budynku Al Fahad, ale nikt tego nie sfilmował. Okoliczności jej śmierci nie są jasne, choć oczywiście przez policję zostały zaklasyfikowane jako samobójstwo. Mona miała powody do załamania nerwowego i być może faktycznie się zabiła, ale w tej sprawie wciąż jest sporo niewiadomych. A ponieważ w Dubaju wiele dziewczyn zamieszanych w kontakty z wpływowymi, bogatymi ludźmi zakończyło życie w ten właśnie sposób, trudno jednoznacznie stwierdzić, co naprawdę stało się z Moną Kizz.

Hasło *porta potty* wciąż wywołuje w Dubaju rozmaite reakcje – od śmiechu przez obrzydzenie po zainteresowanie i dyskusję. I choć mogłoby się wydawać, że to jakaś marginalna fanaberia, jest tu zjawiskiem naprawdę popularnym. Pewnie nie o to chodziło szejkom chcącym rozślawić Dubaj na całym świecie, ale nie da się ukryć, że w wielu krajach właśnie z tą perwersją Dubaj się dziś kojarzy.

Youli wiedziała, że skoro jej ekskluzywni klienci oczekują od niej dostarczenia modelek „gotowych na wszystko”, bardzo prawdopodobne, że właśnie o zabawy z kałem będzie w tym układzie chodziło. Choć w przypadku odbywających się za pieniądze szejków imprez mogło chodzić niemal o wszystko.

Byłam jedną z dziewczyn, które Youli wysłała na tę imprezę. Miałam świadomość, że to zupełnie nowy rozdział w biznesie, jaki chcą rozwijać razem z Abdem. Wtedy jeszcze trudno było ich nazwać profesjonalistami, bo w zasadzie mieli tylko cztery prostytutki, ale pracowałyśmy już tylko dla nich, a teraz zanosilo się na to, że zaczniemy zarabiać dużo więcej, niż gdyby mieli nas cały zastęp, a nadal działali z Diery czy Karamy.

Impreza, na którą nas wynajęto, miała się odbyć w prywatnym apartamencie w Grosvenor House, luksusowym hotelu, którego dwie majestatyczne, sięgające czterdziestego piątego piętra wieże są jednym z najbardziej rozpoznawalnych punktów Dubai Marina.

Oczywiście wtedy nie mogłam tego wiedzieć. Mieszkałam w Dubaju już kilka ładnych lat, ale nadal nie miałam świadomości, że istnieje taki świat. Ten, w którym się obracałam do tej pory, wydawał mi się szczytem luksusu, ale to, co zobaczyłam w Marinie, było jego zupełnie nową definicją – i zupełnie nie mieściło mi się w głowie.

Do Dubaju zjeżdżają miliony turystów rocznie i większość się nim zachwyca, nietrudno więc sobie wyobrazić, jakie wrażenie robił on na dziewczynie, która wychowała się w skleconej ze słomy i lepionej gliną chatce w Malawi, gdzie pojęcie architektury praktycznie nie istnieje. Miałam poczucie, że samą swoją obecnością w tym miejscu zakłócam jego piękno, jakbym była brudem, niepasującym do całości, zaburzającym harmonię śmieciem.

Ostatecznie wysłano nas tam trzy. Abd osobiście odwiózł nas do punktu, w którym przesiadaliśmy się do innego samochodu. Tu też dała się odczuć zmiana w standardzie. Abd jeździł autem, które wydawało mi się luksusowe, dopóki nie poczułam, jak siedzi się na miękkich fotelach z cielecej skóry, takie bowiem miał na wyposażeniu ten samochód.

Niestety nasza podróż nie trwała długo. Już kilka minut później wjechałyśmy do garażu, kazano nam wysiąść, a szczupły chłopak w uniformie, który wyglądał na co najmniej dwa rozmiary za duży, gestami pokierował nas do eleganckiej, pachnącej zmysłowym kadzidłem windy. Sam nie wsiadł z nami. Wcisnął tylko przycisk z numerem piętra, a gdy się na nim znalazłyśmy, przed windą czekał na nas inny, choć identycznie ubrany chłopak, który zaprowadził nas do pokoju w głębi długiego korytarza. Był to najpiękniejszy pokój, jaki do tej pory widziałam, a byłam już w wielu. Kremowa wykładzina na podłodze była tak miękka, że zatapiały się w niej obcasy moich szpilek. Zdjęłam je zresztą po kilku krokach w obawie, że ją skalam. W tym pięknie urządzonej pomieszczeniu, utrzymanym w harmonijnych beżach i brązach, mogłabym spędzić resztę życia, ale wiedziałam, że to tylko jedna przyjemna chwila wśród wielu okropnych, które jeszcze mnie czekają. Wszystkie byłyśmy

zszokowane wspaniałością tego wnętrza – i zestresowane tym, co nas czeka.

Siedziałyśmy w milczeniu, gdy niespełna godzinę później dołączyły do nas kolejne cztery dziewczyny, a później jeszcze kilka. W pokoju zaczęło się robić tłoczno. Niektóre dziewczyny prowadziły small talk, ale większość wciąż była wycofana.

I wtedy jedna z nich, najbardziej gadatliwa, rzuciła hasło *porta potty*.

– Podobno ten Saudyjczyk jest fanem takich rzeczy – powiedziała. – Specjalnie przyjeżdża do Dubaju, by się tak bawić.

Wtedy usłyszałam o tym po raz pierwszy w życiu i nie mieściło mi się to w głowie. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, że ktoś mógłby chcieć mi zrobić coś tak obrzydliwego.

Słowa dziewczyny wywołały ogólne poruszenie. Teraz już wszystkie zaczęłyśmy rozmawiać. Większość się zarzekała, że nigdy nie pozwoli na to, by ktoś je w ten sposób potraktował. To było jak nakreślenie granicy, której do tej pory żadna z nas, przynajmniej w swoich deklaracjach, nie przekroczyła. Sama nie sądziłam, że pojawi się we mnie kiedykolwiek moment buntu. Oczywiście w tamtej chwili były to czysto teoretyczne rozważania, bo nie wiedziałyśmy, czy w plotkach o upodobaniach naszego gospodarza tkwi ziarno prawdy.

Minęło kilka dobrych godzin od chwili, gdy dotarłyśmy do hotelu, a wciąż nic się nie działo. Może w ogóle się nie wydarzy, może nie będziemy potrzebne?, zastanawiałam się. Niestety nie miałyśmy tyle szczęścia. Pierwszą grupę dziewczyn zabrano niedługo przed północą. Ja byłam w drugiej, która dołączyła do imprezy nieco ponad pół godziny później.

Apartament, do którego trafiłyśmy, był olbrzymi i w żaden sposób nie przypominał pokoju, w którym nas zakwaterowano. Choć robił wrażenie, w porównaniu z tamtym przypominał zgrzebną celę. Panował w nim półmrok, rozjaśnione nieśmiałym światłem były tylko fragmenty pomieszczenia. W takich warunkach trudno było dostrzec twarze, ale nie było wątpliwości, że w apartamencie znajduje się sporo osób. To nie była impreza, na której goście są zajęci piciem drinków czy degustacją cateringu. Mimo głośnej muzyki nikt nie był też zainteresowany tańcem. Chwilę zajęło mi przyjrzenie się temu, co się dzieje dookoła, ale szybko

dotarło do mnie, że wszyscy tu zebrani uprawiają seks. Zaraz zresztą i mnie wciągnięto do tego grona.

Zostałam zgwałcona – dla mnie nic nowego, a potem jak rzecz przekazywano mnie z rąk do rąk – to też żadna nowość. Wszystko tu zdawało się dość standardowe. Poza scenerią, która była bardzo nietypowa, nie działo się nic, co mogłoby mnie zaskoczyć. Aż nagle spośród głośnych dźwięków muzyki i jęków udawanej rozkoszy przebił się przeraźliwy krzyk podszyty cierpieniem i strachem, ale jakby tłumiony. Nie mogłam zareagować, ale mężczyzna, którego właśnie obsługiwałam, zsunął się ze mnie. Zaintrygowany ruszył w kierunku, z którego dochodził ten nietypowy odgłos.

Chwilę później zorientowałam się, że prawie wszyscy goście przeszli do pomieszczenia obok. Zawahałam się, czy ja też powinnam to zrobić, ale krzyk nie ustawał, a moja ciekawość była coraz większa. Kiedy weszłam do sypialni, gdzie zebrała się większość uczestników orgii, w moje nozdrza wdarł się obrzydliwy, przyprawiający o odruch wymiotny smród. Ledwo się powstrzymałam od wymiotów, choć nie wszystkim się to udało.

To był bardzo nieprzyjemny zapach, ale jeszcze mniej przyjemny widok, choć nie wymioty były tu największym problemem, a ich przyczyna. Na łóżku w śnieżnobiałej pościeli leżała jedna z dziewczyn, śliczna blondynka, którą zapamiętałam z apartamentu, gdzie czekałyśmy przed imprezą. Wtedy nie mówiła wiele, była raczej wycofana, ale przez cały czas starała się uśmiechać, jakby trenowała uśmiech na zawołanie. Po tym, co przeżyła w tym apartamencie, pewnie długo już nie była w stanie się do tego zmusić...

Leżała na wznak z głową zwróconą do otaczających ją uczestników imprezy. Na twarzach zebranych tam dziewczyn widać było zniesmaczenie, tylko czasami przykrywane uśmiechem, u wielu również strach, że będą następne. Mężczyźni, z reguły rozbawieni, żartowali i kibicowali, większość z nich filmowała scenę z wręcz hollywoodzkim zacięciem. Zupełnie jakby było to coś, co warto uwiecznić.

Dziewczyna była związana. Nie wiała się już nawet, zapewne zmęczona próbami wyrwania się z opresji. Jej twarz i włosy pokryte były odchodami mężczyzny, który wykorzystał ją jako żywą toaletę. Ewidentnie miał kłopoty żołądkowe, bo to, co wydalil, było rzadką masą pełną niestrawionych resztek, które rozbryzgały się na jej twarzy. Całość była

zmieszana z wymiocinami dziewczyny... Trudno się dziwić, to naturalna reakcja na tak obrzydliwy akt. Najwyższą formę upokorzenia. Jakby tego było mało, ofiara przysypana była sporą liczbą banknotów studolarowych. Również oblepionych gównem i wymiocinami. Dokładnie na taką zapłatę zdaniem oprawców zasługują zmuszane do prostytucji dziewczyny. Człowiek, który jej to zrobił, chwilę później wyszedł z łazienki w szlafroku, czysty, pachnący i wyraźnie zadowolony ze swojego wyczynu.

ROZDZIAŁ 6

Abd

Gdy słuchałem o szczegółach dotyczących imprezy, której punktem kulminacyjnym było *porta potty*, mój żołądek wywrócił się na drugą stronę. Szczęśliwie dla Abi i pozostałych dziewczyn żaden z gości nie miał już planów na kontynuację tej chorej zabawy. Trudno się dziwić, bo nawet jeśli nie ze względu na empatię, to z czysto ludzkich odruchów większość ludzi nie ma ochoty na babranie się w odchodach.

Zastanawia mnie fenomen popularności tej perwersji właśnie w krajach arabskich. Arabowie to przecież kulturowo najczystsze narody na świecie. Brud w islamie jest grzechem, nie wolno go usuwać prawą ręką, a pielęgnacja ciała i higiena to ich domena. Nieraz słyszałem z ich ust krytykę obsesji ludzi Zachodu na punkcie papieru toaletowego. W czasie pandemii COVID-19 był to przecież najszybciej znikający z półek towar. Zachowanie zupełnie niezrozumiałe dla narodów arabskich, wśród których panuje przekonanie, że odchody z ciała powinno się zmyć, a nie tylko zetrzeć.

Skąd zatem popularność *porta potty* właśnie tutaj? Abi może mieć rację, że chodzi o próbę upokorzenia, które dla ludzi cierpiących na nadmiar przywilejów i bezgraniczny dopływ gotówki staje się niezrozumiałą, ale bardzo pożądaną podniętą.

Youli zadzwoniła do Abi, jeszcze zanim ta zdążyła opowiedzieć mi całą historię, ale na szczęście udało jej się ją dokończyć. Kiedy wróciłem do hotelu, na dworze było już zupełnie widno, a ja wiedziałem, że mimo nieprzespanej nocy nie mam szans na sen. Usłyszane słowa buzowały we mnie jak wzburzony szampan.

Wściekłość i oburzenie na niesprawiedliwość tego świata, tak dobrze mi znaną, a jednak wciąż irytującą, nie dawały mi spokoju. Podobnie zresztą

jak fakt, że czekała mnie jeszcze rozmowa z Abdem. Zupełnie nie wiedziałem, jak po tym wszystkim, czego się dowiedziałem, mam spojrzeć mu w twarz. Ale nawet jeśli nasza znajomość miałaby się definitywnie skończyć na tej rozmowie, wiedziałem, że muszę ją przeprowadzić.

Wszyscy jesteśmy niewolnikami. Własnych słabości, nałogów i przyzwyczajień. Gorzej, gdy nasza niewola nie wynika z czynników wewnętrznych, a jest powodowana przez drugiego człowieka. Zdarza się, że jest to mąż, niekiedy żona, bywa, że rodzic albo dorosłe dziecko, ale czasami to zupełnie obcy człowiek, który widzi w nas kurę znoszącą złote jaja. W każdym z tych przypadków zachodzi jeden bardzo ważny czynnik: niewolnik przestaje być człowiekiem. Tak jest prościej, bo posiadanie rzeczy przychodzi nam z większą łatwością.

– Ja myślałem, że wiesz... I że właśnie dlatego uderzasz do mnie z tym tematem – powiedział Abd, gdy następnego dnia spotkaliśmy się w kawiarni w centrum handlowym.

Proponowałem restaurację w hotelu, ale kategorycznie odmówił. Od razu się domyśliłem, że chodzi o jakieś układy. Najwyraźniej nie chce być widziany w miejscach nienależących do jego rejonu. Zauważony w restauracji hotelu w Downtown, mógłby być podejrzany o próbę wkroczenia z interesami na czyjś teren. Stąd zwykły Starbucks, w którym spotkaliśmy się z Youli po raz pierwszy...

– Przez myśl mi nie przeszło. Napisałem do ciebie, bo wiedziałem, że nikt lepiej niż ty nie zna nocnego życia Dubaju. Nie sądziłem jednak, że sprawy zaszły tak daleko – odpowiedziałem.

– Wiesz, nie jestem frajerem, który całe życie będzie stał na bramce. – Abd wzruszył ramionami. – Poza tym w Dubaju wiele się zmieniło, nie wiem, czy udałoby ci się znaleźć kogokolwiek, kto pracuje w rozrywce od lat i w jakiś sposób nie jest umoczony w prostytutkę. A w dodatku teraz, kiedy Ruscy zwieźli tu swoje fortuny po tym, jak Europa się na nich obraziła, rynek rozkwitł jeszcze bardziej.

– Mam wrażenie, że tu w prostytutce są dwa światy. Ten dla biedaków i ten niewyobrażalnie luksusowy. Nie ma między nimi konkurencji?

– Jest jeszcze coś pośrodku, ale te światy nie konkurują ze sobą. Przeciwnie: konkurencja jest wewnątrz nich. Ci, którzy działają na tym luksusowym rynku, mają w dupie Hindusa, który trzyma dziwki w klatkach i sprzedaje je robotnikom za pięćdziesiąt dirhamów od strzału, bo oni nigdy

nie będą zainteresowani zarabianiem pieniędzy w taki sposób. Zresztą co to w ogóle za pieniądze... Tanie burdele mają mniejszy obrót rocznie niż w tych premium płaci się za jedną dziwkę. Dlatego każdy chciałby się tam dostać, ale każdy też wie, że w Dubaju nie da się tego załatwić tak po prostu wojną gangów – wyjaśnił Abd. – Tutaj wszystko odbywa się zdecydowanie bardziej subtelnie.

– Ale ty wrobiłeś Gopala... Załatwiłeś go jak typowy gangus.

– No nie powiedziałbym. To było bardzo subtelne działanie. Dał się wrobić jak naiwniak. Sam do dziś się dziwię, że się nie zorientował. Tak właśnie wyglądają rozgrywki wewnątrz tych światów. Ale ja nie działałem sam i na pewno nie jest tak, jak mówisz... Typowy gangus załatwiłby mu betonowe buty i wieczny spoczynek na dnie Dubai Creek. Ja po prostu skorzystałem z prawa, które obowiązuje w Dubaju. Przecież prostytutka jest tu nielegalna, a Gopal wykorzystywał prostytutkę.

– Które teraz wykorzystujesz ty...

– To nie to samo. Ja je ochraniaam i karmię.

– On też je karmił. Robił dokładnie to samo. To jest zwykłe niewolnictwo, Abd. One nie mogą sobie tak po prostu od ciebie odejść.

– A dokąd miałyby pójść? Wiele z nich nawet nie ma dokumentów. Te, które mają, z reguły są tu na przeterminowanych wizach. Gdyby nie ja, pewnie już dawno by wpadły, a dzięki mnie mogą zarabiać i żyć na przyzwoitym poziomie. Zresztą laski często same pchają się pod ochronę podobnych do mnie, nawet te z takich krajów jak Polska.

– Słyszałem inną wersję. Właśnie od dziewczyny z Polski...

Od razu przypomina mi się historia Moniki z *Modelek w Dubaju*, która próbowała pracować na własną rękę, ale szybko wpadła w szpony sutenera. Gdy opowiadam ją Abdowi, ten kwituje:

– Każdy ma swoją własną wersję. A może ta twoja miała pecha? Sam znam dwie Polki, które przyjeżdżają do Dubaju co jakiś czas jako turystki i chcą, żeby je ochraniać. Mamy ustalone stawki i wszystko jest jak należy. A skoro już o tym mowa, będę miał do ciebie interes.

Boję się, co to miałyby być za interes, więc ignoruję jego słowa, ale informacja o Polkach w naturalny sposób przykuwa moją uwagę.

– Chcesz mi powiedzieć, że laski dobrowolnie wynajmują cię jako swojego sutenera? Jakoś nie chce mi się w to wierzyć – mówię.

– Ja nie jestem żadnym sutenerem! – oburza się Abd. – Jestem ochroniarzem. A te laski już raz wpadły w kłopoty, więc to jest zdrowy układ...

Nazywają się Iga i Rose. To znaczy zapewne nazywają się zupełnie inaczej, ale w Dubaju swoim klientom przedstawiają się właśnie tak. Obie są zniewalająco pięknymi blondynkami. Iga prowadzi popularny kanał na Instagramie, który obserwuje ponad pół miliona osób. Opowiada na nim o swoich podróżach po świecie. Faktycznie odwiedza nie tylko Dubaj, choć to zdjęcia stąd pojawiają się na jej profilu najczęściej. Są takie z nad basenu z widokiem na Burj Khalifa i te z najmodniejszych nocnych klubów. Obowiązkowe z Wings of Mexico, skrzydłami w ramie i najwyższym budynkiem świata w tle, z którymi fotografują się wszyscy, którzy odwiedzają to miejsce. Pozornie nic tu nie wskazuje na to, czym naprawdę zajmuje się Iga, choć gdy spojrzeć świadomie, wszystko wręcz o tym krzyczy. Można odnieść wrażenie, że zarabia na poleceniu produktów różnych marek, bo na jej profilu sporo jest takich postów. W bio można nawet znaleźć adres mailowy, pod którym Iga przyjmuje propozycje współpracy.

W Polsce Iga też dba o swój celebrycki wizerunek dzięki zdjęciom ze znanymi osobami. Nie jest wybredna. Jest tu Zalewski i Podsiadło, i Kamiński, ale też imprezowicze z Warsaw Shore. Pełne spektrum. To nie wygląda na głębokie znajomości, ale na pewno wygląda dobrze. Tak jak sama Iga.

Na każdym zdjęciu prezentuje się jak prawdziwa gwiazda. Takie dziewczyny jak ona robią w Dubaju ogromne wrażenie. To miejsce, które w kwestii umiłowania piękna bynajmniej nie ogranicza się do architektury. Nie mam wątpliwości, że znalezienie klientów przy odrobinie chęci nie sprawia jej najmniejszych problemów.

Znalezienie profilu Rose zajmuje trochę więcej czasu. Nie jest tak popularny jak Igi, widać od razu, kto w tej parze jest inicjatorką, a kto naśladowczynią, ale i jej nie można odmówić urody. Jest ewidentnie bardzo dumna ze swojej seksownej figury. Na jej profilu poza zdjęciami z Dubaju są też kadry zdrowych śniadań i posty z siłowni. Obie idealnie wpisują się

w instagramowe cliché, co, jak wiadomo, w tym biznesie nie jest bez znaczenia.

Dziewczyny, które wpadają do Dubaju na kilka tygodni i zarabiają na uczestnictwie w imprezach oraz na seksie z miejscowymi i przyjezdnymi mężczyznami, nie wysyłają nigdzie podań o pracę. Ich aplikacją są właśnie konta instagramowe. To tutaj odbywa się gros rekrutacji.

Koncepcja przyjazdu do Dubaju pojawiła się właśnie tam. Jak wiele młodych, atrakcyjnych dziewczyn dostawały propozycje i komplementy od nieznanomych mężczyzn, a w tle zawsze pojawiał się Dubaj. Niektóre z ofert były bardzo konkretne – z obietnicą zakupu biletów i zakwaterowania. Na to Iga i Rose nigdy się nie zdecydowały, ale pomysł wyjazdu do pustynnego miasta marzeń, w którym bez trudu dostaną się na najlepsze imprezy w najdroższych klubach, wciąż w nich dojrzewał. W końcu wsiadły do samolotu linii Emirates, który je tam zabrał.

Podczas pierwszego pobytu nie bardzo wiedziały co i jak, więc po prostu się rozglądały. Zresztą wtedy zamysł regularnych wyjazdów do Dubaju chyba jeszcze nie pojawił się w ich głowach. Podrywane w klubach i na basenach, poznawały różnych mężczyzn. Dawały się zapraszać na przyjęcia i kolacje w wytwornych miejscach, do których nikt postronny i bez wpływów nie ma wstępu. Ku ich ogromnemu zdziwieniu niektóre z tych spotkań kończyły się zapłatą, czasami propozycją wyjścia na sponsorowane zakupy.

Od dawna wiedziały, że w ten sposób można zarobić spore pieniądze, ale przyjeżdżając do Dubaju, nie sądziły, że będzie to takie proste. Oczywiście nie małą rolę odgrywała ich zjawiskowa uroda. Miały tego świadomość i postanowiły ją skapitalizować. A ponieważ apetyt rośnie w miarę jedzenia, wracając do Polski po trzech tygodniach, wiedziały już, że na pewno nie była to ich ostatnia wizyta w Emiratach. Podczas następnej rozbiją bank.

Nauczyły się, że wiadomości z Instagrama nie można ignorować, ale należy je odpowiednio klasyfikować. Wkrótce już doskonale się orientowały, która jest zwykłą próbą rekrutacji do taniego burdelu. Wystarczyło kilka imprez, by zrozumieć, jak to w Dubaju działa i czego unikać. Ale wśród zaproszeń zdarzały się też całkiem intratne. Jedno zaś było szczególnie intrygujące. Choć Rose obstawiała, że pochodzi od naciągacza, Iga czuła, że warto spróbować.

- Najwyżej uciekniemy – stwierdziła.
- Tak, tak, na pewno uciekniesz. Przecież to ma być na jachcie!
- To popłyniemy wpław! – Zaśmiała się.
- Jak wskoczysz do wody, uciekając z jachtu, to wypłyniesz jako martwe ciało. Ja nie chcę tak ryzykować – upierała się przy swoim Rose.
- Napiszę im, że jesteśmy zainteresowane, a na miejscu zobaczymy. Może będzie fajnie. Płacą dwadzieścia tysięcy od dupy...
- Dolarów?
- Nie wiem... Koleś pisze „20k”...
- Jak dolarów, to możemy pomyśleć.
- Widzisz, każdy ma swoją cenę!
- Powiedziałam, że możemy pomyśleć, a nie, że się zgadzam.
- Spoko, tyle na razie wystarczy.

Oferta nie okazała się ściemą. Już kilka dni później były w Dubaju i czekały w hotelowym lobby na spotkanie w sprawie imprezy na jachcie. Choć Iga korespondowała z mężczyzną (przynajmniej takie miała wrażenie), na miejscu pojawiła się kobieta – śliczna Ukrainka o urodzie modelki. Zresztą niewykluczone, że pracowała w tym zawodzie, tyle że w jego dubajskiej wersji. Nawet jeśli nie była prostytutką, na pewno była rekruterką.

- Potrzebujemy dwudziestu dziewczyn. Nasz klient bardzo dobrze płaci – zapewniła z brytyjskim akcentem, przez który lekko przebijał ukraiński.
 - Ile?
 - Nawet trzydzieści tysięcy.
 - Miało być dwadzieścia – wypaliła Rose.
- Ewidentnie nie była mistrzynią negocjacji.
- Może być dwadzieścia, ale myślę, że za was zapłaci trzydzieści. – Ukrainka uśmiechnęła się, wyraźnie rozbawiona tą uwagą.

Dziewczyny wypytały ją o warunki, a później ich rozmowa zeszła na inne tematy. To było jeszcze przed napaścią Rosji na Ukrainę, ale wspólnych tematów między obywatelami obu krajów i tak nie brakowało. Ukrainka opowiedziała im o swoich wizytach w Polsce i o tym, że mieszka tam połowa jej rodziny. Mówiła dużo pozytywnych rzeczy o ojczyźnie Igi i Rose, z premedytacją uderzając w sentymentalne tony, i temat Dubaju zszedł na drugi plan. Trudno powiedzieć, czy był to celowy zabieg, ale Iga

i Rose nagle poczuły, że są wśród swoich i nie mają się czego bać. Fakt, że impreza na jachcie jest tak hojnie opłacana, był wisienką na tym torcie.

– A kto ją organizuje? Jakiś szejk? – spytała na koniec Rose.

– Nie, chyba nie jest szejkiem – odparła Ukrainka. – To syn znanego saudyjskiego biznesmena, ale mocno powiązany z rodziną królewską. Niewykluczone jednak, że wśród jego gości będą książęta. Aha, płacimy z góry – dodała. – Za samą obecność.

Czy można sobie wymarzyć lepszą ofertę?

Iga i Rose nie zastanawiały się ani chwili dłużej. Przyjęły propozycję.

– Doskonale. Jutro dostaniecie wszystkie instrukcje. Mam nadzieję, że macie bikini, szpilki i obcisłe sukienki, bo bez tego się nie obejdzie...

– No oczywiście, że mamy! – zapewniła Rose.

– Telefony lepiej zostawcie w hotelu, bo na miejscu i tak wam je zabiorą – zapowiedziała na koniec dziewczyna.

– Ale jak to bez telefonów? – jęknęła Iga, nie kryjąc rozczarowania. – Nie można nawet fotek robić?

– Właśnie dlatego je zabierają. I nie próbujcie żadnych sztuczek. Były takie, które próbowały przemycać telefony w majtkach. Oni na pewno je znajdą, a wtedy raczej nie jest miło.

– Ale bez komórki nie możemy nawet zamówić taksówki.

– Samochód przyjedzie po was pod hotel, a potem do niego odwiezie. Nie musicie martwić się o nic. Po prostu wyluzujcie i dobrze się bawcie.

Obie wciąż były zdeterminowane, by wziąć udział w imprezie, jednak z godziny na godzinę pojawiała się w ich głowach coraz więcej podszytych strachem wątpliwości.

– Może jednak powinniśmy wziąć jeden telefon? Może mój, jest mniejszy – rzuciła Rose.

– Słyszałaś, co mówiła ta laska. Wyjmą ci go nawet z majtek.

– Będą nam sprawdzać majtki?

To pytanie przez chwilę świdrowało powietrze. Dziewczyny zamilkły, pogrążone we wspólnych obawach. Jeśli faktycznie popłyną tym jachtem, będą musiały się zgodzić na wszystko, co może się na nim wydarzyć.

Iga pierwsza przerwała pełną trwogi ciszę:

– Mamy się dobrze bawić i tak zrobimy!

Zgodnie z zapowiedzią o umówionej godzinie przyjechała po nie czarna limuzyna. Dziewczyny rozpoczęły iście filmową przygodę. Nie miały tylko pewności, czy będzie to epicka produkcja o życiu wyższych sfer czy raczej mroczny dreszczowiec.

Jacht był niesamowity. Naprawdę ogromny. Spodziewały się, że może być wyjątkowy, ale rzeczywistość przeszła ich najśmielsze oczekiwania.

– Nikt nam nie uwierzy! Byłyby takie zajebiste foty... – żałowała Rose, bo ostatecznie nie zdecydowały się na zabranie telefonu.

– Pieprzyć foty. W razie czego nikt nawet nie będzie wiedział, gdzie nas szukać. Trop urywa się w hotelu – powiedziała złowroźnie Iga.

– Nie świruj i przestań mnie straszyć. Tu wszędzie jest monitoring, poza tym my po prostu idziemy na imprezę.

Do wejścia na jacht ustawiła się kolejka kilku dziewczyn. Wszystkie miały figury wybiegowych modelek. Ubrane w obcisłe sukienki, wysokie szpilki, nieziemsko wypachnione. Na pokład wpuszczał je rosły ciemnoskóry ochroniarz. Zaraz za nim stał drugi.

– *Phone?* – pytał.

– *No* – padało z ust każdej.

I tyle, żadnego sprawdzania. Iga i Rose odetchnęły z ulgą. Kiedy same weszły na pokład, szybko się zorientowały, że dla niektórych dziewczyn nie jest to pierwszy raz – te natychmiast rozkręciły imprezę. Polki też dały się porwać zabawie, ale po dwóch godzinach tańczenia i picia szampana zaczęły się zastanawiać, gdzie jest gospodarz i jego goście.

Ci pojawili się sporo po północy. I właśnie wtedy jacht odbił od nabrzeża. Na pokładzie zaroilo się od wymuskanych, w większości całkiem przystojnych mężczyzn, którzy jakby się zmówili – wszyscy mieli na sobie śnieżnobiałe koszule, najczęściej rozpięte do połowy klatki piersiowej. Byli wśród nich bardzo młodzi i tacy, których włosy przyprószyła już lekko siwizna, ale wszyscy wyglądali na silnych, sprawnych i ewidentnie zorientowanych na dobrą zabawę.

Towarzystwo w mgnieniu oka się wymieszało i impreza rozkręciła się na dobre. Początkowo nie odbiegała ona od standardów przyjętych w zwykłych klubach, ale goście szybko zaczęli zrzucać z siebie ubrania. Niemal wszystkie dziewczyny były już w bikini, a mężczyźni w kąpielówkach, choć niektórzy i ten skrawek garderoby uznali za zbędny. Stąd już tylko jeden krok, by raut przerodził się w regularną orgię. Iga

i Rose też dały się jej porwać, choć ta pierwsza mocno się opierała. Mężczyzna, który obrał ją sobie za cel, był bardzo pijany i bardzo napalony. Nie miał też tolerancji dla sprzeciwu, więc gdy Iga próbowała spowolnić jego zapędy, mocno się rozjuszył i ją uderzył. Wyraźnie go to podnieciło, bo natychmiast zaczął ją gwałcić, wymierzając jej przy tym miarowe ciosy.

Była przerażona, ale i wściekła, że na własne życzenie znalazła się w tej sytuacji. Nie miała gdzie szukać pomocy, bo Rose zniknęła z jej pola widzenia. Mogła tylko się poddać i liczyć na to, że mężczyzna się zaspokoi i odpuści. Tak też się stało. Był tak pijany, a do tego naćpany, że niedługo po tym, jak doszedł, zasnął. Upewniwszy się, że stracił świadomość, Iga ubrała się pospiesznie i starając się pozostać niezauważoną, uciekła do łazienki. Dopiero gdy przekreśliła blokadę w zamku, poczuła ulgę. Szybko jednak zdała sobie sprawę, że dopóki jest na jachcie pływającym po zatoce, nie może się czuć pewnie.

Sama jesteś sobie winna, stwierdziła w duchu. Jesteś dziwką, więc się nie skarż, że cię zgwałcono. Trafiali się tacy, którzy mówili, że dziwki nie można zgwałcić. Była bliska łez, powstrzymała się jednak.

– Przestań się mazać – powiedziała do siebie półgłosem. – To cena, którą musisz zapłacić.

Poprawiła fryzurę i rozmazany makijaż, przeciągnęła usta szminką i wyszła z łazienki.

Impreza miejscami już dogorywała. Ktoś tam jeszcze baraszkował w basenie, ktoś uprawiał seks, ale jego dźwięki mieszały się z chóralnym chrapaniem. Na górnym pokładzie spotkała Rose rozmawiającą z chłopakiem w kąpielówkach i narzuconej na muskularne ramiona rozpiętej koszuli. Rose nie wyglądała, jakby została zgwałcona albo przeżyła jakąkolwiek inną traumę. Wręcz przeciwnie – uśmiechnięta i zadowolona, najwyraźniej świetnie się bawiła w towarzystwie przystojniaka.

Czyżbym tylko ja trafiła na takiego gnoja? A może tylko Rose miała szczęście?

– Iga! – Przyjaciółka wyskoczyła w jej kierunku z radością, gdy tylko ją zobaczyła. – Wszystko w porządku?

– Tak, jak najbardziej – skłamała Iga.

– Super! To jest Yasim – przedstawiła swojego towarzysza, po czym zwróciła się do niego: – To Iga, o której ci mówiłam.

Chłopak przywitał się z Igą, całując ją w policzek.

– Faktycznie jest bardzo piękna – stwierdził.

– No właśnie. Yasim zaproponował nam dołączenie do grupy dziewczyn księcia Mohammeda – trajkotała Rose.

– Fajnie, ale co to znaczy? – spytała Iga.

– Księżę Mohammed jest koneserem piękna. Można powiedzieć, że je kolekcjonuje...

– I co? Wiesza sobie dziewczyny na ścianach? – prychnęła, mimo woli dając upust emocjom.

Chłopak jednak wziął to za niewinny żart.

– Nie, każda z nich mieszka w luksusowych warunkach tutaj, w dubajskiej Marinie. Księżę lubi się nimi chwalić, więc zabiera je ze sobą w podróże i na przyjęcia, a przez resztę czasu żyją sobie w luksusie, nie martwiąc się o nic – wyjaśnił.

– I Yasim obiecał, że nam to załatwi! Mogłybyśmy przeprowadzić się do Dubaju i żyć tu bez żadnych problemów... – Rose była tą wizją wyraźnie zachwycona.

– Czyli księżę ma swój harem i chciałby, żebyśmy do niego dołączyły. – Iga nie rezygnowała z ironii.

– Nie nazwałbym tego haremem. To po prostu mecenat piękna.

– Bardzo ładna nazwa. – Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Proszę, zgódź się! – nalegała Rose, której do pomysłu nie trzeba było przekonywać.

– Pomyślimy o tym – rzuciła na odczepnego Iga. Nauczona doświadczeniem, wiedziała już, że sprawa wcale nie musi wyglądać tak, jak nakreślił im ją Yasim. Tutaj na pewno nie chodzi tylko o bywanie na przyjęciach i pławienie się w luksusie. Takie przywileje zawsze mają swoją cenę.

Yasim wręczył dziewczynom swoją wizytówkę i powiedział, by do niego zadzwoniły, jak tylko podejmą decyzję, a później zaprosił je na drinka. Iga bała się go wypić, chciała jak najszybciej znaleźć się w hotelu. Na szczęście niedługo potem jacht przybił do brzegu.

Po płomiennym pożegnaniu z Yasimem Rose wreszcie dała się od niego odciągnąć. Odjechały pierwszą z czekających w porcie limuzyn. Kiedy Iga opowiedziała przyjaciółce o gwałcie, obie postanowiły, że nie zadzwonią do Yasima. Ale nie miały zamiaru zrezygnować z zarabiania w Dubaju.

Podjęły jednak kluczową decyzję – wynajmą ochroniarza, który będzie im gwarantował bezpieczeństwo.

– I tak trafiły do mnie – kończy opowieść Abd.

– Ale przecież nie jesteś w stanie uchronić ich przed gwałtem na jachcie. Nie wpuszczą cię tam – kontruje.

– Dziewczyny już nie imprezują na jachtach. Zwłaszcza że ostatnio policja lubi robić naloty i zawsze kończy się aresztowaniami. Lepiej nie ryzykować. Ochraniam je, gdy mają imprezę z bogatymi klientami. Nieźle płacą...

– A przy tym ty masz szansę na wbiecie się do wyższych sfer – mówię, puszczając do niego oko.

– To nie takie proste, ale wiesz, trzeba się rozwijać.

– A nie lepiej by wyszły, przyjmując propozycję Yasima?

– To nie dla nich. One chcą przyjeżdżać do Dubaju na jakiś czas, a potem wracać do Polski. Gdyby przyjęły taką propozycję, podróże na własną rękę od razu by się skończyły.

– Myślałem, że haremy to mit i wierzą w niego tylko ci, którzy wciąż powielają stereotypy o bogatych Arabach...

– Wiesz, to nie są haremy jak w dawnych czasach, chociaż w sumie do tego się to sprowadza. Dziewczyny są do wyłącznej dyspozycji właściciela, żyją na jego koszt, ale wiedzą, że muszą być na każde jego zawołanie.

Rozmowa z Abdem jest niezwykle fascynująca. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będziemy dyskutować o takich rzeczach. Z uczciwości postanawiam mu przypomnieć, że piszę książkę i to, co powie, pewnie się w niej znajdzie.

– Nawet jak opiszysz wszystko, co ode mnie usłyszałeś, i tak będzie to tylko fragment prawdy, bo tu każdy działa na własnych zasadach. – Wzrusza ramionami.

– I żadne nie istnieją? – ironizuję.

– Istnieje tylko taka, by nie wchodzić sobie w drogę, bo to nikomu się nie opłaca. Wszędzie na świecie nielegalna prostytutka jest w rękach mafii, ale w Dubaju sytuacja nie jest tak jednoznaczna. Oczywiście na szczycie tych najbardziej prestiżowych siatek sutenerskich stoją wyjątkowo nieprzyjemne

typy, ale na co dzień to z pozoru bardzo mili ludzie. Kilku jest nawet powszechnie znanych i szanowanych na Bliskim Wschodzie.

– A ty chcesz do nich dołączyć...

– Ja mam nowy pomysł na biznes. Jak chcesz, możemy go zrobić wspólnie...

Tego się nie spodziewałem. Słyszałem już wiele rzeczy, ale nikt nie proponował mi jeszcze wejścia w spółkę. Zwłaszcza zajmującą się handlem ludźmi, bo domyślałem się, że o taką działalność chodzi. Z ciekawości jednak udaję zainteresowanego.

– Polki dobrze chodzą w Dubaju. Wielu klientów pyta o modelki z twojego kraju. Mógłbyś to organizować i je do nas wysyłać, a ja zajmę się resztą na miejscu. Będą przyjeżdżać na turystycznych wizach, zupełnie legalnie. One dobrze zarobią, my dobrze zarobimy, wszyscy będą zadowoleni – wyjaśnia Abd.

Nie mogłem uwierzyć, że tak bez ogródek proponuje mi wejście w ten biznes, zwłaszcza po tym, jak dość dosadnie dałem mu do zrozumienia, co myślę o zarabianiu na niewolnictwie.

– One będą to robić dobrowolnie – kontynuuje – przecież nikt ich nie będzie zmuszał. I tak wiele lasek to robi, ale na własną rękę, co może się kiepsko skończyć. Jak położy na nich łapę jakiś sutener, to szybko nie wrócą do domu. A tak wszystko jest legalnie. Przyjeżdżają na wakacje, w dzień się opalają, w nocy dają dupy, wracają z kasą...

Abd nie wymyślił tego sam. To system stary jak świat, a w Dubaju znany co najmniej od dwudziestu lat. Ale on ewidentnie miał w głowie zorganizowanie czegoś na kształt agencji turystycznej zapewniającej pracę i wypoczynek w Dubaju dziewczynom, które nie mają nic przeciwko zarabianiu na sprzedawaniu swojego ciała.

– Jak chcesz, chłopaków też możemy sprowadzać – zaznacza Abd. – Sporo klientów pyta o facetów, chociaż z dziewczynami jest łatwiej. Czasami się rzucają, ale w razie czego można je szybko przywołać do porządku. Do burdelu facetów bym nie wziął, ale do takiego pośrednictwa nie ma sprawy. Mnie tam wisi, kto z kim się bzyka. Zwłaszcza jak hajs się zgadza.

CZEŚĆ II
SŁUŻBA

ROZDZIAŁ 7

Event

Nie miałem wątpliwości, że napisanie epilogu dla historii o służących wymaga wizyty na Bali. Jeszcze gdy ją pisałem, w mojej głowie pojawiały się pytania do ludzi, którzy bez skrupułów wysyłają swoich rodaków do pracy w krajach słynących z przedmiotowego, a często wręcz okrutnego traktowania pracowników z biedniejszych regionów świata.

Nie uwierzę, że robią to z chęci pomocy, że nie wiedzą, co może im się przydarzyć. Muszą mieć świadomość, jakie ryzyko się z tym wiąże. Co jakiś czas znad Zatoki Perskiej dociera skandaliczna wiadomość o śmierci kogoś, kto pojechał tam do pracy. Za każdym razem władze danego kraju umywają ręce, próbując obarczyć winą samą ofiarę albo obiecując sumienne śledztwo w tej sprawie. A później sytuacja się powtarza i w drogę do domu rusza kolejna trumna.

Czasami jednak kończy się jeszcze tragiczniej i pracownik czy pracownica przepada bez wieści. Dokładnie tak jak Luh Tu, ciocia Eki, narratorki *Koszmaru arabskich służących*, która oszukana przez agencję, obiecującą jej posadę masażystki w hotelu, trafiła do willi bogaczy zmuszających ją do opieki nad swoim upośledzonym umysłowo i bardzo niebezpiecznym nastoletnim synem.

Oczywiście chciałbym napisać, że historia cioci Luh Tu znalazła szczęśliwe zakończenie, ale tych, którzy na nie liczą, muszę rozczarować. Życie nie jest bajką, a ja nie dopisuję do opowieści szczęśliwych zakończeń, nawet jeśli bardzo bym chciał, by takie były. Możemy się tylko domyślać, co się z nią stało, i pewnie wersja o tym, że za jej zniknięciem stoi rodzina, w której pracowała, jest najbliższa prawdy, ale to nie wystarczy, by wysunąć oskarżenia, a już na pewno nie zmieni statusu cioci Luh Tu z zaginionej na odnalezioną. Za taką bowiem nadal uważa ją

indonezyjskie prawo i wszystko wskazuje na to, że widzi w tym koniec sprawy. A co najgorsze, mimo że jest jedną z wielu na liście, obywatele i obywatelki tego kraju wciąż zmuszani są do pracy dla bogatych Arabów.

Jeśli jest coś, za co można pochwalić system *kafala* – obowiązujące w krajach arabskich prawo, na podstawie którego sprowadza się tam pracowników, głównie z biednych krajów, a które de facto legalizuje ich niewolnictwo – to za fakt, że sprawił on, iż potajemny przemyt ludzi nad Zatokę Perską stał się nieopłacalny. Oczywiście nie udaremnił go całkowicie, bo do krajów arabskich wciąż sprowadza się nielegalnie siłę roboczą, ale zdecydowanie łatwiej jest to zrobić za pomocą *kafali*, zwłaszcza że nie wyklucza ona traktowania pracowników jak niewolników, a wręcz je promuje.

O ile w przypadku nielegalnej prostytucji przemyt ludzi z biednych krajów wciąż jest istotnym źródłem pozyskiwania żywego towaru, o tyle niewolnicy sprowadzani do pracy legalnej z reguły przylatują do miejsca swojego zatrudnienia całkowicie oficjalnie. Na tym niestety z reguły pozory normalności się kończą. Choć przybywają samolotami, często rejsowymi, są odprawiani jak normalni podróżni, mają karty pokładowe, przypisane miejsca, dostają posiłki i napoje jak każdy inny pasażer, siedzą obok wolnych ludzi, którzy lecą na wakacje lub w odwiedzinę, po wylądowaniu często tracą swój niezależny status i stają się zwykłym towarem.

Tak się składa, że Eka przez kilka lat mieszkała w Polsce, a ja byłem jej pracodawcą. Jest niezwykle utalentowaną masażystką, która zupełnie legalnie pracowała w należącym niegdyś do mnie warszawskim salonie masażu. Sprowadzenie jej i pozostałych Balijskich do Polski zawsze odbywało się przy udziale wszystkich polskich instytucji, których pozwolenia są wymagane w tego typu sytuacjach.

Na Bali rekrutacją masażystek zajmowała się mieszcząca się w mieście Kuta agencja pośrednictwa pracy. Współpracowałem z nią przez pięć lat. Nasze kontakty ograniczały się do pozyskiwania aplikacji i załatwiania na miejscu formalności niezbędnych dziewczynom, które zostały wybrane do pracy. Ta współpraca nie wymagała ode mnie podróżowania, wszystko załatwialiśmy za pomocą maili i komunikatorów. Agencja nigdy nie interesowała się warunkami zatrudnienia ani zamieszkania, jakie oferuję, a mnie nigdy nawet nie przeszło przez myśl, że może to stanowić tak ogromny problem.

Prowadziłem uczciwą firmę i bardzo dbałem o dziewczyny, które w niej pracowały. Mieszkały w świetnie wyposażonym, wygodnym mieszkaniu niedaleko miejsca pracy, miały prywatną opiekę zdrowotną, dobre pensje, opłacane składki i podatki. Ale co, jeśli tak nie było? Gdybym zatrudniał je w jakimś nielegalnym podziemnym biznesie albo wykorzystywał do ponadwymiarowej pracy, bił, źle traktował, poniżał...? Agencji by to nie interesowało, bo nikt tam nigdy nawet nie pomyślał, żeby o to zapytać, sprawdzić, upewnić się, że wysyłane przez nich do Polski dziewczyny są bezpieczne.

Dotarło to do mnie, dopiero gdy zacząłem pisać książkę, ale wtedy wiedziałem już, że tematu agencji pośrednictwa pracy w biednych krajach nie da się tak po prostu przemilczeć. Większość z nich bowiem zupełnie oficjalnie para się handlem ludźmi, nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności, a na domiar złego wciąż nie brakuje chętnych, dzięki którym mogą swój proceder rozwijać.

Aby się dowiedzieć, jak naprawdę działają tego typu firmy, postanowiłem wykorzystać dawne kontakty i udawać, że moja wizyta na Bali związana jest wyłącznie z chęcią zatrudnienia kilku dziewczyn. Mając nieposzlakowaną opinię i długą historię współpracy, byłem zaufanym klientem. Ten wybieg okazał się strzałem w dziesiątkę, zwłaszcza że to, co udało mi się odkryć, okazało się bardzo dalekie od moich dotychczasowych wyobrażeń...

Upalne, pachnące lepką stęchlizną powietrze wita wszystkich lądujących na lotnisku Denpasar. Ten zapach znają wszyscy, którzy podróżują po upalnych destynacjach Azji. Jest przypisany do tych miejsc, choć nikt tak naprawdę nie wie, skąd pochodzi. Gdyby był pozbawiony skojarzeń z beztróską wakacji, można byłoby go uznać za nieprzyjemny, ale nikt chyba tu na niego nie narzeka. Wszyscy pędzą do odprawy celnej, by chwilę później odebrać walizki i rozjechać się po hotelach tej uchodzącej za rajską wyspy.

Mimo cudownej pogody, egzotycznej przyrody i wspaniałych ludzi osobiście nie lubię Bali. W zasadzie nie lubię tego miejsca właśnie z tych trzech powodów: pogoda, przyroda i ludzie. Pogoda odbiera czujność, a zachwycająca przyroda przysłania turystom prawdę o ludziach. O tym,

jak wygląda prawdziwe życie mieszkańców tej wyspy, często pełne dramatycznych wyborów, będących próbą walki z biedą.

Co to za raj, gdzie ludzie często żyją za mniej niż dwa dolary dziennie, a i tej kwoty nikt im tu nie gwarantuje? Przez cały czas swojej ziemskiej egzystencji ciężko pracują, a o emeryturze nie mogą nawet marzyć. Większość z nich nie rozumie konceptu świadczeń emerytalnych, a nawet najbiedniejszy polski emeryt jest przy nich krezusem. Jeśli ich dzieci nie będą w stanie ich utrzymać, zostaną odesłani na plantację ryżu, gdzie będą zarabiać na swoje racje żywnościowe aż do śmierci.

W moim rozumieniu nie tak wygląda raj. Oczywiście bywalcy wyspy, którzy przyjeżdżają tu na wakacje i całe dni spędzają na zwiedzaniu, pływaniu, surfowaniu i opalaniu się, pewnie się ze mną nie zgodzą, ale ja już tak mam, że lubię zdrapywać farbę, którą malowana jest trawa.

Odnalezienie agencji, z którą do tej pory łączyła mnie wyłącznie mailowa korespondencja, nie było trudne. Ciąg parterowych pawilonów, jedne rażące brudem, inne świeżo odmalowane i zadbane, jest sklep Seven Eleven – tutejsza Żabka, zaraz za nim wypożyczalnia skuterów... I kolejny lokal. Ten krzyczy hasłami, które na Bali działają niczym magnes. Jest o wizach, o pracy za granicą, wysokich zarobkach. Szeroko uśmiechnięta, długowłosa Balijka zachęca z plakatu do aplikowania. W witrynie wisi też tablica z nieco bardziej szczegółowymi ofertami. Najczęściej powtarzające się tu słowa to *manager* i *supervisor*, czyli kierownik, *service agent*, czyli agent serwisowy (cokolwiek to znaczy), oraz *head of duty* – szef zmiany. Patrząc na te stanowiska, można odnieść wrażenie, że na Bali rekrutuje się głównie kadrę zarządzającą. To oczywiste oszustwo, ale można je zrzucić na karb nieudolnego marketingu. Większość ludzi z Bali decydujących się na wyjazd do pracy za granicą wie, że nikt nie zatrudnia ich do zarządzania czy nadzoru. Agencje pośrednictwa pracy sprzedają tu jednak marzenia o lepszym życiu, a szanse na awans społeczny mają znaczenie psychologiczne. Na Bali jest wielu, którzy dzięki pracy za granicą wybudowali domy i pozbyli się codziennych kłopotów finansowych. Nie jest tak, że wszyscy na niej tracą, choć oczywiście życie przez kilka lat z dala od rodziny zawsze ma swoją cenę. Ci, którzy myślą o wyjeździe, najczęściej po prostu nie mają innego wyjścia, rzadziej chcą tylko dorobić, ale zawsze trzymają się tych historii, które zakończyły się sukcesem. O osobach, które nie wróciły lub wróciły ze zrujnowaną psychiką, wołają nie

myśleć. To rodzaj instynktu samozachowawczego, dzięki któremu trzymają się w pionie i prą do przodu. Choćby na złamanie karku.

Nie mam wątpliwości, że to tutaj. Gdybym miał zgadywać, jak ma na imię dziewczyna siedząca przy komputerze na wprost wejścia, obstawiłbym, że Kadek. To jedno z czterech najpopularniejszych tutaj imion. Trafione w punkt. Widząc mnie, Kadek odrywa się od klawiatury i wstaje z fotela. Wie, że wizyta kogoś z Zachodu to szansa na zarobienie sporych pieniędzy. Muszę utrzymywać ją w tym przeświadczeniu jak najdłużej.

– Potrzebuję pięciu nowych masażystek na takich samych zasadach jak dotychczas – mówię, gdy pyta, co mnie sprowadza na Bali osobiście. Do tej pory kontaktowaliśmy się wyłącznie mailowo. Nie miałem nawet pewności, czy Kadek naprawdę istnieje. Dopóki ktoś odpowiadał na moje maile, a sprawy zatrudniania masażystek szły do przodu, nieszczerze mnie to interesowało. Teraz jednak mam zupełnie inny cel.

– Będzie drożej – oświadczam, rozpoczynając negocjacje.

Te słowa sprawiają, że nagle czuję się tak, jakbym przeszedł na drugą stronę. Rozmawiamy o kosztach zatrudnienia ludzi, a ja mam wrażenie, że po prostu ich kupuję. Do tej pory nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób. W Polsce pracodawca zatrudnia, nie kupuje, a tu już sam ton rozmowy powoduje, że mam poczucie uczestniczenia w czymś nie do końca legalnym, a już na pewno nie moralnym.

Wiem, że muszę sprowadzić tę rozmowę na inne tory. Po pierwsze tak naprawdę nie mam zamiaru nikogo zatrudniać, a po drugie chcę poznać kulisy działania tej agencji. Jeśli teraz zaczniemy dobijać targu, nic z tego nie będzie.

– Nie może być drożej. W Polsce wzrosły pensje, moje koszty i tak będą wysokie. Przecież zatrudniam pięć dziewczyn jednocześnie, i tak wyjdziecie na swoje – idę w zaparte, próbując uciec od tych mocno naciąganych negocjacji.

Kadek myśli chwilę.

– Mój boss będzie zły, ale dobrze... Porozmawiam z nim.

– Boss? Może ja z nim pogadam?

– On nie rozmawia z klientami, jest bardzo zajęty. Teraz przygotowujemy event w hotelu dla klienta z Dubaju. Boss wszystkiego pilnuje, bo to duży klient.

– Co to za event? – pytam.

– Jak mamy klienta, który chce zatrudnić dużo osób, to organizujemy takie otwarte spotkanie. Każdy, kto chce wyjechać do pracy, może przyjść, zapoznać się z ofertą i aplikować. Tak jest łatwiej, bo w jeden dzień możemy znaleźć wszystkich, których potrzebujemy.

– A ja też mogę przyjść na to spotkanie?

Kadek się waha, ale w końcu stwierdza:

– W sumie to otwarty event, a może znajdziesz tam masażystki do swojego salonu. Dla klienta z Dubaju potrzebujemy stu dwudziestu osób, w tym właśnie masażystek. Znając życie, przyjedzie ich tam więcej, niż potrzeba. Najtrudniej jest z kucharzami, ale masażystki z reguły musimy odsyłać z kwitkiem.

Kadek mimo początkowych obiekcji jest wyraźnie zadowolona z pomysłu, na jaki wpadła. Jest szansa, że obsługując jednego klienta, uda się jej zarobić na dwóch. Ja w sumie też nie mogę narzekać. Zobaczę, jak wyglądają masowe rekrutacje dla dużych klientów.

Jestem w jednym z położonych wzdłuż linii brzegowej hoteli w Kuta. Wydaje się, że mieszka w nim sporo turystów. Jest środek sezonu i trudno, by w takim miejscu było inaczej.

Patio wychodzi na chodnik. Jest otwarte i w zasadzie każdy może tu wejść bez problemu. Po lewej stronie na długim, zadaszonym podejście zbudowanym z bejcowanych na intensywny kolor ciemnych bali mieści się plenerowa recepcja i stanowisko concierge'a. Po prawej w oszklonym pawilonie znajduje się restauracja. Do pokoi hotelowych wchodzi się z galerii umieszczonej na tylnej ścianie budynku. Tam jednak kandydaci na pracowników nowego hotelu w Dubaju nie mają wstępu. Wszystko będzie się odbywało w restauracji i na patio przed budynkiem.

Nie miałem nic innego w planach, więc przyszedłem na miejsce trzy godziny przed czasem i usiadłem w ogródku pobliskiej kawiarni. Nie chciałem niczego przegapić. Osób, które nie mogły się doczekać rozpoczęcia eventu, jest więcej. Co jakiś czas do hotelu podchodzą małe trzy-, czteroosobowe grupki i albo dopytują o wydarzenie w recepcji, albo czytają harmonogram na wywieszonym przy wejściu plakacie ze zdjęciem uśmiechniętej agentki i obietnicą świetlanej przyszłości.

Z czasem pojawia się coraz więcej ludzi. Niektórzy siadają przy patio, inni po drugiej stronie ulicy przy hotelu. Są też osoby, które tak jak ja postanowiły poczekać w kawiarni. Przy stoliku obok mojego siadają trzy młode, niezwykle rozgadane dziewczyny. Przysłuchuję się ich dyskusji, choć oczywiście niewiele z niej rozumiem. Pojawiają się w niej jednak dość często angielskie słowa, co daje mi nadzieję, że mamy szansę się skomunikować. Postanawiam do nich zagadać.

– Przepraszam, wybieracie się może na ten event rekrutacyjny? – pytam.

Zaskoczone dziewczyny milkną, po czym jedna z nich odpowiada całkiem sprawnym angielskim:

– One tak. Ja już mam pracę, teraz jestem tu na wakacjach...

Od razu wiem, że raczej nie jest to praca nad Zatoką Perską.

– O! A gdzie pracujesz?

– W Turcji.

– I jesteś zadowolona?

– Tak, pracuję w dużym hotelu, dobre pieniądze, ale w Dubaju płacą więcej – odpowiada ze swadą ekspertki w temacie.

– Woląabyś pracować w Dubaju?

– No pewnie, ale został mi jeszcze rok w Turcji, później się przeniosę – wyjaśnia.

– Dołącz do nas. Będziemy trzymać dla niej miejsce – dodaje jedna z jej koleżanek, jakby była pewna, że już dostała tę pracę.

– A czym się zajmujecie? – pytam dalej.

– Masaż! – odpowiadają niemal chórem.

No tak, mogłem się domyślić. Opowiadam im o tym, że sam prowadzę salon masażu w Warszawie, choć w moim przypadku to już historia. Wyczuwam, że nie bardzo wiedzą, gdzie jest Warszawa. Hasło „Polska” niewiele zmienia. „Europa” – to ekscytuje je zdecydowanie bardziej.

– *Germany*? – rzuca jedna z nich.

– Polska to kraj obok Niemiec – wyjaśniam, ale na tym kończą się dywagacje geograficzne, bo postanawiam wsadzić kij w mrowisko. – A nie boicie się jechać do pracy do Dubaju?

Nie wierzę, że zadałem to pytanie, bo gdy sam wyjeżdżałem do pracy do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, słyszałem je wielokrotnie i bardzo mnie irytowało. Przez lata życia tam nigdy nie miałem powodu, żeby się czegoś bać, ale moja sytuacja była inna. Ja nie pochodzę z państwa, które

nosi miano „źródła taniej siły roboczej”, przynajmniej nie dla krajów Zatoki Perskiej, mam silny paszport Unii Europejskiej. W razie problemów mogę liczyć na interwencję mojego kraju. Te śliczne, młode dziewczyny są w zupełnie innym położeniu.

Moje pytanie sprawia, że stają się nieco mniej rozmowne.

– Różne historie opowiadają o tym, co się dzieje z ludźmi, którzy jadą tam do pracy... – kontynuuję, próbując nakłonić je do rozmowy, bo mam wrażenie, że mają w tej kwestii coś ważnego do powiedzenia.

Wkrótce się okazuje, że obie dziewczyny, które teraz starają się o pracę w Dubaju, mieszkały już wcześniej w Katarze. Jedna z nich wróciła stamtąd ze złamaną ręką.

Dari, która kazała mówić na siebie Ari, i... tak, tak, kolejna Kadek poleciały do Kataru blisko trzy lata wcześniej. Miały zostać zatrudnione w ekskluzywnym SPA. I faktycznie do niego trafiły, ale praca w nim daleka była od wizji, jaką roztaczano przed nimi, gdy o nią aplikowały.

Choć trzeba przyznać, że w krajach Zatoki Perskiej wiele takich miejsc bardzo restrykcyjnie podchodzi do kwestii klientów, którzy oczekują, delikatnie mówiąc, czegoś więcej niż masażu, tu właściciele biznesu niechętnie reagowali na skargi molestowanych pracownic. Takie podejście tylko rozochociło tę część klienteli, dla której masaż jest grą wstępną, a nie pozbawionym podtekstów zabiegiem pielęgnacyjnym.

Opinia o tym przybytku szybko rozeszła się po stolicy i wielu mężczyzn przychodziło tam z bardzo konkretnymi zamiarami. To oczywiście opłacało się zarządzającym, którzy o wiele chętniej wierzyli w słowa bogatych klientów, zostawiających w ich kasie spore pieniądze, niż biednych masażystek, które w razie problemów zawsze przecież można wymienić na nowe.

Nie wszyscy traktowali to SPA jak dom publiczny. Spora część klienteli faktycznie przychodziła tam na masaże i zabiegi pielęgnacyjne, ale byli tacy, którzy traktowali balijskie masażystki jak prostytutki, zmuszając je do seksu, a przynajmniej do bardzo intymnych czynności, zdecydowanie wykraczających poza zakres usług oferowanych przez salon.

Dziewczyny nie miały wątpliwości, że w konfrontacji z nimi stoją na przegranej pozycji. Fizycznie sam na sam z klientami nie miały szans,

a gdy nawet konflikt miałyby rozstrzygnąć policja, też nie wyszłyby na tym dobrze.

Takie miejsca w Doha są często na cenzurowanym i sami Katarczycy dbają o to, by się zamykały lub obsługiwały wyłącznie kobiety, ale to konkretne zdawało się znajdować pod specjalnym protektoratem. Ari miała okazję na własnej skórze się przekonać, dlaczego tak właśnie jest.

Niektórzy z tych „bardziej wymagających” stałych klientów mieli wśród pracownic salonu swoje ksywki. W uszach masażystek brzmiały one niemal jak kryptonimy grozy. Mieli oni swoje ulubienice i zamawiali wizyty u tych, które sobie upatrzyli. Zarówno Ari, jak i Kadek miały takich wątpliwych adoratorów.

Kadek po raz pierwszy masowała mężczyznę o nazwisku Marafi niedługo po tym, jak zaczęła pracę w SPA. Pierwsze spotkanie wcale nie zapowiadało koszmaru. Marafi przespał niemal cały masaż. Śmierdział alkoholem i ewidentnie odsypiał ciężką noc. Był jednak przytomny na tyle, by zapamiętać swoją masażystkę, i kolejnym razem poprosił, żeby obsługiwała go właśnie Kadek. I tym razem postanowił zapoznać się z nią znacznie bliżej.

Zgodnie z zasadami panującymi w salonie przygotowany do masażu klient powinien mieć na biodrach ręcznik, ale Marafi potraktował ten wymóg bardzo luźno. Tak luźno jak ręcznik, którym się przepasał. Spadł on dokładnie w chwili, gdy Kadek weszła do pokoju.

– Widzisz, jak na mnie działasz – przywitał ją klient.

– Sir, trzeba zakryć... – powiedziała totalnie speszona.

Zasłoniła oczy i odwróciła się, by zapewnić mu intymność, ale on wcale nie wyglądał na skrępowanego.

– Nie trzeba, nie wstydź się – przekonywał.

– Trzeba – upierała się Kadek. – Nie wolno tak. Trzeba zakryć.

Marafi jednak niewiele sobie robił z jej uwag. Rozłożył się na łóżku, prezentując swoje genitalia bez cienia wstydu.

– No, do roboty! – rzucił. – Nie marnuj mojego czasu.

Kadek nie miała wyjścia, musiała zacząć pracę. Stała u wezglowia łóżka, a kiedy się pochyliła, mężczyzna złapał ją za piersi.

– Sir, nie można! – zareagowała, odskakując w panice.

– Nie udawaj niewinnej. Znam takie jak ty! Zawsze mówicie „nie”, a później jesteście chętne na wszystko. Chyba nie chcesz być niemila dla

klienta? Bądź grzeczna, a twój napiwek będzie tak duży jak on – powiedział, wskazując na swoją erekcję.

Kadek przyleciała do Kataru do pracy i każdy napiwek ją cieszył, ale na Bali został jej narzeczony, z którym miała zamiar wziąć ślub zaraz po powrocie. Nie była w stanie tak po prostu pozwolić obcemu mężczyźnie na obmacywanie. Nawet jeśli miałyby zarobić na tym większe pieniądze. Marafi nie dawał jednak za wygraną. Widząc, że napiwkami jej nie przekonał, zaczął grozić:

– Pokaż mi piersi i dam ci spokój. Bo jak nie, załatwię, żeby odesłali cię do tego twojego robaczywego kraju.

Kadek nie zareagowała. Próbowwała przejść na drugą stronę łóżka, by znaleźć się poza zasięgiem jego rąk, ale wtedy klient złapał ją za ramię i pociągnął, przykładając jej dłoń do swojego krocza. Szarpnęła się, ale był od niej znacznie silniejszy.

– Po prostu się nim zajmij i nadal będziemy przyjaciółmi – powiedział łagodnie, luzując lekko uścisk.

Wtedy udało się jej wyrwać i uciec z pokoju. W recepcji wpadła na kierownika zmiany, który bez zadawania pytań kazał jej natychmiast wrócić do klienta.

– Nie mogę. On chce seksu – tłumaczyła.

– Przestań fantazjować. Męża tu nie znajdziesz. Wracaj. Masz sprawić, żeby był zadowolony. Nie chcę słyszeć żadnych skarg na twój temat – rzucił przełożony, mając oczywiście pełną świadomość, co mogło wydarzyć się w pokoju.

Kadek nie mogła uciec, nie mogła zostać, nie mogła się schować – musiała wrócić. Marafi wiedział, że tak właśnie będzie. Z satysfakcją przyglądał się jej, gdy ze spuszczoną głową znowu pojawiła się u jego boku. Zmusił ją do rozebrania się do naga. Nie zgwałcił jej w dosłownym rozumieniu tego słowa, ale ona nie widziała różnicy. Fakt, że nigdy nie doszło między nimi do stosunku, do penetracji, nie zmienił tego, że gwałcił ją za każdym razem, kiedy przychodził do SPA – a robił to z wręcz obsesyjną częstotliwością.

Musiała go obsługiwać, doprowadzać do orgazmu, pieścić i podziwiać jego ciało, wyrażając dla niego pełne uwielbienie. To podniecało go tak, że dochodził bardzo szybko. Potrafił nawet kilka razy. I zawsze zmuszał ją do zlizywania swojej spermy.

– Nie można tego zmarnować. Wiem, że to lubisz... – mruzczał. – Jak chcesz, to ci tym ryż poleję. Będiesz miała na później...

Kadek nie reagowała. Czuła się upokorzona i przerażona. Powstrzymała odruch wymiotny i w duszy przepraszała swojego narzeczonego. Nigdy nie zdobyła się na odwagę, by mu o tym opowiedzieć.

– Lubisz to, prawda? – pytał podniesionym głosem i ciągnął za włosy, dopóki nie usłyszał potwierdzenia, jedynej akceptowanej przez niego odpowiedzi.

Ari też była molestowana. Ją upodobał sobie mężczyzna, którego Balijski pracujące dłużej w salonie nazywały Polisi. Był oschły w obyciu i wyraźnie miał tendencje do brutalności. Przekonywała się o tym za każdym razem, gdy zrobiła coś nie po jego myśli.

Polisi nie prosił, nie informował, generalnie mało mówił, ale gdy coś mu się nie spodobało, kopał albo załatwiał sprawę pięścią. Jego ciosy nie były bardzo silne, bo z reguły zadawał je z pozycji leżącej, ale dla filigranowej dziewczyny nawet lekkie uderzenie rosnącego mężczyzny bywało bardzo bolesne.

Polisi nie stronił też od gwałtu. Kilkakrotnie zmusił Ari do stosunku, zasłaniając jej twarz ręką, tak że dziewczyna nie tylko nie mogła pisnąć ani słowa, ale też musiała walczyć o każdy oddech. Podobnie jak Kadek próbowała się skarżyć, jednak i w jej przypadku nie było szans na interwencję przełożonych. Polisi poczynał sobie coraz śmielej i gwałcił ją regularnie do momentu, gdy podczas jednego z ich spotkań pchnął ją brutalnie tak, że upadła i złamała rękę.

Jej kariera na tym się zakończyła. Nie spotkali się już nigdy więcej, bynajmniej nie dlatego, że Polisi wpadł w jakieś kłopoty, po prostu Ari anulowano kontrakt. Została natychmiast odesłana do kraju. Nikt nie miał zamiaru zajmować się niesprawną masażystką. Jej umowa zresztą i tak wkrótce się kończyła. Gdyby uszczerbek na zdrowiu pozwalał jej na dalszą pracę, musiałaby zostać, ale ze złamaną ręką i tak nie mogła przyjmować klientów, choć tacy jak Polisi zapewne zrobiliby z niej użytek. Oczywiście nie dostała żadnego odszkodowania. Kontuzję uznano za dowód braku profesjonalizmu. Żadna masażystka, która poważnie traktuje swoją pracę, nie złamałaby sobie przecież ręki.

Polisi oczywiście pozostał klientem SPA i wkrótce upatrzył sobie inną masażystkę. Wiedział, że nikt nie jest w stanie mu podskoczyć. Słowo

polisi w języku indonezyjskim znaczy „policjant”, a on nie był zwykłym policjantem, tylko szefem komisariatu dystryktu, w którym znajdował się salon. Gwarantował właścicielowi, że biznes mógł się kręcić. Gdyby ktokolwiek spróbował zakazać mu gwałtów na pracownikach, z pewnością SPA szybko zostałyby zamknięte pod zarzutem – o ironio! – uczestnictwa w procederze prostytucji. Sam Polisi zaś zyskałby miano bohatera walczącego o katarską moralność.

– Po tych wszystkich przeżyciach nadal chcecie jechać do Dubaju? – pytam.

– W Dubaju jest inaczej.

– Nie jest!

– A skąd to wiecie?

– Dużo ludzi stąd pracuje w Emiratach. Wysyłają pieniądze. Są zadowoleni – wyjaśniają dziewczyny jednogłośnie.

– Ale wy też dobrze zarabialiście. Miałyście niezłe napiwki...

– W Dubaju jest lepiej. To duży hotel. Będzie dobrze – ucina stanowczo Ari.

W głębi duszy chyba wiedzą, że wcale nie musi być lepiej, ale wolą swoją wersję. Nie mogę niweczyć ich nadziei, zwłaszcza że nie mam żadnych dowodów na to, że w hotelu, do którego chcą aplikować, może przydarzyć im się coś przykrego. W Dubaju faktycznie pracuje wiele osób, które nawet w systemie *kafala* są opłacane zgodnie z umowami i nikt ich nie gwałci, ale wiem też, że nie wszyscy mają to szczęście.

Z historii tych dziewczyn płynie jedna, bardzo smutna konkluzja. Przez sytuację życiową zostały zmuszone obniżyć swoje wymagania do poziomu, na którym trudno dostrzec choćby cień szacunku. Są zdesperowane do tego stopnia, że praktycznie każdy może zostać ich właścicielem.

Ludzie zarządzający katarskim SPA, w którym pracowały, zachowywali się jak sutenerzy sprzedający ich usługi i je same bez najmniejszych oporów. Tonąc w tsunami hipokryzji, udawano tam, że to zwyczajny, uczciwy salon masażu, jednak wnioskując z opowieści dziewczyn, był to salon nie masażu, a szantażu.

Sprężenie mikrofonu piszczy w uszach wszystkich zebranych, a chwilę później rozlega się głośne przywitanie. Tylko ja jestem w stanie zrozumieć. Dziewczyna, którą kojarzę ze swojej wizyty w agencji, mówi po indonezyjsku. Chwilami tylko przechodzi na angielski, zwłaszcza gdy wymienia nazwy stanowisk, na które odbywa się rekrutacja. To pozwala mi się zorientować w temacie.

Dookoła małej, zaaranżowanej z podestu sceny zebrał się spory tłum. Ludzie podchodzą bliżej, żywiłowo reagując na słowa dziewczyny. Z czasem jej monotonna (przynajmniej dla mnie) tyrada staje się coraz bardziej żywiłowa. Dziewczyna podnosi ręce, a chwilę później robi to całe audytorium. Tak samo jest z klaskaniem. Wygląda to jak jakieś przedziwne ćwiczenia. Może to trening entuzjazmu, jaki należy okazywać przyszłemu pracodawcy, a może tylko uatrakcyjnienie występu, choć zaczynam mieć wrażenie, że trafiłem na spotkanie jakiejś grupy religijnej. Zachowanie prowadzącej kojarzy mi się z modłami bardzo oryginalnej sekty albo spotkaniem, na którym za fortunę sprzedaje się warte grosze metalowe garnki. To było przedziwne i jednocześnie bardzo niepokojące, bo skoro praca za granicą jest tak świetnie opłacana i wszyscy tak bardzo jej pragną, skąd potrzeba tak intensywnego przekonywania, by ją podjąć.

Całość trwa niespełna godzinę, a gdy dziewczyna przestaje przemawiać, tłum opanowuje chaos. W ciągu kolejnych kilku minut zaczynają się z niego formować trzy dość regularne kolejki prowadzące do stanowisk, przy których rekruterzy zapisują nazwiska i po krótkiej rozmowie rozdają ankiety do wypełnienia.

Dziewczyna z agencji co jakiś czas wydaje krótkie komunikaty, na moje szczęście również po angielsku: „Prosimy o cierpliwość. Przyjmiemy wszystkie ankiety”. „Prosimy o ustawianie się w kolejkach”. „Po wypełnieniu ankiety prosimy o dostarczenie jej do stanowiska lub wrzucenie do skrzynki przy recepcji”. „Prosimy o dokładne wypełnianie ankiet, zwłaszcza danych personalnych. To bardzo ważne”.

To jest przedziwne zjawisko, ale przyglądam się mu z niekłamanym zaciekawieniem, dopóki nie dociera do mnie, że mój entuzjazm jest kompletnie nie na miejscu. To, że organizatorom udało się go wywołać wśród aplikantów, nie zmienia faktu, że ten pełen nadziei tłum przywiodła tu nędza i ból istnienia. Dla mnie to interesujący spektakl, jednak ci ludzie nie są jego aktorami z wyboru.

Większość z nich wie, że taki wyjazd wiąże się z ogromnym ryzykiem. Każdy ma świadomość, że będzie okupiony ceną tęsknoty. Może nawet zdają sobie sprawę z tego, że prawie wszyscy będą pracować ponad swoje siły, w nadludzkim wymiarze godzin i nawet jeśli dostaną za tę pracę pieniądze, jakich nie byliby w stanie zarobić na Bali, to wciąż nie będą one za ten wysiłek zapłatą uczciwą. Ale nawet mimo tej świadomości wszyscy marzą, by usłyszeć „tak” od agencji, by dostać szansę, by zostać sprzedanym za bezcen.

Próbuję dostrzec w tłumie bossa, o którym mówiła Kadek z agencji. Rozmowa z nim – o ile tylko by się na nią zgodził – mogłaby być bardzo interesująca, choć już teraz mogę się założyć, że w odpowiedzi na zarzuty o wysyłanie nieświadomych ludzi do niewolniczej pracy opowiedziałaby mi o swojej działalności charytatywnej i dobrym sercu, które każe mu pomagać biednym i potrzebującym. Wciąż jednak wolę to usłyszeć od niego i wygrać ten zakład z samym sobą.

Rozglądam się, ale nie znajduję nikogo, kto pasowałby mi na bossa. Nawet jeśli tu jest, ma doskonałą kryjówkę albo świetnie wtapia się w tłum. Kadek jest zbyt zajęta, by mi go wskazać. Żeby się do niej dostać, musiałbym stanąć w kolejce, a nie chcę robić zamieszania. Sam wolę nie rzucać się w oczy. Muszę odpuścić, choć jak się wkrótce okaże, będę miał jeszcze okazję się z nim spotkać. I nie będzie to miłe spotkanie.

Tłum się przeredza, ale wciąż wielu ludzi stoi w kolejce po ankietę. Niektórzy siedzą na murku oddzielającym zdeptaną murawę patio od chodnika. Ja też tam siadam. Jest dość ciasno. Obok mnie ankietę wypełnia bardzo szczupła i chyba bardzo smutna dziewczyna. Trudno powiedzieć, ile ma lat, ale wydaje się dość młoda.

– Ty też chcesz jechać do Dubaju? – próbuję zacząć rozmowę.

Odrywa się od pisania. Zdziwiona spogląda na mnie wzrokiem, w którym widać pytanie: „Co ty tu robisz, białasie”, ale jest miła.

– Woląabym zostać – odpowiada.

Znam już dalszy ciąg tej historii. Jest zmuszona do wyjazdu, bo nie ma pieniędzy na życie. Ale jak mam się wkrótce przekonać, to tylko mały wyimek jej wstrząsającej opowieści.

Spoglądam na nią, starając się złapać kontakt wzrokowy. Jej twarz wydaje się w połowie spowita cieniem. Mam wrażenie, że to efekt jakiegoś dawno zagojonego poparzenia, ale nie mam śmiałości o to zapytać. W jej oczach

chyba dostrzegam łyzy, a może to skutek alergii albo zmęczenia. Przyszła tu aplikować o pracę w Emiratach, choć na samą myśl o wyjeździe z Bali do któregośkolwiek z krajów arabskich ma dreszcze. Nie ze względu na tęsknotę, z tą da się żyć. W jej przypadku powodem są wspomnienia. Bo Putu Ivha mieszkała już na Bliskim Wschodzie, a to, co tam przeżyła, do dziś przyprawia ją o palpacje. Najsmutniejsze jednak jest to, że życie zmusza ją do powrotu.

ROZDZIAŁ 8

Kuwejt

Kiedy wychodziła za mąż, narzeczony obiecał jej, że nigdy nie będzie musiała wyjeżdżać za granicę do pracy. Na Bali niemal każda panna młoda marzy, by usłyszeć taką obietnicę.

– Jeśli nawet spotka nas bieda, to ja wyjadę. Tak na krótko. Będę pracował dzień i noc, by zarobić jak najwięcej i szybko wrócić do ciebie i naszych dzieci – deklarował.

Dzieci pojawiły się krótko po ślubie. Najpierw bogowie pobłogosławili ich synem, a później urodziły się jeszcze dwie bliźniaczki. Krótko po ich przyjściu na świat sytuacja faktycznie zrobiła się trudna. Wybuchy wulkanu odstraszały turystów. Woleli nie ryzykować wakacji w miejscu, do którego regularnie odwołuje się loty. A że mąż Putu Ivha żył z obwożenia turystów po wyspie, rodzinie szybko zaczęło brakować pieniędzy. I wtedy pojawił się pomysł, na który mieszkańcy Bali wpadają wielokrotnie w ciągu swojego życia. Większość z nich realizuje go przynajmniej raz. Mężczyzna zgłosił się do agencji i wkrótce dostał pracę przy połowie i obróbce ryb na Morzu Północnym.

Nie było go blisko dwa lata. Przez jakiś czas przesyłał pieniądze żonie, ale ostatnie kilka miesięcy przed swoim powrotem przestał robić przelewy. Przestał też kontaktować się z bliskimi. O tym, że wrócił, Putu Ivha dowiedziała się przypadkiem.

Mężczyzna po powrocie na wyspę zamieszkał ze swoim bratem i rodzicami, a kilka miesięcy później wyjechał do kontynentalnej części Indonezji. Zmienił też wyznanie – został muzułmaninem. Nigdy nie odwiedził swoich dzieci, które dorastając, nawet nie miały szansy go poznać. Być może wiedząc, że nie wróci do rodziny, nie chciał pojawiać się w ich życiu. Putu nigdy się nie dowiedziała, co tak naprawdę stało za

nagłym zniknięciem męża, nawet gdy finalizował się ich rozwód. Kiedy zadawała mu pytania, milczał i patrzył w dal, pilnując, by nie spotkać jej wzroku. Nigdy już nie powiedział do niej ani słowa.

Tęsknota, żal, poczucie niesprawiedliwości i zwyczajna ludzka wściekłość mieszały się w duszy Putu Ivha, która teraz, mając na wychowaniu trójkę dzieci, pozbawiona środków do życia, musiała podjąć bardzo ważne decyzje. A że w jej kraju często jest tylko jedno wyjście z takich sytuacji, zaczęła myśleć o pakowaniu walizki. Jej mama, która miała zająć się wnukami, gdy Putu pojedzie w świat zarabiać na ich utrzymanie, doradzała jej, by została, znalazła sobie innego męża, ale to nie było takie proste. Jako rozwódka z trójką dzieci kobieta nie mogła liczyć na nikogo, kto rokowałby na przyszłość. Matka proponowała jej, by zainteresowała się sąsiadem, wdowcem, jednak dwukrotnie starszy mężczyzna sam nie miał pracy, a drobne, jakie udało mu się uciulać, przepijał.

– Wolę już być sama do końca życia – protestowała dziewczyna. – Pojadę, zarobię tak jak inne dziewczyny i wszystko jakoś się ułoży.

Ostatecznie matka musiała się zgodzić z decyzją córki. Jeśli faktycznie uda jej się zdobyć dobrą pracę, obie nie będą musiały martwić się o przyszłość, a i dzieciom będzie się żyło dostatnio. To był kluczowy argument.

Putu zgłosiła się do agencji pośrednictwa pracy w Denpasar. Bez wykształcenia i ze szczątkowym wtedy angielskim miała szansę jedynie na posadę służącej lub sprzątaczkii, ale dla pozbawionej środków do życia Balijki z trójką dzieci nawet wynagrodzenie za taką pracę było szczytem marzeń. W agencji powiedziano jej, że będzie musiała zapłacić za pośrednictwo. Na to nie była gotowa. Nie miała żadnej gotówki, a już na pewno nie tyle, ile wynosiła miesięczna pensja w Kuwejcie, gdzie miała pojechać. Nawet gdyby odkładała wszystko, co udawało jej się zarobić na dorywczych pracach, nie byłaby w stanie zebrać takiej sumy. Putu była załamana. Ten wyjazd jawił się jej jako ostatnia deska ratunku, jedyna szansa na przetrwanie. Z czasem zrozumiała to też jej matka, która w końcu się przemogła i postanowiła jej pomóc.

– Pójdziemy do tej agencji razem – powiedziała któregoś dnia.

– Po co, mamó? To nie ma sensu. Przecież ty też nie masz pieniędzy.

– Porozmawiam z nimi. Tam pracuje córka naszej sąsiadki...

– Wiem, bo to z nią rozmawiałam. Ale ona przecież nie jest właścicielką agencji, sama jest tam zatrudniona, nie może robić niczego na własną rękę...

– Porozmawiamy, zobaczymy, może się zlitują. – Starsza i bardziej doświadczona kobieta nie dawała za wygraną.

– Myślisz, że my pierwsze nie mamy pieniędzy na wyjazd? Przecież takich jak ja przychodzi tam pewnie kilka dziennie – próbowała argumentować Putu.

– No właśnie. I jakoś wyjeżdżają. Przecież te agencje zarabiają właśnie na ludziach, których wysyłają do pracy, a jeśli oni nie mogą im płacić, to znaczy, że płaci im ktoś inny. Zbieraj się, idziemy.

Niestety podczas drugiej wizyty Putu usłyszała dokładnie to samo. Pojawił się jednak promyk nadziei, kiedy pracująca w agencji dziewczyna zdradziła im, jak inni radzą sobie z problemami.

– Możecie wystąpić o pożyczkę, ale bank będzie od was potrzebował jakiegoś zabezpieczenia. Macie jakiś majątek, dom, ziemię? – spytała.

Nie miały.

– Zatem wizyta w banku nie ma większego sensu. Ale współpracujemy z pewną firmą, która oferuje pożyczki na opłatę formalności...

– Wspaniale! – ucieszyła się matka Putu. – Dlaczego nie powiedziała pani tego od razu?

– Bo... – Dziewczyna się zawahała i zniżyła swój i tak już cichy głos: – Bo u nich trzeba oddać dług z dużą nawiązką, a ci, którzy mają kłopoty ze spłatą, często lądują na plantacjach ryżu i pracują za darmo. Ich dług jakby nigdy nie maleje, nie są w stanie go odpracować. Ja bym się z nimi nie wiązała...

– I policja nic z tym nie robi? – spytała Putu, nagle zatroskana losem nie swoim, a tych, którzy wpadli w tarapaty przez te lichwiarskie pożyczki.

– Cóż, niektórzy policjanci nieźle na tym zarabiają, więc raczej nie ma szans, by coś się zmieniło. Tak między nami odradzam wam tę opcję, chociaż nie powinnam wam tego mówić.

– Dziękujemy, że jesteś z nami szczerą. – Putu Ivha się uśmiechnęła, choć właśnie straciła resztkę nadziei, że znajdzie sposób, by wydostać swoją rodzinę z finansowych tarapatów.

– I co? To już? Masz zamiar się tak poddać? – zapytała matka lekko poirytowana jej postawą. Zupełnie jakby nie słyszała o ryzyku, z jakim

wiąże się jedyna szansa na wyjazd.

– Mamo, przecież słyszałaś... daj już spokój. Sama jeszcze kilka dni temu nie chciałaś się zgodzić na mój wyjazd.

– Nie chciałam, bo jesteś moim dzieckiem i się o ciebie martwię. Ale później dotarło do mnie, że ty przecież też jesteś matką i chcesz dla swoich dzieci jak najlepiej.

Do domu kobiety wróciły w milczeniu, przełykając gorzkie łyzy. Przez kilka kolejnych dni nie wracały do tego tematu. Putu pogodziła się z rzeczywistością. Opieka nad dziećmi i marne próby zarobienia na ich utrzymanie nie pozwalały jej za dużo myśleć. Jej matka nie dała jednak za wygraną i niespełna dwa tygodnie później poinformowała ją, że wszystkie opłaty związane z jej wyjazdem zostały uiszczone.

– Mamo, co ty zrobiłaś? – wrzasnęła z przerażeniem Putu. Nie potrzebowała wyjaśnień, by się domyślić, że matka po kryjomu zgodziła się na lichwiarskie warunki firmy udzielającej pożyczek, licząc się z ryzykiem niewolniczej windykacji. – Z takimi ludźmi nie robi się interesów! Przecież słyszałaś!

– Słyszałam, ale jeszcze nic takiego się nie stało. Te złe rzeczy przytrafiają się ludziom, którzy nie spłacają długów. Nie denerwuj się, jak tylko wyjedziesz i trochę zarobisz, przyślesz mi pieniądze, a ja pójdę do nich, oddam i będzie po wszystkim.

Spokojny głos i całkiem rzeczowe argumenty rodzicielki przekonały Putu Ivha. Cieszyła się, że plan, który w głębi duszy już pogrzebała, znowu ma szansę na realizację. Oczywiście bała się tego wyjazdu potwornie, ale też wiązała z nim tyle nadziei, że momentami jawił się jej jak wyjazd na beztrudne wakacje. Tak naprawdę nie wiedziała, jak to jest, bo w całym swoim życiu nigdy nie była na wakacjach. Nie wyjechała dalej niż kilka kilometrów od domu. A teraz miała lecieć do obcego kraju, w którym w dodatku miała podjąć pracę, by wyrwać swoją rodzinę ze szponów biedy. To ostatnie było jej jedynym celem. I kurczowo się go trzymała.

Bardzo bała się lotu. Przez całą podróż była przekonana, że samolot runie na ziemię. Jest przecież za ciężki, by utrzymać się w powietrzu. Nawet z toalety nie skorzystała w obawie, że gdy wstanie i przejdzie na tył, przeważą wiszącą w powietrzu maszynę i spowoduje katastrofę. Nie mogła ryzykować. Musiała dolecieć szczęśliwie na miejsce ze względu na swoje

dzieci i zadłużoną matkę. Choć dopóki koła samolotu nie dotknęły pasa lotniska w Kuwejcie, nie wierzyła, że jej się to uda.

Była jedyną dziewczyną wysłaną przez agencję do Kuwejtu tym lotem. Miała przy sobie kartkę z instrukcjami i wydawało jej się, że nie będą one trudne do zrealizowania, ale gdy wysiadła z samolotu, nagle rzeczywistość kompletnie ją przytłoczyła. Lotnisko w Kuwejcie nie jest duże, jednak dla osoby, która nigdy nie podróżowała, nawet ono może stanowić wyzwanie. Niemal po omacku, podążając za tłumem, Putu przeszła przez odprawy i wyszła do holu, gdzie z kartką z jej imieniem czekał już na nią kierowca, jak się okazało, również Balijczyk. To sprawiło, że dziewczyna poczuła się troszkę pewniej. Po godzinach strachu przed nieznanym spotkała człowieka, który urodził się na tej samej wyspie co ona, wychował w tym samym mieście.

Putu miała do niego mnóstwo pytań. Dokąd jedzie? Czy pracodawca jest dobry? Czy uczciwy? A może wie, co będzie musiała tu robić? Może zna inne Balijki?

Chłopak miał na imię Gede. Był uprzejmy, ale zdawał się lekko speszony tą lawiną pytań. Potrzebował chwili, by się rozkręcić. Na początku odpowiadał zdawkowo i bez szczegółów. Bardzo możliwe, że na większość z nich po prostu nie znał odpowiedzi, bo nikt przecież nie wtajemnicza w szczegóły swojego biznesu prostego chłopaka na posyłki i szofera w jednym. Wyznał jednak Putu, że nigdy nie widział żadnej dziewczyny, którą odbierał z lotniska, po tym, jak zaczęła pracę, co kompletnie ją przeraziło. Chyba to zauważył, bo zaraz dodał:

– Spokojnie, to nic złego. To znaczy, że znalazły dobrych pracodawców, którzy się nimi zaopiekowali. Niektóre dziewczyny nie mają takiego szczęścia i wracają do agencji, ale później znowu znajdują pracę. Na pewno będziesz zadowolona.

Putu pokiwała głową, ale wciąż nie mogła pozbyć się niepokoju, który się w niej zagnieździł. Poza tym nie do końca rozumiała, o co właściwie chodzi z tą agencją. Przecież większość dziewczyn, z którymi rozmawiała, jechała prosto do pracy. Nie miała jednak okazji, by rozstrzygnąć tę wątpliwość, bo Gede nagle zmienił temat.

– Masz męża? – spytał prosto z mostu.

Putu była zaskoczona jego śmiałością, ale zgodnie z prawdą zaprzeczyła.

– Dlaczego? Powinnaś mieć. Taka ładna dziewczyna – komplementował.

W sumie nigdy się nie zastanawiała dlaczego. Od kiedy się dowiedziała, że nie ma już męża, ani przez chwilę poważnie nie pomyślała o tym, by zastąpić go nowym. Nawet wtedy, gdy matka sugerowała jej ponowne zamążpójście. Uważała, że wykorzystała już swój limit i zamknęła ten rozdział raz na zawsze.

– Ja za pół roku wrócę na Bali i poszukam sobie żony – kontynuował chłopak, gdy nie doczekał się odpowiedzi. – Kto wie, może nawet oświadczę się tobie... – rzucił, mrugając okiem.

Ale Putu nie reagowała na te zaloty. Chyba nawet nie postrzegала ich w ten sposób. Przyleciała do Kuwejt u zarobić pieniądze dla dzieci i swojej nierozsądnej mamy. Szukanie męża było daleko poza listą jej priorytetów.

Tymczasem przydrożne znaki informowały, że opuścili Farwaniya Governorate i zbliżają się do granic miasta. Musieli przejechać całe Kuwait City, by znaleźć się w biurze, a potem miała ich jeszcze czekać podróż na przedmieścia miasteczka Al Jahara.

Był wczesny ranek i zwiększający się ruch na drogach sygnalizował, że znajdują się coraz bliżej centrum stolicy. Putu przyglądała się widokom za oknem, korzystając z ciszy, która zapadła, gdy Gede, najwyraźniej zniechęcony faktem, że nie podjęła tematu małżeństwa, zamilkła.

– Mówią źle rzeczy o tych Arabach. Oni naprawdę są tacy źli? – spytała nagle, obawiając się, że później może już nie mieć takiej okazji.

– Nigdzie nie ma tylko złych i tylko dobrych ludzi – odparł chłopak. – U nas przecież też nie mieszkają sami dobrzy.

Putu nie mogła się nie zgodzić z tą oczywistą prawdą, ale wciąż dopytywała:

– Tylko mówią, że oni tu źle traktują biednych ludzi. Ciebie źle traktują?

Gede przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Mam dużo pracy, ale ja lubię pracować. Płacą na czas, nawet odłożyć mi się udaje, bo wiele nie potrzebuję. I mogę jeździć samochodem, a ja bardzo lubię jeździć.

Te słowa, choć dawały spore pole do interpretacji, uspokoiły Putu. Płacą! To najważniejsze. Była gotowa pracować dużo i ciężko, byle tylko mogła zarabiać.

Biuro agencji znajdowało się w bardzo wąskim, dwupiętrowym budynku, który z zewnątrz wydawał się niezwykle ciasny, ale tak naprawdę krył w sobie sporo przestrzeni. W dość dużym pomieszczeniu, pomalowanym na

waniliowo i wykafelkowanym beżowo-brązowymi płytkami, stały dwa rzędy drewnianych krzesel. Zupełnie przypadkowo, bo zwrócone były w kierunku pustej ściany. Nieco dalej, przy oknie, ustawiono dwa biurka. Przy jednym z nich siedziała drobna śniada dziewczyna z czarną chustą na głowie, zajęta czytaniem jakichś dokumentów. Jak się okazało, ona też przyjechała tu z Indonezji. Była muzulmanką z Dżakarty, więc zdecydowanie bardziej od Putu pasowała do tego kraju.

Kiedy Gede doprowadził Putu do jej biurka, oderwała się od swojej pracy i natychmiast uśmiechnęła.

– Ty jesteś Putu Ivha, prawda? – upewniła się.

Putu skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego tylko niezgrabny grymas.

– Siadaj, proszę, i przygotuj paszport. Zaraz zajmiemy się wszystkimi formalnościami. Potem Gede zawiezie cię do miejsca, gdzie będziesz mieszkać, dopóki nie przeprowadzisz się do swojej rodziny. To wszystko nie potrwa długo.

Do swojej rodziny? Przecież jej rodzina została na Bali!

Putu wyłuskała paszport z własnoręcznie uszytej torebki na sznurku, w której miała wszystkie dokumenty i drobne pieniądze. Dziewczyna przejęła go natychmiast, jakby był czymś, na co czekała od dawna.

– Zatrzymamy go do czasu przeprosowania wizy – powiedziała, po czym zajęła się spisywaniem danych.

Przeprosowanie wizy? Brzmi poważnie, cokolwiek znaczy.

Chwilę później poprosiła, by Putu wstała i przeszła pod ścianę.

– Tam jest lepsze światło. Musimy ci zrobić kilka dobrych zdjęć dla potencjalnych klientów. Wiesz, w tym biznesie wygląd też się liczy – powiedziała dziewczyna, włączając aparat w swoim telefonie.

Putu była tym zaskoczona. W agencji na Bali też robili jej zdjęcie, mówili, że to do wizy, paszportu i dla klienta. Nie protestowała jednak. Jeśli to ma sprawić, że będzie zarabiać...

Była przekonana, że pracę zacznie od razu, ale ze słów dziewczyny wynikało coś zupełnie innego. Miała dopiero czekać na kogoś, kto ją zatrudni.

– To już wszystko. Gede cię odwiezie i pokaże ci kwatery. Wkrótce się do ciebie odezwiemy. Czekać, odpocznij i niczym się nie martw.

Putu wątpiła, że będzie w stanie odpocząć, a już na pewno nie zdoła wyłączyć obaw, które w niej narastały. Martwiła się potwornie. Przez cały czas myślała tylko o tym, by jak najszybciej rozpocząć pracę i zacząć zarabiać.

Do swojej kwatery dotarła dopiero jakieś dwie godziny po opuszczeniu biura, bo na drodze były korki, a Gede miał do załatwienia jeszcze kilka zleconych w biurze drobnych spraw. Okazało się, że to dwa oddzielone wspólną kuchnią pokoje. Oba były puste. Putu miała spędzić noc w jednym z nich zupełnie sama.

Gede wniósł jej walizkę i wręczył kartkę ze swoim numerem na wypadek, gdyby czegoś potrzebowała. I tak nie miałyby jak do niego zadzwonić, bo jej telefon nie działał w Kuwejcie, ale wzięła numer z grzeczności i na wszelki wypadek.

– Jutro przyjadę sprawdzić, czy wszystko gra. W lodówce masz jakieś jedzenie. Łazienka jest wspólna dla obu pokoi, ale raczej nie będziesz miała towarzystwa. Kolejne dziewczyny przyjeżdżają dopiero za kilka dni, do tego czasu na pewno gdzieś już cię upchną – powiedział z uśmiechem i skierował się do wyjścia.

Kilka minut później w mieszkaniu zapadła grobowa cisza. Putu usiadła na łóżku i wsłuchiwała się w nią, próbując odgonić wszelkie myśli. Nie były jej potrzebne. Dręczyły, męczyły, zaprzętały głowę. Próbowwała odpocząć. Skutecznie, bo niedługo potem zasnęła na długie godziny. Może to zmęczenie podróży, a może skumulowane wyczerpanie życiem. Na Bali nigdy nie miała luksusu spania przez tyle godzin bez przerwy. Była matką, a matki nie dostępują takich przywilejów, zwłaszcza w okresie, gdy ich dzieci są bardzo małe.

Może tu jednak nie będzie tak źle, pomyślała, gdy w końcu się obudziła, wciąż nie do końca przytomna, ale wyspana za wszystkie czasy. Na dworze było ciemno. Nie wiedziała, czy już, czy może jeszcze. Kiedy wreszcie udało jej się odczytać godzinę na zegarku, okazało się, że jest czwarta.

Wyjrzała przez okno wychodzące na ulicę. Oświetloną, ale o tej porze zupełnie pustą. Po jej drugiej stronie jaśniał biały strzelisty minaret małego lokalnego meczetu. Dla niej ta spokojna okolica była jak zupełnie inna planeta. Wszystko było tu różne od tego, co знаła. Z pozoru niestraszne, choć bardzo się tego bała.

Cisza była jej jedynym towarzyszem. Ściśnięty stresem żołądek ratował ją przed uczuciem głodu. Nawet nie myślała o tym, by coś zjeść, choć od jej ostatniego posiłku minęło już więcej niż doba. To jednocześnie ją osłabiało, ale sił i tak na razie nie potrzebowała.

Siedząc na łóżku, wpatrywała się w świat za szybą. Zmieniał się z wolna. Gdy dookoła zabrzmiały dźwięki wezwania na modlitwę, nagle przyspieszył. Niemal natychmiast zaczęło się robić widno, a na ulicach pojawiły się pierwsze osoby. Głównie mężczyźni spieszący w kierunku meczetu. Przejechał jakiś samochód, chwilę później kolejny, aż w końcu zapanował naprawdę spory ruch.

Przyglądając się temu, Putu wpadła w swoisty letarg. Nie towarzyszyły jej żadne myśli. Oglądała wszystko z oddali, jak niemy, niezauważony przez nikogo obserwator. Z tego stanu wyrwał ją nagły hałas. Skrzypienie otwieranych drzwi, odgłos kroków...

– Putu? – usłyszała kobiecy głos.

To była dziewczyna z biura. Przyjechała razem z Gede.

– Tu jesteś – powiedziała, wchodząc do pokoju. – Mam wspaniałą wiadomość. Mamy już klienta, który cię chce. Znalazł się natychmiast. Wiedziałam, że taka dziewczyna jak ty pójdzie w mgnieniu oka.

Putu słuchała tego z zaskoczeniem, ale i pewną ulgą. Wprawdzie sformułowania dziewczyny były dla niej dość dziwne – „mamy klienta”, „pójdzie” – ale pomyślała, że to nic takiego, zwłaszcza że ta chwilę później powtórzyła tę informację w zupełnie innej formie. Jakby się zreflektowała, że poprzednia wersja nie brzmiała zbyt dobrze.

– Wiedziałam, że będzie sporo chętnych, by cię zatrudnić. Twój nowy pracodawca to dobrze sytuowana para Kuwejtczyków z dwójką małych dzieci. Potrzebują osoby do sprzątnięcia ich willi. Na pewno świetnie dasz sobie z tym radę. My w biurze dziś załatwimy wszystkie formalności, a Gede odwiezie cię pod twój nowy adres. Masz może jakieś pytania?

Putu była oszołomiona. Bardzo się cieszyła, bo to oznaczało, że zacznie zarabiać już teraz. Tylko to miało dla niej znaczenie. A jeśli jeszcze rodzina, u której zamieszka, okaże się miła, to już całkiem jakby wygrała los na loterii. Uśmiechnęła się szeroko i podziękowała Indonezyjce.

– No, to nie marnujmy czasu. Zbierz swoje rzeczy, Gede pomoże ci z walizką i ruszamy w drogę. Zamieszkaś w Kuwait City, więc w razie

czego będziesz miała blisko do biura. Ale jestem przekonana, że wszystko pójdzie świetnie.

– A jesteś pewna, że to dobra rodzina? – odważyła się zapytać Putu.

– Oczywiście. Zawsze sprawdzamy klientów agencji. Rozmawiałam tylko z mężczyzną, ale to normalne, że takie sprawy załatwia pan domu. Bardzo uprzejmy, kulturalny...

– Słyszałam potworne rzeczy...

– Tak, wiem, ludzie opowiadają głupoty. Ale to bardziej w Saudi. Tam, nie powiem, zdarza się różnie, jednak mieszkam tu tyle lat, cały czas pracuję w tej agencji i nie słyszałam jeszcze o niczym strasznym. Kuwejtczykcy są bardzo miłymi ludźmi i traktują służbę z szacunkiem.

Putu musiała polegać na słowach i doświadczeniu dziewczyny, nie miała innego wyjścia, ale to trochę ją uspokoiło.

Kilka godzin później w końcu przebili się przez korki i dojechali do ulicy, przy której stały rzędy identycznych, tonących w idealnie wypielegnowanej zieleni willi nieopodal Al Shaheed Park. To tam mieszkali jej nowi pracodawcy. Gede zatrzymał samochód przed podjazdem pod jednym z domów. Czekala tam już na nich starsza, zakutana w *hidżab* kobieta.

– Niech idzie za mną – rzuciła do Gede, choć oczywiście chodziło jej o Putu.

Ku zdziwieniu dziewczyny nie weszli do bramy prowadzącej do willi – minęli ją, a później jeszcze kilka innych. Kobieta mimo zaawansowanego wieku nie mogła narzekać na brak energii. Nawet Gede, wciąż tachający walizkę, która w upale zdawała się ważyć dwa razy więcej, ledwo za nią nadążał. Putu też z trudem dotrzymywała jej kroku. Przeszli tak około pół kilometra, by skręcić w wąską uliczkę, a z niej wejść do drugiego budynku po prawej stronie. Mocno nadszarpniętego zębem czasu i śmierdzącego zatęchłą wilgocią.

To tu na pierwszym piętrze znajdowało się mieszkanie zajmowane dotychczas przez czwórkę służby zatrudnianej w willi – dwie nianie, kucharkę i pomoc kuchenną, która zajmowała się również sprzątniem i usługiwaniem rodzinie. Putu miała być piątą, choć tak naprawdę w domu pracowało jeszcze starsze hinduskie małżeństwo. Jego przedstawicielką była kobieta, która przyprowadziła Putu w to miejsce. Nie wyglądała na Hinduskę, na pewno nie w swoim typowo arabskim stroju, ale jak się okazało, nosiła go na dowód swojej lojalności w stosunku do pana domu.

W dzieciństwie Kala była jego nianią. Tak do niego przywiązana, że kiedy dorósł i sam założył rodzinę, pozostała przy nim, by mu służyć. On też miał do niej wielką słabość. Ściągnął nawet do Kuwejtu jej męża, zatrudnił go do prac porządkowych w ogrodzie i koniecznych napraw, a obojgu wynajął osobny pokój z kuchnią i łazienką w tym samym budynku, w którym mieszkała reszta jego podwładnych.

Sześć osób służby na sporą, choć nie olbrzymią willę i czteroosobową rodzinę wydawało się liczbą wystarczającą, ale najwyraźniej nie w oczach pracodawcy, bo teraz do zespołu miała dołączyć Putu.

– Zostaw rzeczy i chodź za mną, później się tu rozgościsz – powiedziała Kala, po czym zwróciła się do Gede: – A ty możesz już jechać. Wszystkie formalności z agencją zostały załatwione.

Chłopak zniknął niemal natychmiast, a Kala dostojnym krokiem wyszła z budynku i skinęła na Putu, by poszła za nią. Wkrótce wróciły przed bramę willi i weszły do środka.

– *Madame* jest z dziećmi w Londynie. *Mister* przyjedzie wieczorem. Siedź tu i poczekaj. *Mister* chce cię poznać – powiedziała, po czym zniknęła, zostawiając Putu w małym przedsionku prowadzącym do kuchni.

Znowu kazano jej czekać. Była jak rzecz, przekładana z miejsca w miejsce. To tkwienie w zawieszaniu było dla niej niezwykle stresujące, ale nie miała wyjścia. Cóż innego poza czekaniem mogła zrobić?

Przynajmniej dotarła do domu, w którym miała pracować. Nigdy jeszcze nie była w tak ładnym budynku. Wszystko w nim było bardzo jasne, utrzymane w bieli i beżach. Idealnie czyste i uporządkowane. Jeśli to tutaj ma sprzątać, będzie to robiła z przyjemnością i raczej bez większego trudu.

Mijały godziny. W kuchni, do której nieśmiało zaglądała, nic się nie działo. Nikt tu nie pracował. Dom wyglądał na opuszczony, od kiedy z oczu zniknęła jej Kala, nie pojawił się w nim żywy duch. Putu zaczęła się nawet zastanawiać, czy i ona była prawdziwa, bo dosłownie rozplynęła się w powietrzu, by nigdy więcej się nie pojawić.

Wpadające przez okno słońce rozświetlające korytarz prowadzący do kuchni zaczynało gasnąć. Zbliżał się zmrok, a wraz z nim przychodziło znużenie. I wtedy usłyszała, że pod budynek podjeżdża jakiś samochód.

Zamarła, po czym coś podkusiło ją, by wychylić się na korytarz. Zrobiła to dokładnie w momencie, gdy przez główne drzwi wszedł elegancki mężczyzna w garniturze i białej, przytwierdzonej *aegalem ghutrze* na

głowie. Zauważył ją natychmiast. Spojrzał prosto w oczy i przystanął na chwilę, po czym, zupełnie jakby jej obecność nie miała dla niego znaczenia, wszedł po schodach i zniknął na pierwszym piętrze.

W domu znowu zapanowała cisza. Przez kolejną godzinę nic się nie działo. Putu nadal siedziała i czekała, nie mając nawet komu poskarżyć się na to, jak bardzo doskwiera jej niepewność. Minęło sporo czasu, zanim mężczyzna, bez wątpienia pan domu, ponownie pojawił się na dole. Tym razem nie miał już na głowie chusty i był ubrany w białą luźną *kandurę*. Bardzo przystojny, lekko szpakowaty, niezbyt wysoki, ale dobrze zbudowany, z czego wyraźnie był dumny, bo prężąc się przy każdym kroku, chętnie to prezentował.

– Ty jesteś Putu? – spytał.

Dziewczyna potwierdziła.

– Chodź za mną – wydał polecenie i ruszył przed siebie.

Po chwili weszli do znajdującego się w przeciwległej części willi skromnie urządzonego pokoju, którego głównym meblem była ogromna sofa, tak duża, że spokojnie mogłaby zastąpić dwa okazałe sypialniane łóżka. Mężczyzna rozsiadł się na niej wygodnie, tyłem do Putu. Ona zatrzymała się przy drzwiach. Czekwała na jego polecenia.

– No, chodź tu... – rzucił.

Zrobiła kilka niepewnych kroków. Gdy przechodziła obok małego stolika, który spełniał funkcję barku, gospodarz dodał:

– Nalej mi drinka.

Putu nie wiedziała, co powinna zrobić, ale dzięki kolejnym instrukcjom chwilę później podała swojemu pracodawcy szklankę z brandy. Kiedy się nad nim nachyliła, złapał ją za rękę.

– Śmierdzisz – stwierdził z wyraźną odrazą. – Musisz wziąć prysznic.

Faktycznie ostatni raz kąpała się jeszcze na Bali, ale ta uwaga bardzo ją zawstydziała.

– Zaraz pokażę ci, gdzie jest łazienka, ale najpierw wymasuj mi stopy – zażądał mężczyzna, wyciągając w jej kierunku nogi.

Putu przysiadła na brzegu sofy, starając się trzymać jak największy dystans. Nie chciała, by mężczyzna czuł jej zapach. Ujęła w dłonie jego stopy, ułożyła na swoich kolanach i zaczęła masować, co sprawiło, że już po chwili z jego gardła wyrwały się dźwięki prawdziwej rozkoszy. Jęczał tak, jakby doznawał orgazmu, a ona starała się robić wszystko, by był z jej

usług zadowolony. Choć miała w tym domu sprzątać, nie widziała nic zdrożnego w masowaniu. Technik masażu balijskiego i akupresury nauczyła się od matki i choć nigdy nie pracowała jako masażystka, była w tym świetna. Miała szansę zdobyć uznanie swojego pracodawcy, a to mogło mieć spory wpływ na jej przyszłość.

Kiedy pan domu uznał, że wystarczy mu masowania, wrócił do tematu prysznic.

– Chodź za mną.

Zaprowadził ją do łazienki sąsiadującej z pokojem, w którym siedzieli.

– Tu możesz się wykąpać. Tylko nie zakładaj potem tych swoich szmat. One też śmierdzą.

Putu czuła się skrępowana, ale gdy mężczyzna wyszedł, rozebrała się i weszła pod prysznic. Nigdy w życiu nie miała okazji umyć się w tak eleganckiej łazience, ale nie to było dla niej najważniejsze. Spływając delikatnie po jej ciele, woda zmywała z niej trudy podróży i stres, jaki towarzyszył jej od chwili, gdy wsiadła do samolotu w Denpasar. Przez chwilę poczuła się naprawdę dobrze. Ogarnął ją spokój, zupełnie jakby znalazła się w całkiem innym miejscu. Cudowne uczucie.

Kiedy skończyła, owinęła się grubym, mięsistym ręcznikiem i osuszyła ciało. Drugi, mniejszy, zawinęła na głowie, ukrywając w nim swoje długie kruczoczarne włosy, teraz już pięknie pachnące drzewem sandałowym i jaśminem.

Pan domu miał rację, jej ubrania śmierdziały. Problem w tym, że miała przy sobie tylko je. Musiała wyjść z łazienki owinięta jedynie w ręczniki.

Mężczyzna czekał na nią na siedzisku naprzeciwko drzwi. Gdy tylko ją zobaczył, uśmiechnął się znacząco.

– *Mister* ma ubrania dla mnie? – spytała niepewnie łamanym angielskim.

– Nie będą ci potrzebne – odpowiedział, uśmiechając się jeszcze szerzej.

ROZDZIAŁ 9

Pralnia

Gwałcił ją za każdym razem, gdy przysłała mu na to ochota. W przerwach drzemał, pił albo przeglądał aplikacje w telefonie. Gdy nie była mu potrzebna, miała leżeć na dywanie przy sofie, na której odpoczywał. A potem znowu łapał ją za głowę i zmuszał do seksu oralnego lub rzucał na podłogę i zmuszał do stosunku. Na początku próbowała reagować, ale szybko zrozumiała, że im mniej się rusza, im mniej protestuje, tym mniej boli. Ale i tak bolało potwornie. Nie mogła nic zrobić. Była przecież tylko służącą. A służące, jak sama nazwa wskazuje, służą.

Putu była przerażona perspektywą przyszłości w tym domu. Nie sprzątanie, a ciągłe gwałty miały od tej pory być jej codziennością. To w taki sposób będzie zarabiać? Jeśli tak, to tego nie wytrzyma, nie będzie w stanie... A jeśli nie wytrzyma, nigdy już nie zobaczy swoich dzieci... Nie! Musi to znieść! Może zdarzy się tak, że *mister* się nią znudzi. Może jak wróci jego żona, nie będzie mógł już tego robić... Albo Putu powie jej o wszystkim i wtedy na pewno ona mu tego zakaze... Myśli galopowały jej w głowie, a wszystkie prowadziły do jednej: Niech to się wreszcie skończy. Obojętnie jak, byle się skończyło.

To były dwa potworne dni, a potem nagle zgodnie z jej życzeniem wszystko ustało. Wczesnym rankiem Putu została wezwana przez Kalę. Wciąż nie miała swoich ubrań. Nie mogła ich nigdzie znaleźć.

– Oddałam je do spalenia. Tutaj masz kaftan, załóż go. Za chwilę przyjedzie ten chłoptaś z agencji. *Mister* mówi, że do niczego się nie nadajesz. Od początku wiedziałam, że tak będzie... – perorowała Hinduska oschłym tonem.

Putu nie bardzo rozumiała, co to oznacza. Czyżby właśnie została zwolniona? Zważywszy na to, co przeżyła przez ostatnie dwie doby, nie

była to wiadomość, która ją załamała, ale to oznaczało, że wraca do punktu wyjścia – znowu jest bez pracy. Była zdesperowana, więc postanowiła zwolnić hamulec powstrzymujący ją od walki o swoje i zapytać o zapłatę.

– Ty chyba żartujesz – obruszyła się Kala. – Przecież słyszałaś, co mówiłam. *Mister* jest z ciebie niezadowolony. Zgłosił już agencji, że nie nadajesz się absolutnie do niczego, zażądał zwrotu kaucji i nie ma zamiaru za ciebie płacić. To tylko i wyłącznie twoja wina.

– Ale on mnie gwałcił...

Kobieta zastygła na moment, po czym odwróciła się w jej kierunku i gromiącym wzrokiem spojrzała prosto w jej oczy.

– Chcesz oczerniać dobrego człowieka tylko dlatego, że twoje lenistwo doprowadziło do zwolnienia? Kiepska strategia. Jeśli będziesz tak kłamać, osobiście dopilnuję, żebyś nie znalazła pracy w tym kraju.

Kala zapewne nie miała władzy, by to sprawić, ale Putu nie mogła o tym wiedzieć. Serce zapadło się w jej piersi. Informacja, że nie dostanie pieniędzy po tym wszystkim, co tu przeżyła, ją załamała, ale jeszcze bardziej przejęła się tym, że agencja, która ją tu ściągnęła, usłyszała, jak fatalnym jest pracownikiem. Mogła się bardziej postarać, tak żeby *mister* był zadowolony. Wtedy na pewno nie naskarzyłby na nią. A teraz już na pewno nie znajdzie nowej pracy. Może nawet ją odeśle. Co zrobi bez pieniędzy, w dodatku z długiem, który wisi nad jej matką...? Ta myśl ścisnęła jej gardło. Nie była już w stanie powiedzieć niczego więcej.

Niedługo potem Gede zabrał ją z tego domu. W bagażniku miał już jej walizkę. Zgodnie z instrukcjami odwiózł ją do biura. Tam czekała na nią Indonezyjka, ta sama, która zajmowała się nią wcześniej. Była wściekła i bez skrpułów dała temu wyraz.

– Nie sądziłam, że tak postąpisz! Jak mogłaś?! Liczyłam na ciebie! Ręczyłam za ciebie! – zaatakowała ją od wejścia.

Putu czuła, że musi się bronić. Tu mogła to uczynić swobodnie, bo bez bariery językowej.

– Nie zrobiłam niczego złego. Ten człowiek przez cały czas mnie gwałcił – odparła mimo wcześniejszych ostrzeżeń Kali.

Ale najwyraźniej zaprzeczanie prawdzie było tu powszechnie obowiązującą strategią, bo agentka bez chwili wahania wrzasnęła:

– Nie kłam!

– Nie kłamie! – Putu również podniosła głos. – To obrzydliwy zboczeniec! Wcale nie chciał, żebym tam sprzątała. Zmuszał mnie do seksu!

– A kto powiedział, że masz sprzątać? Masz wykonywać polecenia rodziny, u której pracujesz.

– Tam nie było żadnej rodziny. On był sam. I mnie gwałcił! – powtórzyła Putu w nadziei, że może fakty wreszcie dotrą do jej rozmówcy, ale ta zdawała się głucha na jej słowa.

– Rodzina Al Sam jest bardzo szanowana – przekonywała. – Obsługujemy rodziców i braci pana Karima. Pracuje u nich kilkadziesiąt osób z naszej agencji i do tej pory nikt nie został odesłany. Nikt nigdy się nie skarżył.

Putu nie wiedziała, dlaczego ją pierwszą to spotkało. Nie miała też pewności, czy kobieta mówi prawdę. A może po prostu nikomu wcześniej nie starczyło odwagi, by się poskarżyć. W zasadzie to i ona jej nie miała. Gdyby nie została odesłana, zapewne zacisnęłyby zęby i znosiła dalej te udreki.

Karim Al Sam! Nawet nie wiedziała, że tak się nazywa. Niewykluczone, że tylko udawał, że potrzebuje dodatkowej pomocy do domu. Zamówił ją sobie, wiedząc, że będzie sam. Odesłał służbę, kosztem Putu urządził sobie maraton seksualny, a potem się jej pozbył jak zużytej zabawki.

– Pan Karim mówił, że jesteś leniwa i nic nie umiesz.

A co innego miał powiedzieć?

– Nawet nie miałam okazji tam popracować. Skąd może wiedzieć, czy jestem leniwa? Leżeć akurat sam mi kazał. I trzymał na mnie nogi, żeby mu było wygodniej, chociaż tak naprawdę tylko po to, żeby mnie upokorzyć. – Putu była bliska łez.

Kobieta odwróciła głowę i znacznie łagodniejszym głosem powiedziała:

– Nie rozumiem cię... Dlaczego idziesz w zaparte, zamiast po prostu przeprosić?

– Nie mam za co przeproszać.

– Wiesz, że to bardzo utrudni nam współpracę.

– Nie chcę tak pracować. Nie przyjechałam tu jako dziwka! – Putu znowu podniosła głos.

– Obawiam się, że nie masz wyjścia. Twój kontrakt jest przewidziany na trzy lata.

- Rok! – poprawiła Putu.
- Trzy, moja droga! Trzy lata!

Wtedy Putu dowiedziała się o jednym z kluczowych warunków swojej umowy. Jeszcze na Bali proponowano jej wyjazd na dwa lata, ale kategorycznie odmówiła, tłumacząc, że nie wytrzyma tyle bez swoich dzieci, poza tym nie może zostawić ich na tak długi czas na barkach schorowanej matki.

Agenci na Bali musieli wiedzieć, że kontrakt będzie znacznie dłuższy, ale zataili to przed nią, udając, że przyjmują jej warunki. Teraz prawda wyszła na jaw, a Putu czuła, jak rozpada się na kawałki. Bez grosza przy duszy, bez pracy i z poczuciem, że to piekło będzie trwało całą wieczność.

Nie mogła nic zrobić. Mieli jej paszport, a ona nie miała pieniędzy na powrót i nie знаła drogi do domu. Była w obcym miejscu, kompletnie zagubiona, bez pomocy nie miałyby szans na to, by wylecieć z powrotem do Denpasar.

– Nie będę na ciebie tracić więcej czasu – orzekła kobieta. – Masz czekać na następnego klienta. I nie radzę ci robić żadnych głupot. Jak ktoś się pojawi, Gede zawiezie cię na miejsce. To twoja ostatnia szansa. Jeśli tym razem nie będziesz w stanie utrzymać pracy, zerwiemy kontrakt...

– I odeślecie mnie do domu?

– I będziesz musiała zapłacić wysoką karę.

– Ale ja nie mam pieniędzy – odpowiedziała natychmiast Putu.

– Wiem. – Jej rozmówczyni się uśmiechnęła. – Odpracujesz dług za darmo.

To niesamowite, z jaką łatwością kobiecie pochodzącej z tego samego biednego kraju przychodziło informowanie Putu, że jeśli nie będzie posłuszna, zostanie niewolnicą. Najwyraźniej była już częścią tego systemu. Wiedziała, że albo stanie po stronie oprawców, albo będzie ich ofiarą. Nikt zapewne nie traktował jej inaczej, gdy trafiła do Kuwejtu. Fakt, że była muzułmanką, mógł mieć wpływ na rozwój jej kariery, ale wciąż pochodziła z państwa, które jest źródłem taniej siły roboczej, a nie kadry zarządzającej. Ona sama miała mniej władzy, niż mogło się to wydawać, ale Putu czuła jej pełne zwierzchnictwo.

Dwa dni później Balijka trafiła do kolejnych klientów. Nigdy ich nie widziała, nie miała pojęcia, kim jest ich rodzina, ale sądząc po ilości prania,

które codziennie przywożono do pralni, w której ją zatrudniono, musiała być bardzo liczna.

Pralnia znajdowała się w suterenie niskiego, wystającego z ziemi co najwyżej na dwa metry, budynku. Codziennie o świcie podjeżdżał tam meleks z pierwszą partią prania. Kolejna trafiała w to miejsce w okolicach południa. W pralni pracowały we dwie – Putu i pochodząca z Ugandy, starsza od niej o kilka lat Dembe, bardzo przyjazna i uśmiechnięta. Mówiła sprawnie po angielsku, co pomogło im w komunikacji. Wprawdzie Putu wciąż miała w tej kwestii sporo do nadrobienia, ale rozmowy z Dembe pozwoliły jej się podszkolić. Fakt, że nikt tu jej nie gwałcił, a ciężka praca to jedyne, czego od niej oczekiwano, pozwolił jej odetchnąć z ulgą. Może jednak będzie w stanie wytrzymać te długie trzy lata...

Dostawała sto pięćdziesiąt dolarów na miesiąc. Sto wysyłała regularnie na Bali, a za pozostałe pięćdziesiąt kupowała jedzenie. Z czasem i z tej kwoty udawało jej się trochę zaoszczędzić. Mieszkały z Dembe w jednym pokoju. Był zaaranżowany z części pralni, dlatego było w nim bardzo wilgotno, ale nie narzekały. Miały tam czajnik, jednopalnikową kuchenkę na gaz, który co jakiś czas wymieniano, a nawet elektryczną maszynkę do gotowania ryżu. W takich warunkach, gotując wspólnie z najtańszych produktów, były w stanie żyć przy minimalnych kosztach.

Ryż dawał im energię niezbędną do pracy, a ta nie należała do łatwych. Wprawdzie w pralni była jedna przemysłowa pralka, ale z większością rzeczy musiały się uporać ręcznie. Białe *kandury* z dodatkiem jedwabiu nie nadawały się do prania automatycznego. Podobnie jak delikatne tkaniny *hidzabu* czy nawet pościel, która uszyta była z wysokiej jakości egipskiej bawełny, niekiedy z dodatkiem kaszmiru. Tylko niewielka część ubrań, głównie tych w zachodnim stylu, mogła trafić do pralki, choć i je trzeba było do niej załadować, a później rozwiesić.

Putu i Dembe nie krzywdowały jednak. Chwilami nawet, mimo zmęczenia, całkiem dobrze się bawiły. Próbowaly żartować i przyjmować swój los z luzem. To pozwalało im przetrwać. Dembe, która z postury była raczej korpulentną kobietą, najczęściej kpinkowała właśnie ze swojej tuszy. Czasami żartowała, że jak jej się znudzi jedzenie ryżu, to ugotuje Putu.

– Chociaż mięsa z ciebie byłoby tyle, co kot napłakał! – zaśmiewała się i mimo że nie były to żarty wysokich lotów, wprowadzały swobodną atmosferę i budowały coraz większą zażyłość między kobietami.

W pracy pomagały sobie, jak mogły. Były świetnie zorganizowane i podzieliły obowiązki między siebie tak idealnie, że wszystko działało niczym w sprawnie naoliwionej maszynie. I tak minęło osiem miesięcy.

Dobiegał końca drugi tydzień ramadanu, którego one same nie przestrzegały, choć widziały jego efekty w postaci znacznie większej liczby zabrudzonych jedzeniem ubrań i obrusów z biesiadnych ramadanowych kolacji zwanych *iftar*. Muzułmanie z reguły utrzymują post w świętym miesiącu, choć różnie z tym bywa, ale po zachodzie słońca często jedzą, jakby nigdy wcześniej nie widzieli jedzenia, chcieli najeść się na zapas lub uzupełnić wszystkie braki jednym posiłkiem. Tych, którzy tracą na wadze w czasie miesiącu postu, wcale nie jest dużo więcej od tych, którym przybywa kilogramów, choć oczywiście nikt nie prowadzi dokładnych statystyk. Choć pozornie życie toczy się własnym torem, w niektórych miejscach i ono spowalnia. Ludzie mniej pracują, więcej odpoczywają. To oczywiście nie dotyczy służby. W pralni wszystko działało zgodnie z dawnym porządkiem, choć zaczęło w niej brakować regularnie do tej pory dostarczanych środków chemicznych.

– Nie wiem, w czym będziemy to wszystko czyścić, jeśli jutro nie przyjdzie dostawa. Magazyn jest już prawie pusty – irytowała się Dembe. – Tyle razy mówiłam, ale ten chłopaczyna, który przyjeżdża z towarem, ostatnio chodzi jak śnięty.

– Pewnie głoduje.

– Pewnie tak, ale przecież wodą tych wszystkich plam nie rozpuścisz – kontynuowała wylewanie swoich frustracji, wskazując na najbardziej zabrudzone tkaniny.

I kiedy już się wydawało, że sytuacja jest na ostrzu noża, chłopak przyjechał z dostawą.

– Nigdzie nie można dostać tych waszych środków – poskarżył się, tłumacząc spóźnienie. – Od kilku dni próbuję je znaleźć. Magazyn, w którym do tej pory je kupowaliśmy, jest w ramadanie zamknięty. Kilka innych miejsc też. Kupiłem to, co dałem radę...

– Dobra, ważne, że w ogóle mamy w czym pracować – powiedziała miło Dembe, jakby cała frustracja kompletnie z niej wyparowała.

I zabrały się do prania.

Nie wiadomo, jaki był skład środka, który Putu dołała do ogromnej balii, by *kandury* odzyskały swoją biel, ale już chwilę po tym, jak jego zapach

dotarł do jej nozdrzy, poczuła lekkie zawroty głowy. Potem nagle świat zaczął topnieć, jak przypalany zapalniczką plastik, aż wreszcie zrobiło się zupełnie ciemno.

Dembe usłyszała głośny plusk, ale nie zaniepokoił on jej na tyle, by sprawdzić, co się stało. Zresztą była zajęta swoimi obowiązkami. Minęło kilkanaście minut, zanim podeszła do stanowiska pracy koleżanki.

Nieprzytomna Putu leżała z twarzą w balii, jej głowa unosiła się na powierzchni wody. Obok niej leżała butelka z częściowo wylanym środkiem chemicznym, który doprowadził do tragedii. Gdy tylko Dembe poczuła chemiczny zapach, zareagowała odruchem wymiotnym. Odsunęła się, złapała walające się nieopodal tkaniny i szybko owinęła je sobie szczelnie wokół głowy, blokując dostęp toksyn. Następnie dopadła do bezwładnej Putu i wyciągnęła ją z wody, przesuając w kierunku wyjścia z pralni. Jediną szansą, by przywrócić jej przytomność, było zapewnienie jej świeżego powietrza i zdjęcie z niej przesiąkniętych wodą z detergentem ubrań.

Dembe nie zastanawiała się długo. Choć sama nie czuła się najlepiej, próbowała nie poddać się zawrotom głowy, parła do przodu. Gdy tylko nieprzytomna koleżanka znalazła się na lekko przesuszonym trawniku, Dembe wróciła do pralni, złapała wiadro z czystą wodą, suchą, przygotowaną do prania poszwę i ruszyła na ratunek. Oblała Putu wodą, a później, zarzucając na siebie poszwę, stworzyła rodzaj namiotu, który pozwolił jej na szybkie rozebranie wciąż nieprzytomnej przyjaciółki i owinięcie jej tkaniną. Ponieważ sama nie mogła już złapać tchu, zerwała z głowy chroniące ją ubrania. W jej oczach świat też był niewyraźny, a żołądek znowu boleśnie się skurczył. Potrzebowała chwili, by dojść do siebie. Starła się oddychać głęboko, wpuścić do płuc jak najwięcej tlenu.

Putu wciąż nie odzyskiwała przytomności. Dembe nie była nawet pewna, czy przyjaciółka żyje. Gdy tylko zawroty głowy nieco ustały, ruszyła w kierunku mającego w oddali budynku. Nigdy wcześniej tam nie była, ale nie miała wątpliwości, że to z tej rezydencji pochodzą ubrania, pościele i obrusy, które na co dzień prały. Przyspieszała kroku w nadziei na spotkanie po drodze kogokolwiek, kto mógłby wezwać pomoc, ale dopiero kilkaset metrów przed budynkiem natknęła się na ogrodników, którzy pokierowali ją do wnętrza rezydencji. Stamtąd rzeczywiście wezwano wsparcie, a Dembe, nie zwalniając tempa, zawróciła, by być przy Putu.

Dziewczyna leżała w cieniu budynku, co jednak przy panującym skwarze dawało niewiele ulgi. Dembe sprawdziła jej oddech. Był płytki, ale był... To najważniejsze. Próbowwała ją wachlować, ale nie miała pewności, czy ma to jakiś sens. Kilkanaście minut później na miejscu pojawiła się karetka. Ratownicy natychmiast zbadali i zapakowali nieprzytomną dziewczynę do ambulansu, a jeden z nich przepytał Dembe, co było powodem wypadku.

Putu i Dembe nigdy więcej się nie spotkały.

W ciągu kolejnych dwóch tygodni intensywnej opieki Balijska doszła do zdrowia, choć jej twarz już na zawsze zachowała pamiątkę po tamtym wydarzeniu. Z daleka jej część wydawała się znacznie ciemniejsza, jakby padał na nią cień. Z bliska porowata cera zdradzała, że to efekt zagojonego poparzenia.

Kiedy Putu była na tyle zdrowa, by wyjść ze szpitala, zgłosił się po nią Gede. Rodzina, która zatrudniała ją w pralni, poprosiła o wymianę służącej i zwrot kosztów leczenia. Agencja oczywiście nie zamierzała inwestować w Putu i to ją obciążono szpitalnymi rachunkami. Znowu była bez pracy i bez pieniędzy, tyle że teraz miała dodatkowy dług równy prawie dwuletnim zarobkom.

Nową pracę znaleziono jej bardzo szybko, bo musiała odpracować to, co była winna. Teraz była już niewolnicą w pełnym znaczeniu tego słowa. Nie mogła utrzymywać swoich dzieci, nie miała możliwości wysyłania przelewów. Martwiła się, że jeśli wierzyciele z Bali nie dostaną swoich pieniędzy, zabiorą jej matkę na plantację, a wtedy dzieci pozostaną bez opieki. Nie chciała nawet myśleć o tym, co może się z nimi stać.

Trafiła do kolejnego domu na stanowisko popychadła. Trudno było określić jej funkcję w jakikolwiek inny sposób. Teoretycznie miała być pomocą kuchenną, ale fakt, że jej wciąż jeszcze nie do końca zagojona twarz była mocno oszpecona, spowodował uprzedzenia nie tylko ze strony domowników, ale i samej służby. Nikt nie traktował jej z szacunkiem. Nawet ci, którzy na co dzień sami go nie zaznawali.

Bicie stało się jej nową codziennością. Kucharki tylko ją szturchały albo popychały, ale cała reszta pracowników wyżywała się na niej w znacznie bardziej bolesny sposób. Kucharki jednak były jednocześnie jedynymi osobami, dzięki którym mogła przetrwać, bo zawsze zostawiały jej obierki z warzyw w małym garnku i zalewały je wodą. Wieczorem, na koniec

pracy, mogła je sobie ugotować i zjeść. Czasami też zostawiały jej resztki z posiłków gotowanych dla rodziny, których same nie zjadły.

Brak normalnego jedzenia nie był jednak największym problemem Putu. Nie miała w tej kwestii wielkich wymagań. Znacznie większym nieszczęściem był dla niej fakt, że nie zarabiała pieniędzy, których tak desperacko potrzebowała. Agencja zabierała jej całą pensję. Reszta służby szybko się w tym zorientowała. Co ciekawe, uruchomiło to w nich dokładnie taki sam mechanizm pogardy, jaki napędzał ich pracodawców. Poczuli się lepsi. Oni, choć przepracowani i biedni, przynajmniej dostawali za swoją pracę zapłatę. Kompletnie nieproporcjonalną w stosunku do wykonywanych obowiązków, ale wciąż dającą szansę na zachowanie choćby resztek godności. Putu nie było to dane.

To było zupełnie niezrozumiałe. Trudne do wyjaśnienia. Żaden ze służących w tym miejscu nie miał dla niej choćby cienia współczucia. Jakby działali w jakiejś dziwnej zмовie i brali udział w zawodach na okrucieństwo. Balijska często padała jego ofiarą. Któregoś dnia została wezwana do tej części rezydencji, w której służącym o jej randze nie wolno było przebywać. Była brudna, oszpecona i nienadająca się dla oczu bogatych elit. Tym bardziej zdziwiło ją żądanie, by się tam zjawiała. Miała sprzątnąć ze stołu po kolacji, ale gdy tylko weszła do jadalni, okazało się, że cała rodzina siedzi jeszcze przy stole. To był głupi żart służby mający na celu ją upokorzyć i napytać jej jeszcze większej biedy. Jej obecność oczywiście rozwścieczyła pana domu.

– Kto cię tu wpuścił? Tyle razy mówiłem, żeby trzymać cię z daleka, tylko dzieci mi straszysz! – wrzeszczał, nie zwracając uwagi na to, że sam może je wystraszyć. A tym bardziej cios, który za chwilę spadł na twarz Putu.

Podobne okrutne żarty ze strony współpracowników musiała znosić w tym domu jeszcze przez kilka miesięcy. A potem znowu ją oddano. Kolejny klient zrezygnował, jak tylko ją zobaczył. I wtedy w agencji podjęto decyzję, że dalsze przetrzymywanie Balijski w Kuwejcie nie ma sensu. Odesłano ją do domu. Wymęczoną, osłabioną, oszpeconą i bez pieniędzy.

Przyglądam się jej teraz śmieiej i nie rozumiem, dlaczego uważano ją za tak oszpeconą. Ślad poparzenia, owszem, widać, ale nie jest w żaden sposób odrażający. Naprawdę przypomina tylko cień na twarzy.

– Tam, w Kuwejcie, wyglądało to znacznie gorzej – wyjaśnia, jakby czytała w moich myślach. – Kiedy wyszłam ze szpitala, nikt mnie już nie leczył. Nie miałam pieniędzy na lekarstwa, a nawet gdybym je miała, nikt nie pozwoliłby mi wyjść, by je kupić. Smarowałam twarz resztkami masła, kiedy zmywałam naczynia po posiłkach. Jedynie ono przynosiło mi ulgę. Dopiero kiedy wróciłam na Bali, zaczęłam leczyć rany aloesem. On potrafi zdziałać cuda.

– Bardzo skutecznie. Wyglądasz naprawdę pięknie – próbuję poprawić jej humor komplementem.

Putu jest wyraźnie speszona, ale chyba szczęśliwa. Nie słyszy podobnych słów zbyt często. Ciągłe czuję niedosyt, bo jej historia różni się znacząco od tych, które słyszałem do tej pory. Większość służących ściąganych na Bliski Wschód jest wysyłana bezpośrednio do konkretnych pracodawców, a ona jakby była tam do wynajęcia w razie potrzeby. Bez przypisanego *kafeela*, pracodawcy działającego w systemie *kafala*. Gdy pytam ją o to, wyjaśnia:

– Sprzedawali mnie przez aplikację.

To nowość! Choć w sumie w internecie sprzedaje się teraz wszystko – można było się spodziewać, że tylko kwestią czasu będzie sprzedawanie w nim ludzi. Nie sądziłem jednak, że ten moment już nastąpił.

Popularna w Kuwejcie i kilku innych krajach arabskich aplikacja Wayan – For Sale, czyli po prostu „na sprzedaż”, dostępna do ściągnięcia zarówno na telefony Apple, jak i te z systemem Android, jeszcze do niedawna była bardzo popularnym źródłem dla ludzi szukających tanich służących. Kiedy wśród klientów ta forma wynajmu lub sprzedaży niewolników zyskiwała coraz większą popularność, agencje zaczęły ściągać ich bez przypisywania im konkretnych pracodawców i sprzedawać dopiero na miejscu.

Putu wpadła w sidła właśnie tego systemu. Nie miała pojęcia o tym, że jej zdjęcie zrobione przez pracownicę agencji podczas jej wizyty w biurze będzie opublikowane w aplikacji wraz z krótkim opisem i ceną, za jaką można ją kupić. Nic dziwnego, że Karim Al Sam bez trudu i zbędnych formalności mógł wynająć ją na weekend i zwrócić jak wybrakowany towar

po tym, jak wielokrotnie ją zgwałcił. Rodzina, u której pracowała w pralni, też bezproblemowo się jej pozbyła.

Kiedy twarz Putu została oszpecona, jej cena natychmiast spadła. Wprawdzie agencja wciąż posługiwała się jej zdjęciem sprzed wypadku, ale musiała informować klientów o defekcie. Udało się ją sprzedać dopiero po dużej przecenie, ale ponieważ Putu i tak nie dostawała pieniędzy, agencja nawet mimo rachunków za szpital wychodziła na swoje.

Oprócz ogłoszenia w aplikacji zdjęcia Putu i innych kobiet oraz mężczyzn w podobnym położeniu pojawiały się też na Instagramie, gdzie często wyszukiwano hashtag #MaidForSale, #HelpForSale – służąca, służący na sprzedaż.

W 2019 roku władze Kuwejtu wypowiedziały głośno opisywaną w mediach wojnę procederowi nielegalnej sprzedaży służby za pomocą portali społecznościowych i aplikacji. Oczywiście nie chodziło w pierwszej kolejności o traktowanie ludzi, którzy byli przedmiotem transakcji, ale o czarny rynek i omijanie systemu *kafala*.

Władze bez problemu odszukały agencje i prywatnych „biznesmenów”, którzy byli właścicielami kont reklamujących służące na sprzedaż, i nakazały usunięcie wszystkich tego typu ogłoszeń. Według oficjalnych informacji zostali oni zmuszeni do podpisania prawnego zobowiązania do niepodejmowania podobnych działań w przyszłości.

Jednocześnie, ogłaszając sukces w walce z nielegalnym procederem, władze poinformowały o zmianie prawa. Wprowadzono nowe zasady i przepisy dotyczące zatrudniania pomocników domowych w Kuwejcie, które dają pracownikom domowym prawo do zatrzymania swoich dokumentów, ustalają liczbę godzin pracy, gwarantują jeden dzień wolny w tygodniu i dwadzieścia dwa dni urlopu w roku.

W tym ogłoszeniu, a później we wprowadzaniu go w życie zabrakło tylko jednego ważnego elementu – sposobu kontroli i weryfikacji. *Kafala* nadal zakłada przywiązanie pracownika do *kafeela*, zdając go na jego łaskę i niełaskę. Nowe prawo umarło zaraz po jego ogłoszeniu w zaciszu domów zatrudniających służbę z biednych krajów.

– I ty po tym wszystkim chcesz tam wrócić? – pytam, bo teraz obecność Putu na rekrutacji do dubajskiego hotelu już kompletnie nie ma dla mnie

sensu.

– Nie chcę, ale...

– Nie masz wyjścia?

Spuszcza głowę i milczy przez chwilę.

– Każda z nas chciałaby bogatego męża, bo to szansa na to, by nasze dzieci nie były głodne i nie wychowywały się z dala od swoich rodziców. Ale większość wie, że to się nie wydarzy, że będziemy musiały wyjechać, zarabiać gdzieś za granicą, że wrócimy, gdy nasze dzieci będą gotowe, by same wyjechać i pracować. Ja przestałam już żyć takimi pragnieniami. To mrzonki. Muszę wyjechać, żeby zdobyć pieniądze na leczenie swojej matki. Praca w ryżowym błocie bardzo odbiła się na jej zdrowiu. Jest słaba, cierpi na reumatyzm. Zapłaciła ogromną cenę za mój wyjazd do Kuwejtu, muszę jej to teraz wynagrodzić.

ROZDZIAŁ 10

Luwak

Kiedy po wypadku w pralni przelewy z Kuwejt ustały, Ni Ketut, matka Putu, zaczęła się poważnie niepokoić. Oczywiście martwił ją brak pieniędzy, ale nie tylko. Przelewy przychodzące przez długi czas były sygnałem, że wszystko jest w porządku. Że córka pracuje i sprawy układają się tak, jak sobie zamierzyła. Nie miała jednak jak się z nią porozumieć. Jej telefon komórkowy z balijskim numerem nie działał od dawna. Putu dzwoniła do niej z aparatu Dembe, ale gdy teraz Ni Ketut próbowała się na niego dodzwonić, długo nikt nie odbierał, a gdy w końcu usłyszała głos po drugiej stronie, nie była w stanie zrozumieć niczego, co mówiła Dembe, i musiała się rozłączyć.

Jedynym miejscem, gdzie mogła uzyskać odpowiedź na pytania o los córki, była agencja, która wysłała ją do Kuwejtu. Powinni przecież wiedzieć, co dzieje się z ich podopiecznymi.

– Niestety nie mamy takich informacji – odparła dziewczyna, którą tam spotkała.

– Ale musicie się dowiedzieć. Moja córka nie daje znaku życia, przestała robić przelewy, coś musiało się z nią stać!

– Pani córka poleciała na zaproszenie agencji pracy w Kuwejcie, tylko oni są w stanie coś z tym zrobić.

– To ich zapytajcie – rzuciła Ni Ketut błagalnym tonem.

– Nie mam takich możliwości.

– W takim razie pójdę z tym na policję.

– Policja też nie ma takich możliwości – przekonywała pracownica.

– Ale ja muszę zgłosić zaginięcie. Nikt jej nie szuka. Musiało się stać coś złego. Inaczej dałaby znać... – Ni Ketut załkała.

Dziewczyna ewidentnie nie była w takiej sytuacji po raz pierwszy. Członkowie rodzin ludzi, którzy nie dawali znać po wyjeździe do krajów arabskich, wcześniej już bywali tutaj, błagając o pomoc. W większości z tych przypadków brak kontaktu był spowodowany restrykcjami ze strony pracodawców, którzy często ograniczają służącym możliwość korzystania z telefonu albo wręcz zabierają im aparat. Ale zdarzało się, że pracownicy po prostu znikali.

Ni Ketut zgłosiła zaginięcie Putu policji, ale i tak każdego dnia przychodziła do agencji. W międzyczasie minął termin spłaty raty długu, który wciąż na niej ciążył. Nie miała pieniędzy i poprosiła o odroczenie płatności, ale agencja odmówiła.

– To nie my o tym decydujemy – poinformowała ją dziewczyna, która dobrze znała jej sytuację. – Pieniądze pożyczył Wayan Balik, a on nie lubi czekać.

Ni Ketut wiedziała, że Wayan Balik to człowiek, o którym krążą mroźące krew w żyłach historie, ale zawsze myślała, że ludzie opowiadają je z zazdrości. Był jednym z bardziej majątnych lokalnych biznesmenów. Jak większość z nich był właścicielem hoteli, plantacji ryżu i uwielbianych przez turystów, skąpanych w zieleni farm luwaków, małych zwierzątek podobnych do fretki, ale przypominających też nieco kota. W polskim atlasie przyrodniczym zwierzę figuruje pod hasłem „azjatycki cywet albo łaskun palmowy”, ale cały świat i tak nazywa je luwakami. Jednak to nie same zwierzęta ekscytują przybywających tu podróżnych, a produkt, który powstaje przy ich czynnym udziale.

Kopi luwak jest uważana za najdroższą kawę na świecie. Jej ceny przyprawiają o zawrót głowy nawet na Bali, które raczej nie jest drogie, zwłaszcza dla turystów przybywających z Zachodu. Cena wynika głównie z procesu produkcyjnego, jakiemu poddawane są ziarna kawy przed ich zmieleniem. Kawa jest najpierw zjadana przez luwaki, trawiona, fermentuje w ich jelitach, a następnie zostaje wydalona. Następnie plantatorzy zbierają odchody, wydobywają z nich ziarna kawy, myją i suszą je na powietrzu. Po usunięciu cienkiej zewnętrznej warstwy ziarna są sortowane i przechowywane do prażenia.

Wielbiciele kopi luwak uważają, że niezwykle proces fermentacji poprawia smak kawy. Zbadano, że enzymy trawienne zawarte w sokach żołądkowych

luwaka zwiększając poziom kwasu cytrynowego w ziarnach, dzięki czemu kawa ma kwaskową goryczkę i delikatniejszy aromat.

Ziarna kawy produkowane w ten sposób zostały odkryte przez rdzennych rolników w Indonezji w okresie kolonialnym XIX wieku, kiedy Holendrzy zabronili im zbierania własnej kawy. Nie mieli wyjścia i musieli posiłkować się tą wydaloną przez zwierzęta, którym okupanci nie mogli przecież zakazać korzystania z plonów. W ten sposób odkryli najbardziej ekskluzywną kawę na świecie. Niestety jej sukces przełożył się na zapotrzebowanie, a co za tym idzie – cierpienie zmuszanych do produkcji wielkich ilości kawy zwierząt.

Wayan Balik jak na tutejsze warunki był potentatem. Miał trzy popularne plantacje kopi luwak w okolicach Ubud. Dzięki tłumom przewijających się przez nie turystów zarabiał fortunę, o jakiej nawet nie śni się większości mieszkańców wyspy. Był też liczącym się pracodawcą, choć nie płacił ani chętnie, ani dużo. Jego autorskim pomysłem na pozyskiwanie taniej siły roboczej było udzielanie pożyczek tym, którzy chcą wyjechać za granicę, a nie stać ich na pokrycie związanych z tym kosztów. Wystarczyło, że oddadzą w zastaw kogoś z bliskich, kto w razie braku spłaty odpracuje dług wraz z odsetkami.

Wymóg natychmiastowej zapłaty stał się doskonałym sposobem na to, by odciągnąć Ni Ketut od robienia szumu w sprawie zniknięcia córki, który z pewnością nie byłby na rękę agencji, która wysłała ją do Kuwejtu, jak i jej wierzycielowi. Oczywiście ani Wayan Balik, ani agencja nie mieli z nim nic wspólnego, ale informacja o tym, że w Kuwejcie zaginęła Balijska, na pewno szybko by się rozniosła i spowodowała spadek liczby aplikantów. Nie zagroziłoby to zbyt biznesowi, bo cierpiący biedę ludzie na Bali często są tak zdesperowani, że decydują się na wyjazd mimo ryzyka, ale ucieszenie Ni Ketut było znacznie lepszym rozwiązaniem niż pozwolenie na to, by rozpowszechniła wiedzę o procederze, którego ofiarą stała się zarówno ona, jak i jej córka. Zwłaszcza że jej dług i tak wkrótce zacząłby rosnąć, bo przelewy od Putu nadal nie przychodziły.

Przyszli do niej w środku dnia i kazali się przygotować na rano. Wtedy miała być odwieziona do pracy przy uprawie ryżu na błotnistej plantacji kilka kilometrów od Ubud.

– Mam trójkę małych dzieci i nikogo, kto mógłby się nimi zająć – tłumaczyła, zanosząc się płaczem. – Błagam, dajcie mi jeszcze trochę

czasu... Ja muszę znaleźć moją córkę!

Właśnie o czas tu chodziło – i o to, by córki nie szukać. O negocjacjach nie mogło być mowy.

– Samochód przyjedzie jutro rano – poinformowali ją, jakby nie słyszeli jej próśb.

Ni Ketut nie wiedziała, co robić. Nie mogła zabrać ze sobą dzieci, a przecież nie mogła też zostawić ich samych. Wciąż były małe i całkowicie na nią zdane. Sama nie miała więcej dzieci, nie była blisko z rodziną, która odsunęła się od niej, gdy jako młoda dziewczyna postanowiła poślubić mężczyznę z kryminalną przeszłością. Wszyscy ją przed nim przestrzegali, ale ona szalała z miłości. Zapłaciła za to srogo, szybko stając się ofiarą przemocy. Mąż wyżywał się na niej aż do czasu swojej śmierci. Jeszcze dzień wcześniej pobił ją niemal do nieprzytomności, aż w końcu padł z przepicia i już nie wstał.

Kobieta nauczyła się żyć z dala od bliskich, choć często jej ich brakowało. Widywali się czasem, bo w takich miejscach jak Kuta czy Denpasar trudno się unikać przez całe życie, ale choć odnosili się w stosunku do siebie uprzejmie, nie było w tym rodzinnej zażyłości. Teraz nie miała wyjścia – choć wciąż liczyła na to, że scenariusz nakreślony przez ludzi jej wierzyliela się nie ziści, nie mogła ryzykować. Jeśli ją zabiorą, dzieci zostaną same, a wtedy albo czeka je śmierć głodowa, albo ktoś je zabierze i ona nigdy już ich nie znajdzie.

Z ciężkim sercem udała się na drugą stronę Denpasar, gdzie nieopodal lotniska mieszkał jej brat. Wiedziała, że mimo upływu dekad wciąż chowa on do niej urazę za to, że nie wypełniła woli rodziców i braci i uciekła z domu, by poślubić kryminalistę, ale bardzo liczyła na to, że jej bratowa, Nengah, się nad nią zlituje i chociaż na jakiś czas przygarnie maluchy.

Nie przeliczyła się. Krewniczka przyjęła ją z serdecznością, jakby ich rodziny nigdy nic nie poróżniło, a gdy usłyszała o tym, co się wydarzyło, od razu zgodziła się jej pomóc.

– Dwie nasze córki też pracują na emigracji. Obie poleciały do Rosji i chwają sobie – powiedziała. – Ich dzieci są już duże, to nastolatki, więc nie wymagają szczególnej opieki. Pomogą przy smykach.

– Nawet nie wiem, jak ci dziękować. Wrócę po nie, jak tylko mnie wypuszczą... – łkała Ni Ketut.

– A jesteś pewna, że chcesz tam jechać?

– Nie mam wyjścia. Od początku wiedziałam, że jeśli nie spłacę długu, będę musiała go odpracować, ale myślałam, że Putu będzie w stanie przysyłać pieniądze cały czas. Do tej pory spłacałam pożyczkę regularnie, ale niespłacana rośnie, a ja już zalegam z jedną ratą.

– Jedną? I już chcą cię zabrać? – zdumiała się bratowa. – Może ja pogadam z twoim bratem? On będzie wiedział, co robić. My wydajemy wszystkie pieniądze na życie, ale musi być jakieś...

– Nie – przerwała jej Ni Ketut. – Lepiej będzie, jak to szybko odpracuję. Tego długu nie mogło zostać już wiele.

– Wiesz ile?

– Nie. Nie chcieli mi powiedzieć.

– Wayan Balik to oszust. Powinnaś się tego dowiedzieć, bo gotów trzymać cię u siebie do śmierci.

Ni Ketut wiedziała, że Nengah ma rację, ale nie chciała wchodzić w szczegóły umowy z agencją. Tak bardzo żałowała, że nie zatrzymała Putu na wyspie, tak jak pierwotnie planowała. Co ją podkusiło, by zmienić zdanie! Gdyby nie uległa wizji lepszego jutra dla swoich wnuków, jej córka wciąż by tu była. Teraz jednak nie mogła popełnić po raz kolejny błędu, który odebrał szansę następnemu pokoleniu. Wyjście za męża za kryminalistę naznaczyło przyszłość jej córki i chciała zrobić, co w jej mocy, by za tę decyzję nie zapłaciły również jej wnuki. Wszystko jednak się posypało, gdy do gry wkroczył Wayan Balik.

Jego ludzie zgodnie z umową przyjechali po nią rano. Tej nocy nie zmrużyła oka, płacząc po tym, jak musiała oddać wnuki. Chociaż trafiły pod dobrą opiekę, serce jej pękało, a i dla nich było to niezrozumiałe i ogromnie bolesne. Nie było słów, które mogłyby im wyjaśnić, dlaczego ukochana babcia zostawia je u obcych, choć przecież spokrewnionych z nią ludzi.

Ni Ketut posłusznie wsiadła do furgonetki, a ta odwiozła ją w góry na spadające ze stoków tarasy, na których uprawia się ryż. Brodząc w błotnistej brei, wykonywała codzienną pracę tak jak dziesiątki innych ludzi zatrudnianych przez Wayana. Byli tu starcy, którzy pracowali za wikt i opierunek, czekając już tylko na śmierć, tacy jak ona – odpracowujący długi, a także ludzie pracujący za głodowe stawki, by wyżywić swoją rodzinę.

Nie pracowała jednak na polu ryżowym długo, bo z nagłym, choć zupełnie niespodziewanym i nieplanowanym ratunkiem pojawił się w okolicy Ubud jej brat. Od momentu, gdy jego żona przyjęła pod ich dach wnuki Ni Ketut, pchany graniczącą z nienawiścią goryczą, szukał siostry na tutejszych plantacjach. I wreszcie ją znalazł.

To nie było miłe spotkanie. W zasadzie w ogóle trudno mówić o spotkaniu. Wszyscy zwrócili uwagę na samochód, który z głośnym warkotem podjechał pod plantację. Większość osób tylko na niego spojrzała i natychmiast wróciła do pracy, ale Ni Ketut, tknięta jakimś dziwnym przeczuciem, przyglądała się dłużej. Zobaczyła znajomo wyglądającego mężczyznę, który wysiada z auta, a następnie wyjmując z niego jedno po drugim trójkę małych dzieci i sadza je w trawie tuż przy drodze. Szybko do niej dotarło, że to jej brat. I jej wnuki! W sumie mogła się tego spodziewać, ale liczyła, że po tylu latach mężczyzna znajdzie w sobie wybaczenie, a jeśli nie, może chociaż nie przeniesie swojego żalu na małe, niewinne dzieci. Bardzo się w tej kwestii pomyliła. Jej brat nie miał zamiaru utrzymywać maluchów ani w jakikolwiek sposób jej pomagać.

Bez chwili zwłoki ruszyła przed siebie, ale poruszanie się po zalanym wodą polu ryżowym nie jest prostą sprawą. Jej brat zdążył odjechać, zanim dotarła do dzieci. Te nie mogły się nacieszyć jej widokiem, a ona mimo swojej beznadziejnej sytuacji przez chwilę czuła ogromne szczęście, że znowu może je przytulić.

– Wujek zły – powiedział chłopiec, chcąc podzielić się z nią wrażeniami z prawdopodobnie traumatycznych dni w domu krewniaków.

Naprawdę miała nadzieję, że to się uda, ale jednocześnie niczego nie pragnęła bardziej, niż znowu być z nimi. Problem w tym, że w jej położeniu nie było miejsca na opiekę nad dziećmi. A sytuacja właśnie miała się skomplikować, bo kobietę i jej wnuki zauważył jeden z nadzorców pilnujących porządku na plantacji.

– Co tu robią te dzieciaki? – zapytał, podchodząc bliżej.

– Bardzo przepraszam, proszę pana, ale mój brat... Myślałam, że się nimi zaopiekuje, ale on je wyrzucił... Ja nie mam... – Ni Ketut nie potrafiła składnie wyjaśnić sytuacji, zresztą łązy szybko przejęły nad nią kontrolę.

Ku jej zdziwieniu mężczyzna uklęknął przy jednej z bliźniaczek, szybko nawiązując z nią kontakt.

– Sam mam takiego szkraba w domu, a żona spodziewa się kolejnego – powiedział z uśmiechem.

Kobieta słuchała tych słów z niedowierzaniem. Nie spodziewała się ludzkiej twarzy u kogokolwiek w tym miejscu. Niby wiadomo, że nawet strażnicy kiedyś kończą pracę i wracają do swoich rodzin, są mężami, ojcami, dziadkami, ale i tak trudno jej było w to uwierzyć. A to nie był koniec.

– Porozmawiam z moim szefem – dodał mężczyzna. – Zobaczą, co da się zrobić. A tymczasem zajmij stanowisko na skraju, tak żebyś mogła przypilnować dzieci. I nie obawiaj się, jeśli będziesz musiała się nimi zająć. Będę miał cię na oku i żaden inny nadzorca nie będzie ci robił trudności.

Ni Ketut wyduśliła z siebie tylko ciche „dziękuję”. Łzy, tym razem wzruszenia, nie pozwoliły jej na nic więcej.

Jeszcze tego samego dnia kwaterę na wsi nieopodal Ubud zmieniła na chatkę wysoko na wzgórzu. Było już dość ciemno, gdy odwieziono ją tam wraz z dziećmi. Nadzorca, który obiecał jej pomoc, zrobił to osobiście.

– Jutro wszystko ci wytłumaczą. Tutaj powinno wam być lepiej – powiedział, a na koniec wręczył jej dwa foliowe woreczki, jeden z ryżem i drugi z mięsno-warzywnym sosem. Tej nocy nie poszli spać głodni.

Następnego ranka w kwaterze pojawiła się młoda dziewczyna, która poprosiła Ni Ketut, by przygotowała się do pracy w ciągu piętnastu minut, a ona wyjaśni jej, na czym będą polegać jej obowiązki.

– A co mam zrobić z dziećmi?

– Pójdą z tobą. One też mogą pracować – powiedziała z uśmiechem, wręczając jej owoce, które miały być ich śniadaniem.

Ni Ketut była zaskoczona. Z jednej strony po raz pierwszy od czasu, gdy weszła w drogę ludziom Wayana Balika, spotykała się z uprzejmością, z drugiej nie miała pojęcia, jak zareagować na komunikat, że jej kilkuletnie wnuki mają pójść do pracy. Bała się jednak dyskutować. Na razie postanowiła robić wszystko zgodnie z instrukcjami w nadziei, że dzieci nie zostaną tu skrzywdzone.

Szybko się przekonała, że mimo znacznie lepszych warunków niż te na polu ryżowym nowa praca miała swoją cenę. W przepięknej scenerii lasu palmowego, który o tej porze dnia wciąż spowity był gęstą mgłą, kryła się farma luwaków. Wkrótce objaśniono jej, czym będzie się zajmować. Miała

wybierać z ich klatek ekskrementy, a później wraz ze swoimi wnukami wybierać z nich jagody kawy.

Ni Ketut była przerażona tą perspektywą, ale dziewczyna, która ją instruowała, stwierdziła, że dla dzieci to może być zabawa. Kobieta nie miała więc innego wyjścia, jak tylko właśnie w zabawę tę koszmarną pracę obrócić. I szczęśliwie maluchy szybko odnalazły w wydłubywaniu ziarenek kawy ze zwierzęcych odchodów swoistą rozrywkę. A jednak ani na chwilę nie mogła pozbyć się wyrzutów sumienia. Jej upór i naiwność spowodowały, że nie tylko ona stała się niewolnikiem – teraz do niewolniczej pracy zmuszone były również małe dzieci pozostające pod jej opieką. Taka była cena tego, że mogą być razem.

Tak jak Guido z obsypanego Oscarami filmu *Życie jest piękne* udaje przed swoim małym synkiem Giosuè, że niemiecki obóz zagłady, do którego trafili, to tylko zabawa, tak Ni Ketut udawała przed swoimi wnukami. Ich małe rączki sprawnie wydobywały kawę, a zabawa polegała na tym, kto szybciej zbierze jak najwięcej. Choć sama brała na siebie najwięcej pracy, sprytnie odwracała ich uwagę, tak by miały wrażenie, że to one wygrywają z babcią. Obserwując tę scenę z daleka, można było odnieść wrażenie, że wszyscy świetnie się bawią i nie ma w tym żadnego przymusu. Trudno byłoby się zorientować, że to niewolnicy odpracowujący dług.

Ni Ketut pozostawała z dziećmi na farmie przez blisko rok. To tu zaczęły się jej kłopoty zdrowotne. Była coraz słabsza. W końcu zwolniono ją z obowiązków. Choć swoją niewolniczą pracą, w którą zaangażowane były również dzieci, dawno odrobiła dług, sama nie mogła tego tak po prostu zdecydować, musiała czekać, aż całkowitą spłatę ogłosi jej właściciel. Wynosił niespełna półtora tysiąca euro, a ona mimo kilkunastu miesięcy wcześniejszych spłat musiała go odpracowywać jeszcze przez kolejny rok. Kiedy próbowała pytać, kiedy spłaci całość, zawsze słyszała, że zostały jeszcze odsetki. Nikt jednak nie mówił ile.

Niespełna miesiąc po tym, jak wróciła do domu, pojawił się w nim ktoś, kogo nie spodziewała się już zobaczyć.

Putu wróciła.

Było jej mniej, była oszpecona i potwornie zmęczona, ale zarówno dla niej, jaki i dla jej matki i dzieci był to najpiękniejszy dzień w życiu. Obiecały sobie, że już nigdy więcej się nie rozstaną. Przyszłość miała jednak okrutnie zweryfikować tę obietnicę.

Znowu były biedne i nie miały niczego. Obie przez ostatnie lata harowały jak woły, musiały zgodzić się na ogromne wyrzeczenia, cierpiały tęsknotę i upokorzenia, a mimo to wciąż nie miały nic. Putu prawdopodobnie wróciła z Kuwejtu z depresją, bo bardzo poważnie rozważała samobójstwo. Pomyślała, że porozmawia z mamą, a jeśli ta się zgodzi, podadzą dzieciom truciznę, a potem same ją zażyją. Ale gdy powiedziała o tym głośno, Ni Ketut zareagowała podszytą strachem histerią.

– Dziecko moje kochane, jak możesz tak mówić! Twoje dzieci życie mają przed sobą, potrzebują matki, a twoja matka potrzebuje ciebie!

– Odeszlibyśmy wszyscy razem – przekonywała Putu.

– Zabraniam ci tak w ogóle myśleć!

– Ale jakie nas tu czeka życie? Nie mamy pieniędzy praktycznie na nic, a ja już nie mam siły. Próbowалам, tak bardzo się starałam, ale widocznie nadaję się tylko na czyjeś popychadło. Spędziłam prawie trzy lata w tym przeklętym Kuwejcie i wróciłam bez grosza przy duszy. O mały włos tam nie umarłam! Może byłoby lepiej... – Putu rozplakała się, całkiem tracąc nad sobą kontrolę.

Nie mogła się opanować. Nie chciała. Ketut zresztą jej w tym nie przeszkadzała. Przytuliła ją tylko mocno i pozwoliła się wypłakać, choć wciąż martwiła się pomysłem, jaki przyszedł córce do głowy. Bała się, że nawet jeśli teraz będzie w stanie odwieść ją od jego realizacji, w ciężkiej chwili, a taka na pewno nastąpi, Putu spróbuje się zabić. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby straciła ją i dzieci. Miesiące, gdy córka nie dawała znaku życia, były okupione ogromnym cierpieniem. Nie przeżyłaby tej straty.

Stan psychiczny Putu nie był najlepszy, ale w takich miejscach jak Bali jedni dbają o psychikę, odpoczywając na rajskich wakacjach, a inni nawet nie mają świadomości, że psychikę można – i należy – leczyć. Krzyk ich duszy zagłusza przyziemna konieczność uciszenia głodu. I chyba tylko ten imperatyw pozwala im przetrwać.

Putu musiała znaleźć sposób na wyżywienie dzieci. Nie mogła dłużej polegać tylko na swojej mamie, zwłaszcza że ta zaczęła niedomagać zdrowotnie i miała coraz mniej energii. Znalazła pracę jako pokojówka w eleganckiej, nowo wybudowanej willi z basenem zamieszkaną przez brytyjsko-balijską parę z dwójką dzieci w wieku jej własnych. Poznali się, gdy on był na wakacjach na Bali. Zakochali się w sobie i założyli rodzinę. Wyjechali do Anglii na jakiś czas, ale gdy pojawiły się dzieci, nie mieli

wątpliwości, że nie chcą ich wychowywać w ciasnym mieszkanku w Swindon. Za połowę jego wartości kupili posiadłość na rajskiej zdanem wielu wyspie i zorganizowali przeprowadzkę. Mężczyzna pracował zdalnie. Musiał wprawdzie wyjeżdżać do centrali firmy raz w miesiącu, ale była to niewielka cena za codzienność w tonącym w palmach własnym ogrodzie, bez stania w korkach i siedzenia w przeludnionym biurze. Jego żona, Nyoman, drobna, ładna kobieta z lekko zadartym noskiem i ujmującym uśmiechem, zajmowała się domem, ale z czasem przekonała męża, by zatrudnić pomoc, bo sprzątanie ponadstumetrowej willi, gotowanie i zajmowanie się dwójką małych dzieci było dla niej zbyt dużym obciążeniem.

Putu okazała się idealną kandydatką. Została zatrudniona. Nagle miała stałą pensję i pracę, do której dotarcie zajmowało jej zaledwie kilkanaście minut pieszo i codziennie mogła po niej wrócić do swoich dzieci. Przez kolejne kilka miesięcy wszystko wydawało się układać. Jedno tylko od samego początku było dość symptomatyczne – za każdym razem, gdy mąż Nyoman wyjeżdżał, Putu miała znacznie więcej pracy. Pani domu była wtedy zajęta swoimi sprawami albo w ogóle nie wychodziła z sypialni, zostawiając tylko swojej służącej pokazną listę instrukcji.

Putu nie narzekała. Umiała pracować, a po tym, co przeżyła w Kuwejcie, nawet natłok obowiązków w balijskiej willi nie był w stanie jej zniechęcić. Z czasem jednak zaczęły pojawiać się znacznie poważniejsze problemy. Jej chlebodawczyni, dziewczyna wychowana w wiosce niedaleko Ubud, zaczęła prowadzić przeciwko niej niezrozumiałą wojnę podjazdową.

– Wybrałam cię dlatego, że jesteś oszpecona – oznajmiła któregoś dnia, gdy jej mąż był w delegacji.

Putu zrobiło się przykro, ale dla dobra sprawy zignorowała słowa pracodawczyni, ta jednak nie zamierzała na tym zakończyć.

– Znam takie jak ty, czyhają tylko na bogatych z Zachodu, żeby ich usidlić. – Musiała mówić o sobie. Kompleks dziewczyny z biednego kraju, która wyszła za „bogatego białego”, ewidentnie tkwił w niej bardzo mocno. – Takie brzydkie laski jak ty nie mają szans, ale widziałam, jak patrzysz na mojego męża. Chciałam cię tylko ostrzec, żebyś nie próbowała, bo nie masz u niego najmniejszych szans.

Putu nigdy nie patrzyła na męża Nyoman, tak naprawdę widziała go zaledwie kilka razy, i to w przelocie. Nigdy nawet nie przeszło jej przez

myśl, by go kusić, podrywać czy w jakikolwiek inny sposób próbować rozbić rodzinę, u której wreszcie znalazła spokój i finansową stabilność.

Któregoś dnia Nyoman zaczęła z innej beczki:

– On chce ci dać podwyżkę. Mówi, że jesteś bardzo pracowita i jak nie będziemy o ciebie dbać, to ktoś nam ciebie podkupi. Oczywiście go wyśmiałam, mogłabym ściągnąć tu co najmniej setkę takich jak ty w ciągu godziny. Ale zastanawia mnie, jak go przekonałaś do tego pomysłu.

Putu zrozumiała, że pozwalanie Nyoman na te wszystkie oszczerstwa może mieć dla niej opłakane skutki, więc postanowiła wreszcie zabrać głos.

– Nigdy nie rozmawiałam z twoim mężem.

– Kłamiesz. Wiem, że kłamiesz.

– Nie kłamię. Rozumiem, że zapomniałaś już, jak to jest urodzić się w biednej rodzinie na Bali, ale wierz mi, ja wciąż dobrze o tym pamiętam. To nadal moja rzeczywistość. Ty masz teraz pieniądze, możesz za nie kupować domy, samochody, ludzi... Ale naprawdę nie jest ci wstyd tak się zachowywać?

– Ja tylko bronię swojej rodziny – odpowiedziała Nyoman, wyraźnie zbita z tropu.

– A ja jej nie zagrażam – rzuciła dosadnie Putu i wróciła do swoich obowiązków.

Tego dnia Nyoman odpuściła, ale niedługo potem znowu wróciła do tematu. Sytuacja zdawała się eskalować. Wkrótce kobieta oświadczyła, że nie chce, by Putu przychodziła do jej domu. Zrobiła to oczywiście, gdy ta skończyła już tego dnia pracę.

– Ale dlaczego? Proszę, nie... – Putu spanikowała. Bała się, że znowu wpadnie w tarapaty.

Odkładała większość pensji, ale nie udało się jej zebrać tyle pieniędzy, by pozwolić sobie na niepracowanie dłużej niż kilka dni. Nie mogła stracić tej posady!

– Na początku się starałaś, ale ostatnio nie jestem z ciebie zadowolona. Zatrudnimy kogoś innego. Wiesz, jak to mówią, nowa miotła lepiej zmiata – powiedziała Nyoman z uśmiechem.

– Proszę, nie zwalnijcie mnie. Ja mam dzieci... – błagała.

– Ja też mam dzieci – odparła Nyoman. – I moje dzieci zasługują na to, by mieszkać w czystym domu, a niestety ich służąca się leni i dom jest brudny.

– Poprawię się – obiecywała Putu bliska łez, choć wiedziała, że zarzuty wobec niej są zupełnie bezpodstawne.

– Za późno. Mój mąż już podjął decyzję. Kazał mi wypłacić ci premię na odchodne, ale po chwili namysłu stwierdziłam, że ją zatrzymam i kupię za nią coś ładnego swoim dzieciom. – Tymi słowami Nyoman uderzała w najczulszy punkt Putu. – Tu są pieniądze za ostatnie dni. A teraz już idź.

Putu nie miała wyjścia. Wiedziała, że nie zdoła przekonać Nyoman do zmiany decyzji. Była tylko sprzętem domowym do gotowania i sprzątaniam. Można się jej było w łatwy sposób pozbyć. Tak jak kupuje się rzeczy, a potem je wyrzuca.

Nowej pracy szukała przez wiele kolejnych miesięcy, aż w końcu zrozumiała, że znowu musi pomyśleć o wyjeździe z Bali. Bała się tego strasznie, ale była już w stanie zaakceptować wszystko, co przyniesie jej los. Miała nadzieję, że tym razem się uda, zwłaszcza że praca w Dubaju różniła się od wielu innych ofert jednym zasadniczym szczegółem. To ze względu na niego event rekrutacyjny dla przyszłych pracowników nowego hotelu w Emiratach cieszył się taką popularnością.

Ta informacja nie była podana po angielsku, nie mogłem tego wcześniej wiedzieć, ale okazało się, że właściciel nowego hotelu zobowiązał się pokryć agencyjne koszty zatrudnienia wszystkich zrekrutowanych pracowników. Ta obietnica ściągnęła na spotkanie rzesze ludzi, których nie było stać na to, by zapłacić za pracę i wyjazd, a dodatkowo obudziła w nich nadzieję, że nie zostaną oszukani.

Nie wszyscy dostali tego dnia pracę, ale Putu znalazła się wśród osób, których aplikacja została przyjęta. Wyjechała do Dubaju niespełna miesiąc po naszym spotkaniu.

Opowieść o tym, co Putu przeżyła w domu Nyoman, a także historia jej matki były dla mnie sporym szokiem. Wiem, że wpływowi i bogaci ludzie miewają tendencje do wykorzystywania tych biedniejszych i bezradnych, ale na małej wyspie będącej źródłem taniej siły roboczej można by się spodziewać większego szacunku wobec tych słabszych.

Wayan Balik zachowywał się jak mafioso, świadomie zbudował swoją fortunę na wyzysku, ale już Nyoman wystarczył łut szczęścia –

zamałpójście wyrwało ją z biedy i pozwoliło stanąć po drugiej stronie społecznej barykady. To trudny do zrozumienia mechanizm i pewnie ciekawy materiał empiryczny dla psychologów i socjologów, dla mnie jednak to tylko smutny wniosek na temat człowieczeństwa. Nie pierwszy, jaki wyciągnąłem od czasu, kiedy zacząłem pisać książki, ale każdy kolejny zdaje się coraz bardziej bolesny. Tu znane powiedzenie „Człowiek człowiekowi wilkiem”. Wiem, brzmi jak dziecięca igraszka, pomijając już fakt, że wilki nie są dla siebie nawzajem okrutne i zawsze opiekują się najsłabszymi osobnikami w stadzie.

Kiedy rozmawiałem z Putu, nie miałem jeszcze pojęcia, że moja kolejna zaplanowana podróż okaże się serią dowodów na to, że wielu z nas nie zasługuje, by nazywać się ludźmi. Na razie jednak na mojej mapie miał się pojawić jeszcze jeden, niespodziewany przystanek.

ROZDZIAŁ 11

Sihir

Historia Putu i Ni Ketut przypomniła mi o osobie, która faktycznie nigdy nie wróciła ze swojej emigracji – cioci Luh Tu. Jej zniknięcie rozerwało rodzinę i złamało kilka serc.

Spotkanie z Eką, która kiedyś opowiedziała mi o tym, co przytrafiło się jej bliskim, miałem zaplanowane już od dawna. Wiedziałem, że bez niego ta historia nie będzie pełna, choć znowu życie poważnie mnie zaskoczyło.

Jadę taksówką do małej wioski Tenganan, znajdującej się około godziny jazdy od Kuta. Tu właśnie mieszka teraz Eka wraz z niedawno poślubionym mężem i swoją mamą. Tonąca w zieleni wioska zachwyca. Jakże jest różna od okupowanych przez turystów miast, a jednocześnie jakże ciekawa. Tu wciąż kultywuje się dawne tradycje z czasów, gdy osada nosiła nazwę Bali Aga. Tenganan cechuje unikalny, znany z czasów starożytnych układ i bardzo oryginalna architektura. Domy są tu budowane po dwóch stronach, północnej i południowej, tworząc zamknięty plac, a wszystkie drzwi otwierają się w nich do jego środka. Swoimi zewnętrznymi ścianami budynki tworzą naturalną ochronę przed światem zewnętrznym, zapewniając mieszkańcom bezpieczeństwo i spokój. Same wejścia do domów też są bardzo charakterystyczne. Niezwykle wąskie. Do budynków raczej się tu nie wchodzi, tylko wślizguje. I nie ma mowy, by zrobiły to dwie, nawet bardzo szczupłe osoby jednocześnie.

Tenganan ma swoje własne prawo zwane *awig-awig*, zgodnie z którym poligamia i rozwody są surowo zakazane. Na całej wyspie znana jest powstająca w wiosce tkanina *kalingringsing* i wykonywane z liści dzieła sztuki, z których sprzedaży żyje wielu mieszkańców.

Opowieść o wyjątkowości Tenganan ujęła mnie do tego stopnia, że niemal kompletnie zapominam, co tak naprawdę ściągnęło mnie do tego

miejsca. Na Bali łatwo dać się ponieść zachwytowi nad kulturą i przyrodą, jednak podczas tej wizyty mam zdecydowanie inne zadanie.

Eka bardzo się zmieniła od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatni raz w Warszawie. Nadal jest ładną dziewczyną, ale wygląda, jakby przybyło jej jakieś dziesięć lat. Uśmiecha się jednak tak samo jak wcześniej. Szybko się orientuję, co jeszcze się zmieniło. Eka jest w ciąży.

– Już niedługo – mówi, gładząc brzusek, gdy na niego wskazuję, zanim jeszcze zdążymy się przywitać. A powitanie jest naprawdę serdeczne, jak u dawnych przyjaciół.

Chwilę później poznaję jej mamę. Widziałem ją do tej pory tylko na ekranie swojego komputera, gdy wraz z Eką opowiadały mi historię jej pracy w Arabii Saudyjskiej i koszmar, jaki przeżyła tam jej siostra Luh Tu. Zamieniliśmy może jedno zdanie, na wiele więcej nie pozwalał jej angielski i mój balijski, ale uśmiechy wystarczą za tysiące słów.

Jestem bardzo ciekawy, czy w sprawie cioci Luh Tu, która nie wróciła z pracy w Arabii Saudyjskiej i słuch o niej zaginął, coś się ruszyło, czy pojawiły się jakieś nowe fakty, ale bardzo boję się o to zapytać. Od jej zaginięcia minęło kilkanaście lat, z każdym kolejnym rokiem szanse na poznanie prawdy maleją. Matka Eki wykorzystwała wszelkie dostępne jej możliwości, by spróbować się dowiedzieć, dlaczego jej siostra nigdy nie wróciła do domu. Zgłosiła to policji, ambasadzie, napisała listy do wszystkich wpływowych indonezyjskich polityków, próbowała kontaktować się z agencją, która reprezentowała ją w Arabii Saudyjskiej, bo ta na Bali zamknęła swoją działalność, zanim kobieta zdążyła wrócić do domu. Wszystko na nic.

– Jedyne, co udało nam się zrobić, to upewnić się, że ciocia nie trafiła do żadnego szpitala ani więzienia. Pomogła nam w tym ambasada, ale dopiero po latach, więc tak naprawdę nadal niczego nie wiemy i tak już pewnie zostanie – mówi Eka ze smutkiem.

Tego się spodziewałem, choć nie sądziłem, że spotkanie z Eką przyniesie mi też nową historię – historię dziewczyny, która w czasie, gdy się widzimy, próbuje wydostać się ze swojej niewoli w Katarze. Okazało się, że to bardzo skomplikowana sytuacja, w której znowu jako prowadzący nieszczęścia pojawiają się Libańczycy.

Sihir właśnie poleciała do Libanu. Miała tam dostać pracę jako pomoc domowa, ale nie знаła szczegółów kontraktu. W przeciwieństwie do wielu

dziewczyn, które jadą w świat, zdawała się nie mieć kłopotów z dostępem do internetu i całą swoją podróż szczegółowo relacjonowała w swoich mediach społecznościowych, a po przyjeździe na miejsce regularnie dzwoniła do bliskich, używając wideocztatu. Jedną z osób, z którymi kontaktowała się najczęściej, była właśnie Eka. I to ona opowie mi o tym, w jakich okolicznościach wyjazd po lepszą przyszłość zmienił się w trudny do wyobrażenia dramat.

Sihir była niezwykle bystrą dziewczyną. Bardzo elokwentną i z ewidentnym talentem do języków obcych. Większość ludzi, którzy po dwóch–trzech latach wracają z pracy w krajach arabskich, nie zna języka, operuje głównie angielskim, a i tym nierzadko dość słabo – ale nie Sihir. Dziewczyna do swojej pierwszej pracy, jeszcze jako nastolatka, pojechała do Omanu, gdzie przez trzy lata pracowała jako niania u dobrze sytuowanej arabskiej rodziny. Była tam traktowana tak serdecznie, że często mówiła wręcz o przyjaźni, a na Bali wróciła z całkiem niezłą znajomością arabskiego, może nie na poziomie języka literackiego, ale na pewno pozwalającą na swobodną konwersację. Na rynku służących jej notowania natychmiast wzrosły. Za arabskojęzyczną pomoc domową lub masażystkę można dostać znacznie więcej pieniędzy, taka dziewczyna może też aplikować o pracę w sklepie. Wszystkich przyjezdnych pracowników na Bliskim Wschodzie segreguje się pod względem narodowości, paszport decyduje o pozycji, rodzaju pracy, którą można wykonywać, i oczywiście pensji. Indonezyjczycy nie są wysoko na liście, choć ci z kontynentu, z reguły wyznający islam, mają nieco lepsze poważanie choćby od Balijszyków, którzy z reguły są hinduistami.

Dodatkowe punkty zdobywają ci, którzy znają język arabski. Dla nich robi się wyjątki i miewają szansę na lepiej płatną pracę. I tak z indonezyjskim paszportem Sihir nie mogła liczyć na więcej niż sto dolarów miesięcznie. Znając język arabski, miała szansę nawet na podwojenie tej stawki. Oczywiście mowa tu o pieniądzach, które była w stanie zarobić realnie, bo te obiecywane przed wyjazdem zawsze są minimum dziesięciokrotnie wyższe.

Po kilku miesiącach przerwy Sihir chciała wrócić do Omanu, ale okazało się, że małżeństwo, u którego mieszkała, przechodzi spory kryzys i choć była z nimi w kontakcie, a wcześniej deklarowali, że chcą jej powrotu, ostatecznie odmówili. Niezrażona przyjęła równie intratną ofertę z Bejrutu. Na miejscu niestety nie przyjęto jej z taką życzliwością jak w Omanie, ale nie o kurtuazję tu chodzi. Była zadowolona, że w ogóle może zarabiać. Najpierw podjęła pracę w domu właściciela agencji, nieco ponadtrzydziestoletniego Saada, gdzie miała przejść trening.

Była jedną z kilku dziewczyn, które przyjechały do Libanu w tym samym czasie. Wszystkie czekały na przydzielenie im domów, choć tak naprawdę, jakkolwiek dosadnie to zabrzmiało, na sprzedaż. One oczywiście o tym nie wiedziały.

Sihir bardzo szybko weszła na wojenną ścieżkę z żoną właściciela agencji. Amal była atrakcyjną, choć kostycznie szczupłą kobietą, która zdawała się żywić wyłącznie powietrzem. Nie zmieniało to jednak jej wysokich wymagań co do potraw, które każdego dnia gotowano dla jej męża i czwórki kilkuletnich dzieci. W kuchni niepodzielnie rządziły Indonezyjka Buana i młodzianka Somalijka Insiino. Obie wyznawały islam. Tu nie było żadnego zaskoczenia, bo w większości muzułmańskich domów, w których jest służba, gotowaniem zajmują się właśnie muzułmanki.

Buana pochodziła z kontynentalnej, muzułmańskiej części Indonezji i była bardzo gadatliwą, pogodną dojrzałą kobietą, która miała jednak tendencje do szybkich zmian nastroju. Potrafiła być bardzo miła, ale chwila zdenerwowania budziła w niej demony, które najczęściej dopadały właśnie Insiino, nieco wystraszoną, ale zawsze nieśmiało uśmiechniętą.

Ponieważ Sihir mówiła po arabsku, przypisano ją do pomocy w kuchni, mimo że z islamem nie miała nic wspólnego. Miała tam tylko pomagać, nie mogła mieć wpływu na jakość potraw, nie istniało więc ryzyko, że w jakiś sposób „skazi” je swoją niewiernością. Do jej obowiązków należało obieranie warzyw, oczyszczanie mięsa i przygotowywanie składników, z których następnie Buana komponowała pyszne dania, ale gdy tylko któreś z dzieci nie chciało ich jeść, a o to nie było trudno, reprimendę dostawała właśnie Sihir. To ona nakrywała, podawała i sprzątała ze stołu, była więc na pierwszej linii frontu, ale pani domu potrafiła z awanturą pójść również do kuchni. Bała się jednak konfliktu z kucharką. Jak się zresztą wkrótce okazało, kobieta żyła w przeświadczeniu, że wszyscy wobec niej spiskują,

i była przekonana, że jeśli zdenerwuje kucharkę, ta zemści się na jej rodzinie i ją otruje.

Amal bardzo lubiła mieć służbę, lubiła też wydawać pieniądze, które jej mąż zarabiał na handlu tanią siłą roboczą, ale nie lubiła, gdy po domu pałętali się obcy. To jeszcze dałoby się zrozumieć, zwłaszcza że poza Buaną i Insiino cała reszta pracowników często się zmieniała, ale Amal miała po temu mniej racjonalne i zaskakujące jak na pobożną muzułmankę powody.

– Ja wiem, że uprawiasz czarną magię – powiedziała któregoś dnia do Sihir.

Dziewczyna była przekonana, że źle zrozumiała słowa chlebodawczyni, ale ta natychmiast rozwinęła swoją myśl:

– Twoja aura mi to mówi. Nie pozwolę ci skrzywdzić moich dzieci.

Sihir nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nigdy nie miała do czynienia z magią ani z nikim, kto by się nią zajmował. Zbita z tropu, myślała jeszcze, że może oskarżenia kobiety nie były skierowane do niej, ale nie znajdowała w pobliżu nikogo, kto mógłby być ich adresatem. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko zaprzeczyć. Ale Amal szła w zaparte.

– Wiedziałam, że to powiesz. Szatan zawsze zaprzecza złu, a później je czyni.

W tej konfrontacji Sihir była na z góry straconej pozycji. Nie wiedziała, jak może obalić tezy kobiety.

– Trzymaj się z daleka od moich dzieci – rzuciła na koniec pani domu.

I faktycznie robiła wszystko, by Sihir nie mogła się do nich zbliżyć. Nawet gdy podawała jedzenie, Amal sama podsuwała ich talerze, tak by Sihir zachowywała dystans. Obsesja kobiety z dnia na dzień rosła, co zaczęło irytować nawet jej męża. Kłócili się o Sihir, co ta często miała okazję słyszeć.

– Musisz się jej pozbyć! Wciśnij ją jakiemuś klientowi – żądała Amal.

– Nie będziesz mi mówić, jak mam prowadzić biznes – irytował się Saad.

– Przecież to zwyczajna dziewczyna.

– Nie jest taka zwyczajna. Ja mam przecucie. Dobrze wiesz, że odziedziczyłam po babci intuicję.

– Ta stara wariatka nakładła ci do głowy jakichś bzdur o czarnej magii i wydaje ci się, że wszyscy ją praktykują.

– Nie wszyscy, tylko ona! I nie mów tak o babci!

– To ty nie wygaduj bzdur!

Awantury zawsze kończyły się tak samo – Saad trząsał drzwiami i zamykał się w swoim pokoju, a Amal jeszcze bardziej pograżała się w swojej paranoi.

Którejś nocy obwiesiła kuchnię amuletami, które miały chronić dom przed skutkami czarnej magii rzekomo praktykowanej przez Sihar, co wywołało dyskusję wśród kucharek.

– Zupełnie nie wiem, skąd pomysł, że mam coś wspólnego z czarami – powiedziała Sihar do Buany.

– No przecież wy tam, na Bali, macie te swoje demony – zażartowała kobieta, puszczając do niej oko.

– Ale to nie znaczy, że uprawiamy czarną magię!

Buana odłożyła trzymaną w dłoniach patelnię, usiadła przy stole, przy którym dziewczyna obierała warzywa, i spojrzała jej w twarz z wyraźną troską.

– Ty naprawdę się nie domyślasz, skąd *madame* wzięły się te podejrzenia?

– Nie...

– A wiesz, co oznacza twoje imię?

– No wiem... „Magia”. Ale to po indonezyjsku, a poza tym to nawet nie jest moje imię. Mam już dwie inne siostry Made i ja jestem Made Sihar. Tak mnie nazwali, podobno ze względu na moje oczy...

– Sama widzisz.

– Ale ona przecież nie zna indonezyjskiego.

– W arabskim to słowo brzmi bardzo podobnie – powiedziała Buana.

Tego Sihar nie wiedziała.

– Różni się tylko jedną literą... *Sihar*!

– I myślisz, że to dlatego?

– Nie myślę, wiem. *Madame* Amal nie raz już odstawiła tu podobną szopkę. Nie jesteś pierwszą, którą uznała za zagrożenie. Kiedyś wpadła w histerię, bo ubzdurzyła sobie, że jedna z dziewczyn jest opętana przez dzina. Biedne dziewczę musiało spać poza domem. Na szczęście szybko dostała pracę u innej rodziny, bo noce były zimne, a *madame* absolutnie nie zgadzała się na to, by dziewczyna przebywała z nią pod jednym dachem.

– Dobrze, że nie wie, co oznacza moje imię – powiedziała Insiino.

– Ja też nie wiem. Mamy się bać? – spytała Sihar.

– Tylko jeśli bardzo nie lubisz poniedziałków. „Urodzona w poniedziałek”, właśnie to oznacza moje imię.

– W tym chyba nie ma nic bardzo strasznego – rzuciła Buana. – Ale może faktycznie nie mów o tym głośno, bo myśli *madame* Amal chadzają bardzo krętymi ścieżkami.

Wszystkie trzy miały z powodu obsesji swojej pracodawczyni spory ubaw, ale pojawienie się jej w kuchni szybko ucięło żarty.

Ta sytuacja trwała około trzech miesięcy, do czasu, gdy Sihir została sprzedana klientowi z Kataru. Saad od dawna myślał o rozwinięciu swojego biznesu w innych krajach, a zbliżające się mistrzostwa świata w piłce nożnej bardzo mu to ułatwiły. Jego oferta okazała się dla kilku Katarczyków doskonałym sposobem na ściągnięcie służby potrzebnej przy obsłudze imprezy, bez konieczności wchodzenia w zbędne koszty.

Nikt nie pytał Sihir, czy zgadza się na ten wyjazd. Po prostu zabrano ją do Kataru. Niemal z dnia na dzień. Cały czas liczyła się, że zmieni miejsce zamieszkania, ale nie miała pojęcia, że przy okazji również kraj. Pogodziła się z tym bez większych problemów. Zwłaszcza że nadal miała być służącą. To, kogo miała obsługiwać, nie robiło większej różnicy. Niestety jej nowe obowiązki znacznie odbiegały od tych, jakich się spodziewała.

Okazało się, że nawet w domu, w którym pracodawczyni posądzała ją o uprawianie czarnej magii, nie czuła się tak źle jak w tym nowym, w Katarze. Jej bliscy szybko zaczęli podejrzewać, że coś jest nie tak. Nagle przestała dzwonić do nich codziennie, ograniczała się jedynie do zdawkowych wiadomości. Czuli, że dzieje się coś złego, choć ona sama początkowo temu zaprzeczała. Dopiero naciskana przez Ekę któregoś dnia powiedziała jej prawdę...

Sihir i kilka innych dziewcząt sprowadzono do Kataru do obsługi specjalnie przygotowanych dla gości, wynajmowanych za nieprawdopodobne kwoty luksusowych apartamentów. Każdym z nich zajmowały się dwie dziewczyny. Do ich obowiązków należało dosłownie wszystko. Miały sprzątać, gotować, obsługiwać gościom, a na ich życzenie również z nimi sypiać. Tak, dziewczyny były regularnie gwałcone, a klienci przekonani, że ich usługi są „w cenie apartamentu”.

Do domu, do którego ściągnięto Sihir, przyjechało siedmiu Saudyjczyków. Najmłodszy nie skończył jeszcze dwudziestu lat, najstarszy miał około pięćdziesięciu. Mogli być spokrewnieni, niewykluczone, że byli to ojcowie i synowie, ale tego Sihir nigdy się nie dowiedziała. Nie miało to jednak większego znaczenia.

Zaczęło się bardzo niewinnie. I zupełnie zwyczajnie. Sihar i jej rówieśniczka z Indii, Lakshmi, obsługiwały mężczyzn, podając im drinki i sprzątając po nich. Nie musiały gotować, bo goście zapowiedzieli, że będą jeść w restauracjach. Koszmar zaczął się w dniu, w którym Arabia Saudyjska wygrała swój pierwszy mecz, notabene z Polską.

Choć oficjalnie alkohol był w czasie mundialu powszechnie niedostępny, mężczyźni wrócili do apartamentu kompletnie pijani. I wtedy puściły im hamulce. Najstarszy z nich zgwałcił Lakshmi, gdy tylko ją zobaczył. To ośmieliło pozostałych. Przez kolejne godziny w apartamencie odbywała się regularna orgia, w której młode służące były pozbawionymi człowieczeństwa i szacunku przedmiotami przekazywanymi z rąk do rąk. Mężczyźni zaspokajali się ich kosztem, a one, wiedząc, że nikt nie jest w stanie im pomóc, musiały godzić się na każdą perwersję.

Po dwóch tygodniach mężczyźni stwierdzili, że mimo iż ich drużyna zakończyła swoją przygodę z mundialem na fazie grupowej, oni zostaną w Katarze aż do meczu finałowego. Choć bilety na to spotkanie były już dawno wyprzedane, jakimś cudem udało im się je zdobyć. Dla dziewcząt była to koszmarna perspektywa. Codziennie gwałcone, ponizane i zmuszane do spełniania najbardziej wyuzdanych zachcianek, były bliskie rozpacz. Doprowadzone do ostateczności zaczęły myśleć o ucieczce. To Lakshmi wpadła na ten pomysł, ale dla Sihar wizja też była bardzo kusząca. Obie były już u kresu wytrzymałości.

– A co, jeśli trafimy do więzienia? Oni tutaj surowo karzą za prostytutkę – obawiała się Sihar.

– My nie jesteśmy prostytutkami, to oni są tu przestępcami – przekonywała Lakshmi.

– Im nic nie zrobią.

– Nie muszą. Ważne, że będziemy wolne. Powiemy po prostu, że chcemy wrócić do naszych krajów, i tyle.

– Ale my nawet nie mamy paszportów.

– Na pewno nas wypuszczą. – Lakshmi była pełna nadziei.

– A masz pieniądze na samolot?

Żadna z nich nie miała ani grosza. Ich nowy właściciel przewidział, że mogą zechcieć uciec. Prawdopodobnie dlatego okazało się, że nawet ukryta w ich bagażach gotówka zniknęła. Zupełnie jakby ktoś się domyślił, że pomysł ucieczki nie pojawi się na początku, tylko dopiero po jakimś czasie.

Nawet nie wiedziały, kiedy ich oszczędności wyparowały ze skrytek. Nie miały też telefonów – te odebrano im zaraz po przyjeździe do apartamentu, tłumacząc, że ich klienci to ważne osoby i muszą zachować anonimowość, dlatego życzą sobie, by usunięto z ich przestrzeni wszystkie obce komórki. Nie było tu miejsca na protesty.

Wyjście z apartamentu okazało się łatwiejsze, niż mogły się spodziewać. Był otwarty. Problemy się zaczęły, gdy recepcjonista na dole zobaczył dziewczyny siłujące się ze swoimi walizkami. Nie musiał pytać, by wiedzieć, że uciekają. Zwłaszcza że był dobrze poinformowany i opłacony przez człowieka, który w tym budynku miał kilka apartamentów.

Mężczyzna nie zareagował od razu. Dopiero gdy wyszły, zadzwonił do kierowcy i ochroniarza, którzy już kwadrans później mieli obie dziewczyny w swoim samochodzie. Sihir i Lakshmi zrozumiały, że niezależnie od tego, jak szeroko byłyby otwarte drzwi apartamentu, w którym pracują, tak naprawdę są w nim uwięzione.

Kolejny wieczór i kolejna wielogodzinna seria gwałtów spowodowały jednak, że ich determinacja do ucieczki wzrosła. W zasadzie dotyczyło to Sihir, bo myśli Lakshmi powędrowały w zupełnie inną, bardzo mroczną stronę. Zaczęła mówić, że może powinny „uciec przez okno”.

– Zwariowałaś? Przecież ten apartament jest na dwudziestym piętrze! – zawołała Sihir.

– Wiem – odpowiedziała Lakshmi, potwierdzając tylko, że tak naprawdę nie myśli o ucieczce, a o samobójstwie.

Choć gwałty i upokorzenia odcisnęły się na psychice Sihir, nie chciała umierać. Wiedziała, że musi przekonać koleżankę do mniej drastycznego wyjścia. Lakshmi kompletnie się rozsypała. Nie potrafiła już normalnie funkcjonować.

Lokatorzy apartamentu natychmiast zostali poinformowani o niesubordynacji służących. Zrobiono to celowo, tak by mogli wymierzyć im sprawiedliwość. Nie zrobili niczego nowego, ale to wystarczyło za karę. Podczas gdy Hinduska pogrążała się w rozpacz, Sihir była coraz bardziej zdeterminowana, by ponownie spróbować uciec. Wiedziała już, że tym razem nie mogą zabrać ze sobą bagaży. Pomysł, na który wpadła, był niedorzeczny i gdyby nie łut szczęścia, prawdopodobnie znów by się nie udało. Dziewczyna wymyśliła, że przebiorą się w *toby* Saudyjczyków, ale nawet te należące do najmłodszych z nich były na nie zdecydowanie za

długie. Nie było mowy o poprawkach krawieckich. Każdy natychmiast zwróciłby uwagę, że coś jest nie tak. Okazało się jednak, że mężczyźni zdążyli już zrobić w Doha zakupy, prawdopodobnie dla swoich żon, a wśród upominków znalazły się niemal idealnie skrojone na służące markowe *abaj* i *shalle*. W takim umundurowaniu mogły spokojnie wyjść z budynku i wmieszać się w tłum.

Zabrały ze sobą tylko to, co niezbędne i co mogły zmieścić w torebkach. Okulary przeciwsłoneczne, nawet tanie podróbki markowych, pomogły im uniknąć wzroku recepcjonisty, który na widok tradycyjnie ubranych Arabek tylko ukłonił się w pas. Również odzwierny uśmiechnął się i spuszczając wzrok, zasalutował w chwili, gdy automatyczne drzwi wypuściły je na wolność. Tym razem nikt nie zorganizował pościgu. Przynajmniej nie od razu.

Przez pierwszą godzinę adrenalina napędzała je tak, że po prostu szły przed siebie w milczeniu, oby tylko znaleźć się jak najdalej. Nie miały planu, nie wiedziały, co dalej, nie miały nawet szansy na to, by się ucieszyć z odzyskanej wolności. Wciąż tak naprawdę nie były wolne, ale dla nich liczyło się to, że tej nocy nikt już ich nie zgwałci.

Miały okazję przekonać się na własnej skórze, jaka jest moc *abai* w kraju takim jak Katar. Nigdy wcześniej nie spotkały się z tak wielkim szacunkiem. Nigdy wcześniej nikt nie schodził im z drogi, nie był tak uprzejmy. Obleczone w czarną tkaninę nagle stały się kimś istotnym, zauważalnym, a jednocześnie w pewien sposób nietykalnym, jakby osiągnęły jakiś społeczny awans. *Abaja* była ich przepustką do niedostępnego świata, była odpowiedzią na wszystkie pytania, których ze względu na ten strój nikt nawet nie odważyłby się im zadać.

Sihir szybko poczuła tę moc i miała zamiar ją wykorzystać. A okoliczności im sprzyjały, bo Katar w tym czasie tętnił życiem, był pełen oszalałych od piłkarskich uniesień turystów. Wiedziała, że musi poinformować o tym, co się wydarzyło, swoich bliskich.

Poprosiła o pomoc grupę rozbawionych Brytyjek. Budziła zaufanie jako kobieta z Kataru. Szybko się zakolegowały, po serii zrobionych naprędce fotek spytała, czy może użyć ich telefonu i skorzystać z komunikatora. Wzbudzała zaufanie, więc bez chwili wahania jej na to pozwoliły. Przecież dostojna Katarcka ubrana w doskonałej jakości *abaję* nie ucieknie z ich telefonem.

Odeszła kilka kroków i zadzwoniła do Eki. Ta, widząc na ekranie swojego telefonu ubraną na muzułmańską modłę Sihir, początkowo myślała, że to jakiś żart, ale szybko pojęła powagę sytuacji.

– Co ty w ogóle robisz w Katarze? – spytała.

Dziewczyna streściła jej wydarzenia ostatnich tygodni i poprosiła, by Eka skontaktowała się w jej sprawie z władzami w kraju i ambasadą. Eka miała świadomość, że Sihir jest w trudnym położeniu. Wpadając w tarapaty w którymś z krajów Zatoki Perskiej, takie dziewczyny jak ona nie mają szans, prawo raczej nigdy nie staje po ich stronie.

Nie mogła jednak siedzieć z założonymi rękoma. Natychmiast zgłosiła sprawę lokalnej policji, napisała do ambasady Indonezji w Katarze, próbowała nawet zainteresować tematem lokalnych polityków. I tak szybko, jak zabrała się do działania, z impetem rozbiła się o mur obojętności.

– Wtedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży, pojawiły się problemy zdrowotne... Nie mogłam zrobić wiele więcej – mówi ze łzami w oczach i gładząc swój brzuch, dodaje: – To będzie córeczka. Chciałabym, by jako pierwsza z mojej rodziny nie musiała wyjeżdżać do pracy i ryzykować życia, by przeżyć. Boję się jednak, że to tylko moje pobożne życzenia.

Już wtedy w mojej głowie pojawiła się myśl, że do swoich wyjazdowych planów muszę dołączyć jeszcze jedno miejsce. Do tej pory kojarzyło mi się ono głównie z imprezami. Tym razem jednak nie dla rozrywki tam pojedę.

ROZDZIAŁ 12

Bejrut

– *Hello!*

– *Hello* – rozbrzmiewa nieśmiały kobiecy głos w telefonie.

– Czy mówi pani po angielsku?

Słyszę szum, a w oddali jakąś prowadzoną po arabsku zdawkową rozmowę. Po chwili ktoś inny przejmuje słuchawkę.

– *Hello!* – zgłasza się mężczyzna o niskim młodym głosie.

– Hej, mówisz po angielsku?

– Tak.

– Świetnie. Przeprowadziłem się kilka dni temu do Bejrutu i potrzebuję pomocy domowej. Mój znajomy polecił mi twoją agencję...

– A jak się nazywa twój znajomy?

Tego nie przewidziałem.

– John. Jest z Anglii, ma żonę z Libanu, kiedyś tu mieszkali i korzystali z usług twojej agencji – wymyślam na poczekaniu, licząc, że mężczyzna nie będzie drażył.

– Aaaa, tak... Pamiętam... Bardzo dobry klient. Przyjdź, mój przyjacielu, zobaczysz portfolio i wybierzesz sobie służącą.

Nie wiem, czy jakimś cudem trafiłem z historią o Johnie i ktoś taki faktycznie był klientem jego agencji, czy facet po prostu blefuje, ale rozmowa telefoniczna poszła gładko. Mam jednak świadomość, że na żywo będzie znacznie trudniej. Muszę uwiarygodnić swoją opowieść o przeprowadzce do Bejrutu. Ale jak to zrobić, skoro wpadłem tu z zaledwie dwudniową, nieplanowaną wizytą. Wymyślam historię o tym, co będę robił. W razie pytań powiem, że nadal pracuję dla firmy, z którą byłem związany w czasie, gdy mieszkałem na Bliskim Wschodzie. Byłem

w Bejrucie kilka razy służbowo. Gdyby pojawiły się jakieś zaskakujące pytania, będę w stanie na nie odpowiedzieć.

Liban to przedziwne miejsce. Z jednej strony widać rozdzierającą biedę dotykającą wręcz niewiarygodnej liczby ludzi, z drugiej – filozofię życia, której mogliby się od Libańczyków uczyć mieszkańcy wielu bogatych, wysoko rozwiniętych krajów. Co trzeci Libańczyk żyje za mniej niż trzysta dolarów miesięcznie. I czasami powoduje to bunt, bo w tym państwie przepaść między ludem a rządem jest ogromna. Władza jednak nie zauważa gniewu obywateli i nawet jeśli dochodzi do małych protestów, przechodzą one bez echa. Libańczycy nauczyli się radzić sobie bez wszechpotężnego rządu. Wiedzą, że nie mogą na niego liczyć, że nigdy nie stanie po ich stronie. To może być powodem ich stoickiego podejścia, które najlepiej podsumowuje stare libańskie przysłowie: „Zamknij drzwi przed podmuchami wiatru i zrelaksuj się”.

Osobom rozpieszczonym życiem w Europie Liban może się jawić jako ujmująca swoim chaosem magiczna kraina pełna ekscytujących wrażeń i wykwintności. Zachwyca tu nawet wynędzniałe piękno najstarszych budynków sprzed wojny z pierwszej połowy XIX wieku, z ich kunsztownymi balkonami z kutego żelaza, ekscytują zabłocone ulice Bourj Hammoud, hałaśliwe *souki* Trablous i Saida. O nieodległej granicy syryjskiej przypominają podziurawione kulami budowle pozostawione same sobie na rogach ulic w całym kraju. Tylko bluszcz zdaje się nimi opiekować, porastając je gęsto, jakby chciał je upiększyć swoją zielenią i ochronić przed światem to, co z nich zostało. Smutna, ale wciąż pełna nadziei historia Libanu jest widoczna na każdym kroku.

Tutaj najważniejsze jest, żeby istnieć i przetrwać. Dotyczy to również turystów. Trzeba się przygotować na to, że prąd nie zawsze będzie w gniazdkach, że zasięg internetu może być kapryśny, że z kranu może płynąć słona woda, a na ulicach będą korki niezależnie od pory dnia. Wojna domowa, problemy gospodarcze, niekontrolowany napływ uchodźców z sąsiednich krajów i spory na tle religijnym niemal rzuciły ten kraj na kolana, ale jego mieszkańcy po prostu się z tym pogodzili. Potrafią doskonale nawigować pomiędzy przeciwnościami, stwarzając pozory normalności, które potrafią porwać bez reszty. To symptomatyczne, że

najlepsze imprezy, na jakich byłem na Bliskim Wschodzie – poza Iranem – miały miejsce właśnie w Bejrucie.

Libańczycy mają w sobie trudną do zdefiniowania zgodę na to, by rzeczy wokół nich po prostu się działy. Nie ma to nic wspólnego z ignorancją. To po prostu rodzaj filozofii życiowej. Z punktu widzenia zorientowanych na ciągłe dążenie do celu przedstawicieli świata Zachodu trudnej do zrozumienia, ale bardzo ujmującej, chyba nawet godnej pozazdroszczenia.

Mowa tu oczywiście o Libańczykach, którzy pozostali w swoim kraju. Ci, których miałem okazję poznać za granicą, głównie w Dubaju, są w tej kwestii zupełnie inni. Niemal chorobliwie ambitni, pewni siebie i bardzo dumni, ale dopiero gdy pozna się miejsce, z którego się wywodzą, można ich sprawiedliwie ocenić. Będąc poza granicami swojego kraju, czują się w obowiązku, by godnie go reprezentować, pokazać, że jest istotny. Biorą na siebie ciężar ambasadorów, którzy nie mogą odstawać od reszty, nie mogą mieć kompleksów.

Saad, choć nie wyjechał z Libanu, zdaje się być jednym z nich. Chorobliwie ambitny i dbający o to, by w oczach przybysza z Zachodu nie mieć żadnych powodów do wstydu. Za chwilę to ja będę się czuł jak ubogi krewny z trawionego nędzą kraju.

Agencja znajduje się w dobudowanej do niskiego, ale dość rozległego domu kwaterze. Ma kraty w oknach i nie wygląda na miejsce, w którym prowadzi się jakiś prestiżowy biznes. Saad natychmiast nawiązuje do tego widoku. Wyraźnie jest on jego kompleksem.

– Mieliśmy się już przeprowadzić do nowej siedziby, ale remont się przeciąga. Ściągają tych leniwców z Bangladeszu. Im się robić nie chce, a potem człowiek musi za to płacić – wyjaśnia mi na przywitanie, choć wcale o to nie pytałem.

Przy okazji pokazuje się jako człowiek, za jakiego miałem go od początku – kompletnie pozbawiony empatii dla robotników ściąganych z biednych krajów. Wiem, że to cecha, bez której nie byłby w stanie prowadzić tego biznesu. Najmniejszy cień wyrzutów sumienia sprawiłby, że byłby w nim skończony.

Zanim przechodzimy do interesów, Saad opowiada mi, że buduje willę kilka kilometrów od granic Bejrutu. Dom ma mieć osiem sypialni i pod

względem komfortu bić na głowę wszystkie „mierne chatki, w których mieszkają hollywoodzkie gwiazdy”. Już dawno by się do niego przeprowadził, gdyby nie obiektywne przeciwności losu. Nietrudno zgadnąć, że związane z lenistwem kolejnej grupy „nierobów”. Rozmawiając z nim ledwie przez kwadrans, odnoszę wrażenie, że pracuje na niego kilkanaście ściągniętych do Libanu osób, a wszystkie robią mu na złość, działając wbrew jego woli.

– Próbuję im pomóc, ale ci ludzie kompletnie tego nie rozumieją. Są biedni, bo sami tego chcą. Kiedyś myślałem inaczej, ale jak zacząłem z nimi pracować, zrozumiałem, na czym to polega. Świat krytykuje ludzi takich jak ja, jednak gdyby chociaż jeden z tych krytykantów na kilka dni wszedł w moje buty, zmieniłby zdanie...

Saad okazuje się wymarzonym rozmówcą. Nie potrzebuję wybiegów, by skłonić go do zwierzeń. Mówi niepytany. Gdyby nie był takim narcyzem, mógłbym nawet przypuszczać, że próbuje w ten sposób zagłuszyć wyrzuty sumienia, ale już na samym początku ustaliłem, że facet nie ma sumienia. Zwierza mi się, nie mając pojęcia, że jego odrażające wynurzenia na temat lenistwa ludzi, których ciężka praca sponsoruje jego mierny żywot, zostaną dokładnie spisane. Brnie dalej:

– Mój biznes świetnie się rozwija. Jak będziesz chciał pojechać do Dubaju albo Kataru, przyjacielu, to tylko mi powiedz. Mam tam apartamenty. Piękne, z widokiem na zatokę i ze służbą. Zrobią, co tylko zechcesz.

Nie ma pojęcia, że o tej części jego działalności już wiem. Wiem też, że apartamenty wcale nie należą do niego, ale zdradzenie się z tym z pewnością nie pomogłoby sprawie.

Kolejny kwadrans rozmowy, podczas którego słyszę o jego sukcesach i kłódach rzucanych mu przez ludzi, którymi handluje, doprowadza nas w końcu do powodu mojej wizyty w jego biurze. Tego oficjalnego oczywiście, bo prawdziwy musi pozostać tajemnicą.

– Okej, więc czego potrzebujesz, przyjacielu? – pyta, kładąc przede mną album ze zdjęciami. Dokładnie taki, jaki pamiętam z dawnych czasów. Kiedy jeszcze fotografie były wywoływane i kolekcjonowane, w każdym domu był przynajmniej jeden taki. Ten nie zawiera jednak zdjęć ze ślubów, chrztów i komunii. Jest pełen zdjęć dziewczyn z zatkniętymi przy nich karteczkami, a na nich widnieją imiona, kraj pochodzenia, język, wiek (sądząc po zdjęciach, z reguły mocno zawyżony), a także cena.

– Pierwsze pięć mam tu, na miejscu. Jak któraś ci się spodoba, możesz od razu ją obejrzeć, a jak dobijemy targu, możesz ją nawet zabrać.

Skupiam się zatem na tych pierwszych. Stresuje mnie perspektywa stanięcia oko w oko z człowiekiem faktycznie wystawionym na sprzedaż, ale chcę to przeżyć, chcę się przekonać, jakie uczucia temu towarzyszą. Wybieram jedyną z pięciu dziewczynę, która ma na karteczce wpisany język angielski. Kto wie, może nawet uda mi się z nią porozmawiać.

– Laboni – mówię. – Tak się wymawia jej imię?

– Wiedziałem, że ją wybierzesz. Dobry gust, przyjacielu. To moja najlepsza dziewczyna – zachwała Saad, a ja wiem, że powiedziałby tak niezależnie od tego, na którą bym wskazał. – Ma już zrobione wszystkie badania – dodaje. – Jest zdrowa. Jak chcesz, wszystko ci pokażę.

– Badania?

– Tak, badamy wszystkie nasze dziewczyny. Przede wszystkim sprawdzamy, czy nie są w ciąży, bo to jest duży kłopot. Robimy też testy na choroby weneryczne, próby wątrobowe i prześwietlenie klatki piersiowej. Wszystko jest z nią dobrze. Laboni jest zdrowa jak ryba.

– A co robicie z tymi, które są chore?

– Odsyłamy. Chore nie mogą pracować, generują tylko problemy – wyjaśnia, ale wyraźnie nie chce kontynuować tego tematu. – Laboni! – wrzeszczy zresztą zaraz. – Laboni, *com*’!

Po chwili w drzwiach biura staje filigranowa dziewczyna. Na oko ma piętnaście, może szesnaście lat, ale według danych z albumu – dziewiętnaście.

– To jest *mister*. Przyszedł cię zabrać. Jak będziesz miła... Uśmiechnij się. – W ten sposób Saad tłumaczy przerażonej dziewczynie, że właśnie pojawił się człowiek, który chce ją kupić.

Obrzydliwe!

– No, powiedz coś. Przecież umiesz mówić po angielsku – zachęca z lekką irytacją.

Dziewczyna jest wyraźnie sparaliżowana strachem.

– *Hello, mister* – wydusza po chwili.

Witam się z nią, ale zaraz proszę Saada, by na razie ją odesłał.

– Nie spodobała ci się? – pyta.

– Jest w porządku, po prostu nie chcę jej męczyć.

– To dla niej żadna męka. Musisz się pozbyć takiego myślenia, bo inaczej takie jak ona wejdą ci na głowę. Dziewczyna ma dobrą cenę. Jest z trzeciej kategorii, jednak z angielskim, więc trochę drożej. Ale jak się dzisiaj zdecydujesz, to puszcze ci ją za tysiąc pięćset dolarów prowizji. Niech stracę! – mówi z uśmiechem.

Wiem, że to standardowa prowizja w jego agencji, nie ma tu mowy o żadnej stracie, ale udaję, że jestem bardzo wdzięczny i równie zainteresowany. Intryguje mnie jednak kwestia tych kategorii. Gdy o to pytam, Saad chętnie wyjaśnia mi, w jaki sposób klasyfikowany jest towar, którym obraca.

– Najlepiej chodzą Filipinki, chociaż trudno je sprowadzić, bo ciągle wprowadzają u nich zakazy wyjazdu do pracy w krajach arabskich. Ale Filipinki to towar pierwszej kategorii. W drugiej kategorii znajdują się dziewczyny z Ghany i Kenii, w trzeciej te ze Sri Lanki i Indii, w czwartej z Bangladeszu...

Nie wiem, czy to jego prywatna klasyfikacja, czy obowiązuje ona wszystkich zajmujących się handlem żywym towarem, ale sam koncept dzielenia ludzi w ten sposób przyprawia mnie o mdłości.

– Czyli tysiąc pięćset dla ciebie jednorazowo i dwieście tygodniowo dla Laboni – podsumowuję, udając, że próbuję dobić targu.

– Miesięcznie. Laboni płacisz dwieście dolarów miesięcznie, ale jak się nie będzie spisywać, możesz jej potrącać. I trzymaj jej paszport dobrze schowany, najlepiej poza domem, bo będzie przekopywać wszystko, żeby go znaleźć...

Czuję, że zbliżamy się do sfinalizowania naszej umowy, a ja muszę jeszcze dowiedzieć się czegoś o sytuacji Sihir. Oczywiście nie mogę się przyznać, że znam jej historię. Na szczęście przypominam sobie ofertę, którą Saad złożył mi na początku naszej rozmowy.

– A chciałem cię jeszcze spytać o ten apartament w Katarze. Jaki jest jego koszt?

Widzę błysk w jego oku.

– To zależy. Chcesz z obsługą czy bez?

– Z obsługą. Przecież nie będę sam sprzątał... – Wchodzę w rolę.

– Z obsługą to będzie dziesięć tysięcy dolarów na tydzień, ale wierz mi, warte każdego centa.

– Dobra cena – udaję. – A ta obsługa... To dziewczyny stamtąd?

- Wszystkie z mojej agencji. Wysyłam tam tylko najładniejsze.
- I ile trzeba im płacić?
- Nic, przyjacielu. Wszystko jest w cenie.
- Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej. Chciałem polecieć do Kataru na mundial.
- W czasie mundialu wszystkie apartamenty były zajęte. Mieliśmy tam trochę problemów...
- Bingo! Mów dalej...
- Coś poważnego?
- Zwiały nam dwie dziewczyny. Najpierw okradły gości, a później ulotniły się jak kamfora. Było sporo zamieszania, bo wiesz, one nie jeżdżą tam z katarskim pozwoleniem na pracę, tylko na normalnych wizach. Jak się kończą, to je wymieniamy.
- I co się z nimi stało? Dorwaliście je? – pytam.
- Siedzą w więzieniu. I pewnie szybko z niego nie wyjdą.
- Dlaczego?
- Bo goście zgłosili kradzież i ich ucieczkę. Sam im to zresztą doradziłem. Namierzyli je już następnego dnia. Okazało się, że nie mają paszportów, ale im nie uwierzyli. Uznali, że po prostu je zniszczyły, bo miały nielegalne wizy. – To mówiąc, Saad sięgnął do szuflady i wyjął z niej dwa paszporty. – Głupie suki myślały, że mnie przechytrzą. – Zaśmiał się z rechotem. Wyraźnie był z siebie dumny.
- I co z nimi teraz będzie? – drązę.
- Saad wzrusza ramionami.
- Nie wiem. Może zgniją w kiciu. Może je deportują. Z Katarczykami w tych kwestiach nie ma żartów.

Moje spotkanie z Saadem oczywiście nie zakończyło się dobitnym targiem. Wykręciłem się koniecznością podpisania umowy na wynajem mieszkania i obiecałem wrócić po Laboni dwa dni później. Handlarz zaproponował, że ją dla mnie zarezerwuje, ale następnego dnia wieczorem nie było mnie już w Libanie.

Dowiedziałem się tam znacznie więcej niż tylko co się stało z Sihar i ta wiedza wstrząsnęła mną do żywego. Zszokowała mnie łatwość, z jaką

ludzie handlujący innymi ludźmi mówią o tym procederze, kategoryzowanie niewolników pod względem ich narodowości i przydatności do pracy, oczekiwanie wdzięczności za rzekomą pomoc i traktowanie drugiego człowieka jak podrzędny gatunek... Nie mam wątpliwości, że jedna ze stron faktycznie jest tu podrzędnym gatunkiem.

Nie mam też wątpliwości która.

CZEŚĆ III
ROBOTNICY

ROZDZIAŁ 13

Wdowa

Praca nad każdą z moich książek ma określoną strukturę. Zanim siądę do pisania, dobrze znam już historię swoich bohaterów i dopiero wtedy zaczynam przelewać ją do pliku w komputerze, nadaję jej formę, opatruję komentarzami. Tym razem jednak było zupełnie inaczej. Ta książka powstawała fragmentami, w różnych okresach, zupełnie nielinearnie. Była jednym wielkim chaosem i wcale nie miałem pewności, że uda mi się go uporządkować. Każda historia, każda podróż była dla mnie zaskoczeniem. Te spontaniczne oczywiście większym, ale i te planowe stanowiły sporą niespodziankę.

Podróż do Indii mocno odwlekałem. Nie będę ukrywał, że nie przepadam za tym krajem. Najbardziej chyba za promowaną przez nawiedzonych influencerów opinią o nim. Podobno wielu z nich jeździ do Indii, by przeżyć duchową odnowę i odnaleźć siebie. Ja nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się w nich zagubili na zawsze. Jak można twierdzić, że Indie na każdym kroku dostarczają duchowych uniesień, skoro niewiele jest miejsc na tej planecie, które tak dosadnie sprowadzają człowieka na ziemię. Oczywiście jeśli jest się cymbałem promującym uzdrawianie za pomocą gry szczotką na bębnie lub sprzedającym koraliki leczące raka, pewnie można. Tyle samo w tym prawdy.

Ale nie tylko influencerzy są w tej kwestii kompletnie oderwani od rzeczywistości. Po wydaniu trzeciej części trylogii *Niewolnicy – Dubaj krwią zbudowany* przekonałem się, że zaprzeczanie rzeczywistości powoli zaczyna być epidemią. Zarówno moją skrzynkę mailową, jak i komentarze pod postami zalała wtedy fala bardzo podobnych twierdzeń, które można byłoby sprowadzić do jednego: „Dlaczego szkaluje pan Dubaj? Ja tam

jeżdżę regularnie i nigdy nie widziałam, by ktoś cierpiał. Robotnicy jeżdżą tam do pracy. Polacy też kiedyś jeździli i nadal jeżdżą”.

Trudno dyskutować z takim poziomem ignorancji, ale spróbuję. Po pierwsze nigdy nie szkalowałem Dubaju, co więcej, uważam to miejsce za wspaniałe i warte odwiedzenia. Zawsze bardzo je wszystkim polecam, przestrzegając jednak, że należy wiedzieć, jak się zachować, by nie wpaść w kłopoty. Po drugie fakt, że z okien luksusowych hoteli nie widać cierpienia robotników, którzy są tam sprowadzani do pracy dziesiątkami tysięcy i traktowani gorzej niż zwierzęta, jest niezaprzeczalny. A po trzecie Polacy nigdy nie wyjeżdżali do pracy za granicą z taką desperacją, nawet w najtrudniejszych czasach. Próba dorobienia się na saksach bardzo różni się od wyjazdu dla ratowania przed śmiercią głodową siebie i swojej rodziny.

Dubaj faktycznie w dużej mierze został zbudowany krwią ludzi, którzy nie przeżyli ciężkich warunków pracy, upałów, zginęli na budowach, w wypadkach albo umarli z wycieńczenia czy w wyniku chorób, których nabawili się w przypominających więzienia obozach, miejscach ich zakwaterowania. Bohaterowie mojej książki zostali sprzedani przez agencje za trudną do wyobrażenia cenę, a jeden z nich nawet przypłacił to życiem. Tak jak w przypadku prostytutek i służących, tak i w kwestii robotników czuję pewien niedosyt. W ich historiach brakuje elementu, który pcha te osoby w kierunku nieszczęścia. Chodzi oczywiście o handlarzy żywym towarem – ludzi, którzy zorganizowali system wyzysku innych ludzi, wpychania ich w biedę, zarabiania na ich sprzedaży jako taniej siły roboczej. Ale jak się wkrótce przekonam, na tym ich działanie się nie kończy, a wykorzystywanie biedniejszych zatacza coraz szersze kręgi.

Zanim jednak dane mi będzie zająć się tym tematem, sam stanę się łatwym łupem dla oszustów. Raz nawet żenująco skutecznie. Dla tej historii to o tyle ważne, że przypomina o pokorze, bo łatwo negatywnie oceniać naiwność innych, gdy patrzy się z dystansu. Sam nie raz popełniłem ten błąd.

Nigdy wcześniej nie słyszałem o Tirupati, a to tam mam się spotkać z moim kolejnym bohaterem. Znalezienie osoby, która chciałaby porozmawiać o agencjach wysyłających robotników do krajów arabskich,

zajęło mi wiele miesięcy i było poprzedzone dziesiątkami nieudanych prób. Początkowo kontaktowałem się z potencjalnymi rozmówcami mieszkającymi w pobliżu dużych, znanych ośrodków miejskich.

Jak typowy białas chciałem przylecieć do wygodnego hotelu w New Delhi lub Mumbaju, wyskoczyć na wywiad, po czym natychmiast wrócić do swojej strefy komfortu. Jednak jeszcze zanim wyjechałem z Polski, wiedziałem, że w Indiach nie będzie tak łatwo. Zrozumiałem, że jeśli chcę napisać tę książkę, muszę polecieć tam, gdzie jest ktoś, kto zgodzi się ze mną rozmawiać, nawet jeśli będę musiał mocno zboczyć z wydeptanych ścieżek.

To było oczywiście ogromne ryzyko, bo wcale nie miałem pewności, czy wszystko, o czym pisze świetnie władający językiem angielskim, wygadany i dobrze znający interesujący mnie temat Ishan, w ogóle istnieje. Czy nie jest przypadkiem oszustem, który chce mnie naciąć i wykorzystać. Ale musiałem zaryzykować. Jednak tak bardzo skupiłem się na ryzyku wyjazdu do Tirupati, że kompletnie zignorowałem to czyhające w New Delhi.

To tu mam spędzić dwa pierwsze dni tej podróży. Byłem tu już wcześniej, wróciłem bez zachwytu i chcę sprawdzić, czy po latach coś się zmieniło. Wrażenia mam takie same, a w zasadzie nawet gorsze, a to dlatego, że chyba nigdy wcześniej nie czułem się tak bardzo wystawiony na żer. Co ciekawe, początkowo nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy...

Zatrzymuję się w przyjemnej, zielonej okolicy w pobliżu Pałacu Prezydenckiego i parlamentu, zaledwie kilka minut pieszo od India Gate – jednego z obowiązkowych punktów dla większości turystów. Przypominająca nieco paryski Łuk Triumfalny brama upamiętnia żołnierzy poległych w licznych wojnach z czasów Imperium Brytyjskiego i jest jedną z wielu w tym mieście pamiątek jego zwierzchnictwa nad Indiami.

Wydaje mi się, że jestem tu zupełnie bezpieczny, ale już pierwszego wieczoru, kiedy idę na kolację do lokalnej restauracji, przekonuję się, że podróżowanie po Indiach, zwłaszcza w pojedynkę, bywa jak stąpanie po bardzo cienkim lodzie.

Restauracja jest niemal pełna, zajmuję jeden z ostatnich wolnych stolików. Lokal musi się cieszyć dużą popularnością, bo niemal co chwilę ktoś wychodzi i prawie natychmiast na jego miejsce pojawia się nowy gość. To daje nadzieję, że jedzenie tu jest dobre i przede wszystkim świeże, co niestety w Indiach nie zawsze jest gwarantowane.

Wszystko idzie zupełnie bezproblemowo i tylko jedna rzecz zaczyna mnie intrygować. Przy stoliku naprzeciwko mojego, twarzą do mnie, siedzi młoda, raczej zwyczajnie ubrana dziewczyna, która co jakiś czas na mnie spogląda, a gdy tylko nasz wzrok się spotyka, uśmiecha się szeroko. Nie je, chyba nie czeka też na żadne zamówienie. Na jej stoliku stoi tylko pusta butelka po przelanej do szklanki coli. Mam wrażenie, że mnie podrywa, choć biorąc pod uwagę hinduskie obyczaje, wydaje mi się to dość dziwne. Na szczęście wkrótce pojawia się przede mną jedzenie, co daje mi pretekst do odwrócenia uwagi od dziewczyny. Ciągle jednak czuję na sobie jej wzrok.

Jestem coraz bardziej przekonany, że siedzi tu ze względu na mnie, a przynajmniej że chce mi coś powiedzieć. Kiedy po skończonym posiłku reguluję rachunek, dziewczyna wstaje i podchodzi do mojego stolika.

– Mogę? – pyta po angielsku.

– Tak, proszę – odpowiadam, zaskoczony jej śmiałością.

Podrywanie mężczyzn przez kobiety w Indiach nie jest na porządku dziennym, żeby nie powiedzieć, że raczej się nie zdarza. Dziwi mnie to, tym bardziej że scena ma miejsce w zwyczajnej restauracji, w której jest sporo turystów, niektórzy z dziećmi – klimat zdecydowanie nie sprzyja nawiązywaniu damsko-męskich kontaktów. Ale ciekawi mnie, co będzie dalej.

– Jesteś tu sam? – zagaduje o rzecz raczej oczywistą, choć krzesło przede mną, które właśnie zajęła, równie dobrze mogło czekać na kogoś innego.

Potwierdzam, a wtedy następuje seria standardowych pytań: skąd jestem, jak się nazywam, ile mam lat...

Ona przedstawia się jako Meera, dwudziestopięciolatka z bardzo trudną historią życiową, którą dość sprawnie i mam wrażenie, że trochę od niechcienia, mi opowiada:

– Jestem wdową. Mój mąż zmarł na raka dwa lata temu i zostawił mnie z dwójką małych dzieci. Pracuję w biurze niedaleko i przychodzę tu codziennie. To moja jedyna przyjemność w życiu. Zaraz wrócę do domu i będę musiała się zająć gotowaniem i sprzątaniami, a rano znowu pójdę do pracy. Mam bardzo smutne życie i chciałabym się stąd wyrwać, ale chyba nigdy mi się to nie uda.

Te ostatnie słowa sprawiają, że zaczynam rozumieć, dlaczego Meera przesiaduje w restauracji i zaczyna samotnych mężczyzn, bo jak się

domyślam, raczej nie jestem pierwszym. Prawdopodobnie szuka męża. Najlepiej takiego, który zabrałby ją i jej dzieci z Indii. Jest bardzo atrakcyjna, więc przy odrobinie wytrwałości zapewne któregoś dnia dopnie swego. Chwilę później zaczynam podejrzewać, że ta historia nie do końca jest prawdziwa.

– Bardzo miło mi się z tobą rozmawia, może chcesz mnie odprowadzić do domu? – pyta zniechęta.

Oczywiście to może być całkiem niewinna propozycja, tyle że my wcale nie prowadziliśmy żadnej miłej rozmowy. To była raczej seria krótkich pytań i odpowiedzi oraz następujący po nich monolog.

– Niestety nie mam czasu – odpowiadam, próbując delikatnie się wymiksować, ale Meera nie ma zamiaru poddać się bez walki.

– Proszę. Zrobiłbyś mi dużą przyjemność.

– Naprawdę muszę wracać do hotelu.

– A w którym hotelu mieszkasz?

– Tu niedaleko.

– Le Méridien?

Trafiła, co lekko mnie niepokoi, zwłaszcza że staje się coraz bardziej nachalna.

– Meera, myślę, że każde z nas powinno pójść w swoją stronę – mówię stanowczo.

Wciąż niewystarczająco.

– Proszę, chodź ze mną. Naprawdę nie pożałujesz.

– Nigdzie z tobą nie pójdę.

– Chciałabym, żebyś poznał moje dzieci.

– Kobieto, ja dziesięć minut temu poznałem ciebie. Jest zdecydowanie za wcześnie na poznawanie twoich dzieci. Nie ma takiej możliwości, żebym poszedł z tobą dokądkolwiek! – Mój głos staje się coraz bardziej kategoryczny, choć próbuję nie krzyknąć, by nie zwracać na siebie uwagi innych gości.

– To może zabierzesz mnie na drinka? – zmienia taktykę. – Nigdy nie byłam w tym hotelu. A potem ja zaproszę cię do siebie. Będziemy przyjaciółmi.

Nachalność obudzonego po zimie kleszcza zaczęła mi poważnie działać na nerwy, a moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Meera jednak wciąż testuje jej granice.

Próbuję wstać, uznając, że jedynym sposobem na to, by się odczepiła, jest wyjście z restauracji. Ale wtedy Meera łapie mnie za rękę i próbuje szantażu emocjonalnego podszytego hinduskimi wierzeniami.

- To zła karma traktować w ten sposób kobietę.
- Możliwe, jakoś to przeżyję.
- Nie, jeśli rzucę na ciebie urok.
- Jak do tej pory twój urok na mnie nie podziałał.

Nie mam już wątpliwości, że Meera nie jest po prostu nieszczęśliwą kobietą, która szuka męża z Zachodu. Ciekawość podszeptuje mi, żeby kontynuować tę znajomość, dowiedzieć się, co stoi za jej przedziwnym zachowaniem, ale na szczęście dla mnie wygrywa rozsądek. Opuszczam restaurację i ruszam w kierunku hotelu. Jeszcze przez jakiś czas oglądam się za siebie. Nie jestem pewny, czy Meera nie będzie mnie śledzić.

To było przedziwne doświadczenie, ale zrzucam to na karb różnic kulturowych i desperacji wielu Hindusów, którzy za wszelką cenę chcą wyrwać się z biedy, i szybko o nim zapominam.

Następny dzień ma być moim ostatnim w New Delhi i mam zamiar trochę to miasto poeksplorować w nadziei, że znajdę to „złoto”, którym zachwyca się tak wielu moich znajomych. Zamiast niego znajduję jednak (wybaczcie dosadność) gówno. I nie jest to złośliwa recenzja tego miejsca czy emanacja mojej niechęci do niego. Ten dzień po prostu dosłownie dominują odchody. Jeśli miałbym zgadywać, prawdopodobnie psie, ale ich pochodzenie nie ma większego znaczenia. Ważne, że mają posłużyć do pozbawienia mnie sporej ilości gotówki.

Eksplorowanie niezbyt się udaje, bo wszystko ma miejsce w pobliżu bazaru Palika, który znajduje się jakieś dwa, może trzy kilometry od mojego hotelu. To ogromne podziemne targowisko, jedno z największych w Indiach. Można tu kupić dosłownie wszystko, chyba łatwiej wymienić, czego nie oferują właściciele kilkuset stoisk i sklepików. To miejsce warte odwiedzenia, jeśli chce się poznać indyjską kulturę, ale raczej trudno je rekomendować jako turystyczną atrakcję, chociaż przyciąga tysiące turystów. Tego dnia również mnie.

Znajdując się na zatłoczonej ulicy, w pewnej chwili czuję, jak coś blokuje moją lewą nogę. To raczej wrażenie niż faktyczny problem, bo bez trudu robię kolejny krok, a gdy spoglądam na swój but, widzę rozmazane na nim

odchody. Nie uchodzi to uwadze jednego z przechodniów, łysego Hindusa z pokaźnym brzuchem, który mówi:

– Idź tam! – I wskazuje dokładnie kierunek, w którym szedłem.

Nieoceniona pomoc.

Chcę przejść w miejsce, gdzie będę mógł przystanąć i spróbować chociaż częściowo wyczyścić but. I tak wiem, że ta przygoda zakończy moje zwiedzanie tego dnia, ale mam nadzieję, że nie będę musiał wracać do hotelu w tak kompromitującym stanie.

Gdy tylko docieram do miejsca, gdzie tłum nieco się przerzedza, natychmiast podchodzi do mnie inny uczynny mężczyzna, który dziwnym trafem od razu wie, jaki mam problem.

– *Hello, my friend...* Takie rzeczy się tu zdarzają – mówi z uśmiechem. – Brudne ulice. Chodź za mną...

Nie wiem, czy powinienem, ale dookoła wciąż jest sporo osób, więc postanawiam zrobić kilka kroków za nim. Tyle wystarczy. Nieopodal, pod blaszanym płótem, na małym drewnianym stołeczku z wysuwającym podnóżkiem siedzi kolejny mężczyzna w podobnym do poprzedników wieku. Jak się szybko okazuje, jest doskonale przygotowany na przypadkowe zdarzenia z psimi odchodami. Ma na wyposażeniu szmatki, szczotki, wodę w butelce – wszystko, co jest konieczne, by doprowadzić moje obuwie do ładu.

Jestem lekko zdesperowany, dlatego szybko ściągam but, a mężczyzna natychmiast zabiera się do pracy. Czyści go sprawnie, choć tylko powierzchownie. Wiem, że jak dotrę do hotelu, od razu skorzystam z usług pralni.

Po skończonej pracy mężczyzna, wciąż trzymając mój but, żąda zapłaty:

– Dziewięć tysięcy.

Unoszę brwi, przekonany, że to jakaś pomyłka. Sto euro za usunięcie gówna z buta? Pan bardzo wysoko wycenia swoje usługi!

– Dziewięć tysięcy rupii? Chyba zwariowałeś! Te buty tyle nie kosztowały. Dam ci pięćset za fatywę.

Widząc moją postawę, facet przyciska do siebie mój but. Wyraźnie nie ma zamiaru ustąpić. Co ciekawe, nagle jak spod ziemi obok mnie wyrastają dwaj znajomi – ten, który wskazał mi, że mam coś na bucie, i ten, który natychmiast pospieszył z rozwiązaniem. Teraz nie mam już wątpliwości, że padłem ofiarą mocno śmierzącego oszustwa.

– Nie zapłacę wam, zrobiliście to specjalnie – mówię. – Mogę co najwyżej wezwać policję.

– *No, my friend...* Chcieliśmy ci pomóc, a ty tak postępujesz? Dlaczego to robisz? *My friend...* – próbuje dyskutować ten, który przyprowadził mnie do pucybuta.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi. Ilu już tu dzisiaj oszukaliście?

– *No, my friend...* – mężczyzna próbuje kontynuować tyradę, ale ja nie mam zamiaru dłużej tego słuchać.

Trzymam w ręce pięćset rupii.

– Oddajecie mi but czy mam sobie iść? Naprawdę przeżyję bez niego. – Faktycznie jestem gotowy się poświęcić. Może powrót do hotelu w jednym bucie nie należałoby do najbardziej komfortowych, ale brak tej pary nie zmieniłby wiele w moim życiu.

Oszuści muszą podjąć szybką decyzję: zostać z wciąż śmierzącym głównym butem czy zarobić równowartość pięciu euro. W końcu z wyraźną wściekłością i w poczuciu niesprawiedliwości, jakbym to ja ich oszukał, oddają mi moją własność i inkasują gotówkę.

Wręczam ją pucybutowi – on jeden przynajmniej wykonał jakąś pracę – i bez zwłoki ruszam w kierunku hotelu. But wkładam dopiero parę metrów dalej, ale po przejściu kilku kroków wiem, że muszę jakoś spacyfikować wciąż dochodzący do moich nozdrzy smród.

Niczym MacGyver wpadam na pomysł wykorzystania woreczków foliowych, w które zapakowano mi kupione na bazarze Palika pamiątki. Wyjmuję je z plecaka. Jeden wkładam na stopę i wsuwam ją do buta, drugim ciasno go owijam. Może żenujące, ale działa. Torebki poddają się dopiero w hotelu, mniej więcej na wysokości recepcji, co jak się później okaże, nie uchodzi uwagi jednego z pracowników Le Méridien.

Buty oddaję do czyszczenia, ale nigdy więcej już ich nie włożę. Po takich przejściach należy im się emerytura. Postanawiam tego dnia nie opuszczać już hotelu. Obiekt jest zresztą na tyle dobrze zorganizowany, że nie grozi mi tu nuda, zwłaszcza że kiedy pojawiaam się ponownie niedaleko recepcji, zostają zagadnięty o... mój problem z butem.

– *Dog poo?* – pyta uśmiechnięty niski boy hotelowy, Sanjay.

Skąd wie?

– Oni tak naciągają turystów – dodaje od razu. – To jedna z wielu metod...

Wiem już, że to było oszustwo, ale ciekaw jestem pozostałych metod.

– Nigdy nie kupuj wycieczki turystycznej na ulicy. Na pewno przepłacisz – doradza. – Uważaj też na tych wszystkich, którzy chcą ci pomóc, oprowadzić cię po mieście... I na przypadkowe riksze. Potrafią ograbić albo wywieźć do takiej części miasta, z której trudno wrócić.

Na szczęście nie mam takich planów, ale boy mówi dalej:

– Ale najgorsze są wdowy. Strasznie dużo tego ostatnio. Niejednego gościa nam już przekreśliły...

I tu mamy do pogadania. Natychmiast opowiadam Sanjayowi o swoim spotkaniu z Meerą poprzedniego wieczoru.

– Meera! Pewnie dzisiaj ma już na imię zupełnie inaczej.

– Znasz ją?

– Nie. Te są laski, które trzymają się z daleka od hoteli, chociaż najchętniej tutaj szukałyby ofiar.

– Ofiar?

– Wiesz, one wszystkie pracują dla gangów. W zasadzie to są do tego zmuszane, ale same też nieźle na tym wychodzą. Nie mogą przestać, ale też nie bardzo chcą.

– To prostytutki?

– Nie... – Sanjay się uśmiecha. – Ta twoja Meera zaprosiła cię do siebie do domu? Chciała cię poznać ze swoimi dziećmi?

– Dokładnie tak. Skąd wiesz?

– One wszystkim opowiadają taką samą bajkę. Biedne wdowy z małymi dziećmi. Proszą, by je odprowadzić, zapraszają do siebie na spotkanie z dziećmi albo na herbatę...

– I?

– Naprawdę się nie domyślasz? Facet, który da się na to namówić, w najlepszym przypadku wychodzi bez kasy. Jak ma na sobie drogie ubrania, to i bez ubrań. Bizuteria, zegarki, wszystko, co ma jakąś wartość, przechodzi na własność gangusów, którzy czekają w mieszkaniu.

Dociera do mnie, jakie miałem szczęście, że Meera nie zrobiła na mnie wrażenia i nie dałem się uwieść jej historii.

– One mają różne metody – mówi dalej Sanjay. – Czasami, tak jak w twoim przypadku, od razu opowiadają tę swoją wzruszającą historyjkę o wdowieństwie i dzieciach, czasem chodzą za swoją ofiarą, udając, że ich

przypadkowe spotkania to przeznaczenie. Nie wiem, co lepiej działa, ale wierz mi, niejeden z naszych gości srogo pożałował zetknięcia z wdowami.

Mimo że życzliwych ludzi, takich jak Sanjay, spotkałem wcześniej w Indiach sporo i podczas tej wizyty czeka mnie jeszcze kilka takich spotkań, moje wrażenie na temat tego kraju pozostaje niezmiennie. Naciągacze i oszuści sprawiają, że trudno poczuć się tu swobodnie, spokojnie. Trudno też myśleć, że Indie są gościnne. Wszystko przez to, że mają wielowiekową tradycję kastowości i wyzyskiwanie innych jest tu czymś powszechnym. Oszukiwanie ludzi z Zachodu Hindusi tłumaczą sobie odgrywaniem się za wyzysk z czasów kolonialnych. Jestem w stanie nawet przyjąć to tłumaczenie, choć jest ono bardzo pokrętne i tak naprawdę wcale nie załatwia sprawy.

To, czego nie mogę zrozumieć, to fakt, że w Indiach ludzie handlują ludźmi na naprawdę szeroką skalę i robią to bez żadnych skrupułów, zawsze mając klarowne wytłumaczenie, skutecznie uciszające ewentualne wyrzuty sumienia.

System kastowy w Indiach, zwany *jati*, funkcjonuje od tysięcy lat. Hindusi do dziś często się dzięki niemu identyfikują. Przynależność do poszczególnych kast definiuje rolę w społeczeństwie, podejście do danej osoby i jest niezmiernie ważna w przypadku doboru małżonka.

Niektóre źródła podają, że kast jest kilka, ale w rzeczywistości jest ich ponad trzysta, a ich hierarchia jest dużo bardziej enigmatyczna i trudna do określenia, niż mogłoby się wydawać. Teoretycznie nie jest tak, że jedni rządzą drugimi – wyżsi tymi, którzy są niżej, choć zdarza się, że próby wyzysku są tłumaczone właśnie zwierzchnictwem jednych nad drugimi. To mocno zagmatwany system, zmanipulowany często przez tych, którzy są jego największymi beneficjentami.

Współcześnie sytuacja ekonomiczna, podróże i rozwój społeczeństwa spowodowały, że na przykład w kaście fryzjerów nie ma samych fryzjerów, a w kaście kapłanów nie wszyscy są kapłanami. Każda *jati* połączona jest wewnętrznie rodzajem lojalności, która zobowiązuje jej członków do ochrony i opieki nad sobą nawzajem.

W tym systemie najniższą kastą społeczeństwa indyjskiego oraz ludzi wykluczonych z systemu kastowego są *dalici*. Ich nazwa pochodzi od słowa *dalit*, oznaczającego uciśnionych, potocznie zwani są też niedotykalnymi ze względu na to, że z reguły zajmują się pracami brudnymi, uważanymi za obrzydliwe.

Konstytucja indyjska, zakazująca klasyfikowania w ten sposób ludzi, przyznała *dalitom* prawo do uczestniczenia w systemie edukacji i równych szans na rynku pracy, ale to tylko teoria. W praktyce wygląda to zupełnie inaczej. Utarte przez wieki nawyki nadal wyrzucają tę grupę na margines społeczeństwa, nie dając jej członkom większych szans na lepszą przyszłość.

Przygody w New Delhi sprawiają, że jeszcze bardziej boję się jechać w nieznaną. Wydawało mi się, że wiem, czego się mogę spodziewać w stolicy, ale ta i tak poważnie mnie zaskakuje. Tego, co czeka mnie na kolejnym etapie podróży, nie mogę przewidzieć. Mogę tylko mieć nadzieję, że nie będzie gorzej. Jestem ciekawy spotkania z człowiekiem, który już przez internet opowiedział mi sporo o swoim życiu, ale wdowa Meera i oszuści od buta spowodowali, że staję się podejrzliwy. Muszę sam sobie tłumaczyć, że to niesprawiedliwe oceniać jednych na podstawie czynów innych, ale to silniejsze ode mnie.

A od Sanjaya dostaję na koniec jedną bardzo dobrą radę:

– Jak następnym razem ktoś będzie w stosunku do ciebie aż za bardzo przyjacielski, zaproponuj mu, by zrobił sobie z tobą zwykłe, niewinne selfie. Oszust na pewno będzie się próbował wykręcać.

ROZDZIAŁ 14

Ishan

Lot z New Delhi do Tirupati trwa około dwóch godzin. Przez cały ten czas zastanawiam się, czy w ogóle ma jakiś sens. Ishan, chłopak, który obiecał, że będzie moim przewodnikiem, równie dobrze może być przecież jednym z tych oszustów. Do tej pory bałem się, że nasze spotkanie w ogóle nie dojdzie do skutku. Teraz spektrum moich wątpliwości znacznie się poszerzyło.

Ishan okazuje się słowny i faktycznie czeka na mnie na lotnisku. To oczywiście nie znaczy, że nie zamierza mnie w jakiś sposób wykorzystać, ale test Sanjaya również wypada pomyślnie. Kiedy pytam go, czy zrobi sobie ze mną selfie, nie ma najmniejszych oporów.

Wiem, że muszę pozbyć się takiego myślenia. Tak właśnie rodzą się stereotypy. Zawsze mają źródło w prawdzie, ale rozrastają się w tempie złośliwego nowotworu. Fakt, że w krótkim czasie próbowano mnie oszukać aż dwa razy, nie znaczy, że wszyscy chcą to zrobić. Na wszelki wypadek jednak pytam o to swojego towarzysza.

– Oni nie mają serca – mówi ze smutkiem. – Wysyłają mężczyzn do pracy do Dubaju, Kataru i Arabii Saudyjskiej, a potem czyhają na tych, którzy zostali. Rujnują całe rodziny.

Szybko się orientuję, że może ma to być jego prywatna wendeta, a może próba ukrócenia działalności agencji, która obiecała mu fantastyczną przyszłość, a odebrała wszystko, co miał. Przeceniał moje możliwości, bo ani przez chwilę nie myślałem o tym, że opisanie tej historii może przerwać działalność oszustów. Ale zawsze powtarzam, że zło mnoży się w mroku i ciszy, dlatego trzeba o nim mówić i je naświetlać, by się nie rozprzestrzeniało.

– Sarika miała tylko trzynaście lat, była moją jedyną siostrą...

W oczach Ishana pojawiają się łzy. Spuszcza głowę i zasłania usta dłonią. Nie mam wątpliwości, że to bolesna historia, ale nie mogę pozwolić, bo pozostała nieopowiedziana. Jeszcze przez chwilę tkwimy w ciszy. W końcu przerywają ją słowa.

Zawsze chciałem być inżynierem. Nikt z mojej rodziny nigdy nie zdobył wyższego wykształcenia, a moi rodzice zakończyli edukację na nauce pisania i czytania. Ja miałem więcej szczęścia. Zarówno ja, jak i moja młodsza o sześć lat siostra Sarika mieliśmy szczęście pójść do szkoły podstawowej, a ja nawet później średniej¹. Wiedziałem, że to dla moich rodziców ogromny wysiłek. Oboje pracowali w fabryce na przedmieściach Tirupati. Mieszkaliśmy w Narayanavanam, oddalonym o niespełna czterdzieści kilometrów od miasta. Wszyscy codziennie tam jeździliśmy. Rodzice do pracy, ja i Sarika do szkoły.

Mieszkanie na wsi było znacznie tańsze niż w mieście, nawet mimo konieczności codziennego podróżowania. Zresztą na decyzję rodziców o pozostaniu w Narayanavanam wpływ miały też sentymenty. To tam się poznali. Poza tym we wsi znajduje się duża, ważna dla naszej religii świątynia poświęcona Bogu Kalyana Venkateswara Swamy, który właśnie tam miał poślubić boginię Padmavathi Devi. Mój tata często porównywał mamę do bogini, czasami żartowali, że historia ich miłości jest dokładnie taka jak ta dotycząca sławionych w naszej wiosce bóstw.

Nasza wioska była nawet przez jakiś czas stolicą, choć nie jest duża, za to malowniczo położona i bogata w piękne wodospady. Mamy tam też tradycję tkania na ręcznych krosnach. Wszystkie kobiety z Narayanavanam potrafią tkać, a spod ich rąk wychodzą prawdziwe dzieła sztuki. Niestety trudno z tego wyżyć, więc większość ludzi z wioski albo zajmuje się rolnictwem, albo pracuje w Tirupati.

Wiedziałem, jak ciężko pracują moi rodzice, i zaklinałem czas, by przyspieszył. Nie miałem wątpliwości, że jak tylko skończę studia, będę zarabiał takie pieniądze, które pozwolą mi utrzymać całą rodzinę. A wtedy oni już nigdy więcej nie będą musieli pracować.

Marzyłem o tym, by studiować elektronikę w Chadalawada Ramanamma Engineering College. Jeszcze zanim skończyłem szkołę średnią, chodziłem

tam i przyglądałem się studentom. Bardzo chciałem być jednym z nich. Wreszcie przyszedł czas, gdy mogłem do nich dołączyć, na przeszkodzie stały tylko koszty – rok studiowania na tej uczelni zdecydowanie wykraczał poza możliwości mojej rodziny. Wiedziałem o tym, ale ojciec zapewnił mnie, że zdobędzie pieniądze. Sześćdziesiąt pięć tysięcy rupii² to fortuna, której nie byłem sobie w stanie nawet wyobrazić, ale mój tata nie chciał słyszeć o moich obiekcjach.

– Masz tylko dwa zadania: uczyć się i sprawić, żebym był z ciebie dumny – powiedział, po czym kazał mi się zapisać na egzaminy.

Oczywiście je zdałem i wkrótce spełniło się moje marzenie – zostałem studentem. Ale ludzie tacy jak ja chyba nie urodzili się po to, by spełniać swoje marzenia. Jesteśmy od tego, by spełniać marzenia innych.

Minął zaledwie miesiąc od rozpoczęcia zajęć, gdy moje życie zmieniło się raz na zawsze. Mój ukochany tata dostał rozległego zawału serca. Żył jeszcze, gdy wieziono go do szpitala, ale zmarł wkrótce po tym, jak do niego dotarł. Moja rodzina pogrążyła się w rozpacz. Mama, choć spędziła z tatą wiele lat, kochała go tak samo jak w dniu, w którym zaczęła się ich miłość. On zresztą też traktował ją jak najważniejszą osobę na ziemi. Ja i Sarika dorastaliśmy, widząc ich wielkie przywiązanie. Bywało, że w naszej rodzinie brakowało pieniędzy, ale nigdy nie brakowało w niej miłości.

Nie miałem wątpliwości, że muszę się zająć mamą i siostrą. Wróciłem do Narayanavanam – wioski, w której mieszkałem wraz z rodzicami, zanim wysłali mnie do szkoły w Tirupati. Zostaliśmy ze złamanymi sercami i bez żadnych perspektyw. Nie mogłem w takiej sytuacji po prostu wrócić do nauki. Moja mama wpadła w swoistą katatonię. Choć wciąż pracowała w magazynach dużej fabryki znajdującej się na obrzeżach Tirupati, jej dni zostały zdefiniowane przez serię następujących po sobie wyuczonych czynności. Nie było w nich emocji. Tym dawała upust nocami, płacząc za utraconą miłością swojego życia.

Nagle przedwcześnie zostałem głową poranionej rodziny, która mimo tragedii musiała przetrwać. Sądząc po tym, co zdarzyło się później, nie odniosłem w tej kwestii sukcesu. Nigdy sobie nie wybaczę, że opuściłem mamę i siostrę. Myślałem, że robię to dla nich, że robię dobrze...

Jedyny pomysł, jaki przyszedł mi do głowy, to skorzystanie z oferty jednej z wielu w Tirupati agencji wysyłających robotników do pracy

w krajach arabskich. Odzyskanie wpłaconych szkole pieniędzy za pierwszy rok nie było łatwe, ale w końcu się udało. Szczęśliwie dałem radę pokryć nimi koszty agencji, choć te znacznie przewyższały kwotę, którą miałem. Czułem, jakby mój ojciec czuwał nade mną, próbując karmą ułatwić mi drogę. To tylko utwierdzało mnie w przekonaniu, że jest ona słuszna.

Trzy miesiące po tym, jak mój tata odszedł z tego świata, wylądowałem w Katarze. Musiałem porzucić marzenia o zostaniu inżynierem, choć cały czas myślałem, że to tylko chwilowa niedogodność na drodze do normalności. Przez kolejne trzy lata zarobię tak duże pieniądze, że ani moja siostra, ani mama nie będą musiały martwić się o to, czym opłacić życie i edukację. A ja wrócę do Indii, do szkoły i choć nieco później, w końcu zostanę inżynierem. Byłem tak przepełniony nadzieją, że niemal zbyt pewny siebie. To pozwalało mi zachować wyznaczony przez mojego tatę kurs. Miałem się uczyć i sprawić, by był ze mnie dumny. Wierzyłem, że to, co robię, już teraz jest dla niego powodem do dumy, a nauka będzie musiała trochę poczekać.

Niestety od chwili, gdy znalazłem się w Katarze, każdego dnia przekonywałem się, że w agencji w Tirupati nie powiedziano mi nawet słowa prawdy, może poza tym, dokąd lecę. Obiecywane świetne warunki pracy i zamieszkania okazały się prawdziwym koszmarem. Nie miałem wątpliwości, że nie wyjechałem na intratny kontrakt, a zostałem sprzedany jako niewolnik.

Dałem się oszukać. Nigdy wcześniej nie słyszałem o kłopotach, jakie mają robotnicy w krajach Zatoki Perskiej. Byłem nastolatkiem, którego ojciec usilnie chronił przed wiedzą o prawdziwym życiu. Na pewno nigdy nie sądził, że jego syn, przyszły inżynier, jeszcze przed dwudziestym rokiem życia zostanie nic nieznaczącym niewolnikiem, zmuszanym do pracy i życia w nieludzkich warunkach. Gdyby to widział, pewnie pękłoby mu serce.

– Katar inwestuje w budowę pięknych obiektów. To w tej chwili najlepsze miejsce do pracy, wielu chce tam jechać, mamy zajęte już prawie wszystkie miejsca – przekonywała mnie miła dziewczyna zatrudniona w agencji na pierwszej linii frontu.

Kiedy w mojej głowie zrodził się pomysł, by wyjechać do pracy na Półwysep Arabski, myślałem głównie o Dubaju. To pierwszy wybór większości ludzi, ale faktycznie w czasie, gdy aplikowałem tam o posadę, Katar bardzo mocno przyspieszył z pracami nad budową infrastruktury na mundial i ściągał nawet do tysiąca pracowników dziennie.

– A jakie są zarobki? – chciałem wiedzieć.

– Najlepsze wśród krajów arabskich. Oni naprawdę bardzo dużo pieniędzy inwestują w przygotowania do mistrzostw. Zjedzie tam cały świat. To będzie ogromna szansa nie tylko dla Kataru, ale też dla ludzi, którzy tam mieszkają.

To brzmiało świetnie.

– A co jeszcze jest zagwarantowane?

– Przelot – zaczęła wyliczać dziewczyna. – Bardzo wygodny samolot rejsowy linii Qatar Airways. Najlepszej w tej chwili na świecie. Darmowe zakwaterowanie. To bardzo ważne, bo mieszkania w Katarze są drogie, a nasi pracownicy mają je za darmo. Inny duży koszt, jaki ci odpada, to dojazd. Firma gwarantuje transport, więc w zasadzie o nic nie musisz się martwić. Wszystko opłacone, cała wypłata zostaje w twojej kieszeni.

Byłem coraz bardziej zachwycony.

– A jakie są te zarobki?

– Niezwykle konkurencyjne. Wiesz, Arabowie mają dużo pieniędzy. Ludzie wysyłają swoim rodzinom naprawdę spore kwoty.

– Zacząłem studiować elektronikę, trochę się już na tym znam, może mógłbym pracować w tym zawodzie, chociaż jako asystent?

– Doskonale! Oczywiście, że tak. W Katarze stosowane są najnowocześniejsze technologie, będziesz mógł się sporo nauczyć. Tacy ludzie jak ty są tam bardzo cenieni.

Cała nasza rozmowa była utrzymana w takim euforycznym, choć enigmatycznym tonie. Nie uzyskałem żadnej konkretnej odpowiedzi na swoje pytanie, ale z każdym wypowiedzianym przez dziewczynę zdaniem byłem coraz bardziej zachwycony i przekonany, że po prostu nie mogę przegapić tej życiowej szansy. Po tragedii, jaką była śmierć mojego taty, nagle pojawiła się nadzieja, że wszystko się ułoży, że jeszcze będzie pięknie.

Złożyłem aplikację, podpisałem podsunęte mi dokumenty, a dwa tygodnie później, gdy odzyskałem pieniądze ze szkoły, przyszedłem

uregulować opłaty. Wtedy się okazało, że agencja potrzebuje jeszcze podpisu kogoś bliskiego.

– Nie ma się czym przejmować, to zwykła formalność – wyjaśniono. – Potrzebujemy kogoś, z kim w razie czego będziemy mogli się skontaktować. To dla twojego bezpieczeństwa.

Musiałem włożyć sporo wysiłku w zorganizowanie wyprawy mojej zapracowanej mamy do agencji. Była przeciwniczką tego wyjazdu, ale posiłkując się argumentami usłyszanymi od agentki, zdołałem nakłonić ją do zmiany zdania. Wciąż nie była zadowolona z tego, że po śmierci męża teraz straci z oczu jedyne go syna, ale słysząc o życiowych szansach, postanowiła nie oponować. Podpisała wszystkie wymagane dokumenty, ale gdy poproszono ją o podanie adresu, pod który ma przyjść wiadomość na wypadek, gdyby coś mi się stało, znów zmieniła zdanie.

– Nie, nie zgadzam się.

– Mamo, to tylko formalność – przekonywałem. – Muszą wiedzieć, gdzie cię znaleźć w razie czego. Równie dobrze tu na miejscu może mnie przejechać samochód.

– Nawet tak nie mów! – Mama była bliska hysterii.

Dla niej było zdecydowanie za wcześnie na takie rozmowy. Racjonalnie wszystko to rozumiała, ale emocjonalnie nie była w stanie przyjąć takiego scenariusza.

Na szczęście w końcu udało nam się dopiąć wszystkie formalności.

Dzień wyjazdu zbliżał się wielkimi krokami, ale byłem tak podekscytowany, że czas dłużył mi się w nieskończoność. Nie miałem walizki, dlatego spakowałem się w szczelnie oklejone folią kartonowe pudełko. Zresztą dziewczyna z agencji zapewniła mnie, że firma, dla której będę pracował, wśród licznych benefitów gwarantuje również ubrania, nie musiałem więc zabierać ich ze sobą zbyt wiele.

I wreszcie w listopadzie dwa tysiące dziewiętnastego roku, dokładnie trzy lata przed świętem, którym już wtedy żył cały Katar, znalazłem się na zachwycającym Hamad International Airport w Doha. Oniemiałem z zachwytu. Wszystkie słowa, które usłyszałem w agencji, w jednej chwili stały się rzeczywistością. To miejsce przechodziło moje najśmielsze oczekiwania. A przecież to było tylko lotnisko. Cała reszta musiała być znacznie lepsza!

Niestety nietrudno się domyślić, że prawdziwe lądowanie czekało mnie po wyjściu z hali przylotów. I było ono naprawdę twarde. Kilkudziesięciu mężczyzn, którzy przylecieli ze mną tym samym samolotem, podzielonych zostało na dwie grupy. Kazano nam przejść do skrajnego wyjścia, gdzie po odebraniu od nas bagaży zapakowano nas do dwóch mocno sfatygowanych autobusów. Po wyjściu z klimatyzowanego lotniska autobus był niezbyt przyjemną odmianą. Panowała w nim potworna duchota. Zastałe, lekko stęchłe powietrze było sporą niedogodnością. Znane mi z Indii, zaskoczyło mnie w Katarze, ale wciąż jeszcze się łudziłem, że to tylko lekkie potknięcie. Niestety szczerozłota farba, którą pokryte były moje wyobrażenia o tym miejscu, zaczęła schodzić płatami.

Już za chwilę miałem się przekonać, jak naprawdę wyglądają opłacane przez pracodawcę kwatery. Migranci zarobkowi tacy jak ja są w Katarze w większości wyrzucani na piaszczyste obrzeża Doha, na zakurzone wyspy podzielone głównie ze względu na rasę i narodowość. Od tego dnia miałem być jednym z setek tysięcy robotników żyjących na ponurych ulicach w pobliżu Asian Town, w ogromnych, przypominających bloki więzienne osiedlach mieszkaniowych, ponuro nazywanych Industrial Area – strefą przemysłową.

Dla nikogo tu nie miały znaczenia moje marzenia, nikogo nie obchodziły moje plany. Odtąd byłem tylko maleńkim trybikiem w wielkiej maszynie budowy Al Bayt Stadium w Al Khor, jednego ze sztandarowych obiektów nadchodzących mistrzostw. Nie mogłem się z tym pogodzić, więc od samego początku zadawałem pytania, domagałem się właściwego traktowania... Ale moje słowa trafiały w próżnię.

Dzień pracy zaczynał się o piątej rano, co oznaczało, że żeby zdążyć z choć błyskawiczną toaletą i zjeść śniadanie w biegu, musieliśmy wstawać krótko po trzeciej. Porządku i punktualności pilnowali superwizorzy wybierani spośród pracowników. Najbardziej zaangażowani, posłuszni i pozbawieni krytycyzmu wobec systemu niewoli, w jakim tkwili, jak się wkrótce miało okazać, również zupełnie wyzuci z empatii dla ludzkiego cierpienia.

Zapamiętałem szczególnie jednego z nich, niewiele starszego ode mnie chłopaka o imieniu Rajev. Miał w sobie sporo skumulowanej agresji i gdy cokolwiek szło nie po jego myśli, natychmiast uciekał się do przemocy. Poznałem go zaraz po przyjeździe do obozu, gdy przydzielano nas do

naszych cel, zwanych tutaj bardzo górnolotnie mieszkaniami. Przy odrobinie optymizmu można było założyć, że w dwukondygnacyjnych, zbudowanych w formie okalających studnię galeriowców blokach każde z gęsto usianych wejść prowadzi do osobnego mieszkania. W rzeczywistości za każdymi z drzwi znajdowała się cela z piętrowymi pryzkami i stosem rozmaitych sprzętów, ubrań, bagaży, które same w sobie stanowiły ogromne zagrożenie pożarowe i sprawiały, że trudno tu było mówić o jakiegokolwiek przestrzeni.

Zostałem przydzielony do celi, w której kilka dni wcześniej zwolniło się miejsce po zmarłym pracowniku. Mężczyzna odszedł we śnie, możliwe, że z wycieńczenia, od wylewu, może spowodowanego słońcem udaru. Odziedziczyłem po nim nie tylko pryzkę, ale i pościel, w której spał swojej ostatniej w życiu nocy. Nietrudno się domyślić, że ten „hotel” nie miał obsługi i nikt w nim nie sprzątał.

Nie miałem innego wyjścia, jak tylko zastąpić nieboszczyka i modlić się, by nie spotkał mnie ten sam los, choć jak wkrótce miałem się przekonać, obojętność, z jaką poinformowano mnie o tym, co wydarzyło się w moim łóżku przed kilkoma dniami, była spowodowana nie tyle znieczulicą, ile swego rodzaju rutyną. Jakież okropne musi być miejsce, w którym ludzie zdążyli się przyzwyczaić do śmierci współtowarzyszy...

Fakt, że przyszło mi spędzić pierwszą noc w Katarze w łóżku po niedawno zmarłym nieboszczyku, bardzo rozedrgał moją psychikę. Wróciły wszystkie koszmarne wspomnienia związane ze śmiercią taty. Myśli o śmierci spowodowały, że wpadłem w panikę. Byłem przekonany, że wkrótce ja też odejdę z tego świata, przerażony do tego stopnia, że zacząłem mieć problemy z oddychaniem. Z jednej strony wiedziałem, że to wszystko jest skutkiem mrocznych myśli, z drugiej nie potrafiłem z tym walczyć. To było silniejsze ode mnie.

Choć tej nocy praktycznie nie zmrzyłem oka, następnego dnia o czwartej nad ranem, ubrany w sztywny drelichowy kombinezon, niosąc kask, który był chyba jedyną nienależącą wcześniej do nikogo rzeczą, wsiałem do autobusu. Od tego dnia codziennie zawoził on mnie i pozostałych mężczyzn z mojej brygady na plac budowy stadionu, którym Katar miał zamiar pochwalić się światu już za trzy lata.

Mieliśmy pracować osiem godzin dziennie. I przez cały czas utrzymywano, że właśnie tyle pracujemy. Problem w tym, że autobus po

skończonej pracy zabierał nas o godzinie siedemnastej. Według moich obliczeń te osiem godzin trwało dwanaście. Któregoś dnia postanowiłem zwrócić na to uwagę Rajeva.

– Te, inżynier, nikt ci tu nie płaci za obliczenia – rzucił drwiąco.

Nie mógł wiedzieć, że zostanie inżynierem było moim marzeniem, to był zwyczajny przypadek, ale po raz pierwszy usłyszałem to słowo w formie obelgi.

– Przy waszym tempie to i przez piętnaście godzin nie uzbierałoby się ośmiu uczciwie przepracowanych, nieroby pierdolone! – dodał z wściekłością, widząc, że jego odpowiedź raczej mnie nie zadowala.

– Przecież wszyscy pracują – odważyłem się odpowiedzieć. – Chłopaki mdleją od upału.

– Nie od upału, tylko z lenistwa. Co wy jesteście, panienki, żeby mdleć, jak tylko słońce przygrzeje? – irytował się dalej.

Mimo ciężkich warunków, mocno odbiegających od tego, co obiecano mi w agencji, wciąż nie do końca zdawałem sobie sprawę z tego, że tak naprawdę zostałem sprzedany. Ciągle miałem wrażenie, że w każdej chwili mogę zrezygnować. Kiedy dostałem swoją pierwszą pensję, runął kolejny mit. Równowartość niespełna dwustu dolarów za dwanaście godzin pracy, w sumie szesnaście, jeśli liczyć przygotowanie do niej i dojazdu. To wszystko z jednym dniem wolnym w tygodniu i bez wyżywienia. Byłem kompletnie załamany, ale tak jak wszyscy mężczyźni z mojego baraku zaraz po odebraniu pieniędzy poszedłem do oddziału Western Union i stanąłem w długiej kolejce, by wysłać je mamie. Nie znałem jeszcze wtedy zasad, nie wiedziałem, że pomiędzy mną a większością tych, którzy wysyłali pieniądze od dawna, była zasadnicza różnica.

Odłożyłem dla siebie jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć dolarów. Absolutnie głodowa stawka, ale nie mogłem inaczej. Zostawiłem mamę i siostrę same, a wysłane pieniądze miały być znakiem, że wszystko u mnie w porządku. Nie chciałem, by się martwiły.

Gotówka bardzo szybko mi się skończyła. Ostatni tydzień przed kolejną wypłatą po prostu głodowałem. Gdyby moi współtowarzysze niedoli nie podzielili się ze mną swoimi skromnymi racjami, nie jadłbym chyba wcale.

– Każdy z nas popełnił ten błąd – powiedział mi jeden z nich. – W przyszłym miesiącu wyślij to, co ci zostanie, a nie to, co dostaniesz.

To była prosta, ale bardzo ważna lekcja przetrwania. Niestety musiałem odbierać je tu każdego dnia, jeśli chciałem wrócić do Indii w jednym kawałku. A nie wszystkim się to udawało.

W moim pokoju poza mną mieszkało jeszcze ośmiu innych mężczyzn. Któregoś dnia, w trzecim lub czwartym miesiącu mojego katarskiego zesłania, jeden z nich uległ w czasie pracy wypadkowi. A najdziwniejsze w tym zdarzeniu było to, że przez długi czas nikt się w tym nie zorientował.

Rishit zranił się w rękę. W niefortunny sposób metalowy pręt poważnie uszkodził jego dłoń i przedramię. Chłopak zgłosił to brygadierowi, ale ten niewiele sobie z tego zrobił.

– Za dwie godziny kończy się zmiana. Wytrzymasz – powiedział tylko.

Pracownik nie miał innego wyjścia. Koledzy przewiązali mu rękę fragmentem koszuli i choć męczył go niemiłosierny ból, jakoś dotrwał do transportu. Kiedy wrócił do kwater, umył dokładnie ranę i opatrzył ją czystą tkaniną, po czym położył się spać w nadziei, że sen przyniesie mu ulgę.

Po pracy zawsze wszyscy spaliśmy jak zabici. Mimo małej ilości tlenu, a może właśnie dlatego, kompletnie nas odcinało. Tej nocy wydawało mi się, że przez sen słyszę jakieś stłumione jęki, ale stwierdziłem, że to wyobraźnia płata mi figle.

Kiedy nad ranem zaczął się harmider związany z przygotowaniami do pracy, większość z nas początkowo nie zauważyła, że Rishit nie wstał. W takiej chwili każdy zawsze zajmował się sobą, starając się jak najlepiej wykorzystać pozostały do zbiórki czas. Dopiero po dłuższej chwili prycza Rishita zwróciła naszą uwagę. Odsunęliśmy zasłonę – jedyną gwarancję intymności, na jaką mogliśmy sobie w tym miejscu pozwolić – i naszym oczom ukazał się potworny widok.

Rishit był sinoblady i rozedrgany w gorączkowych konwulsjach. Nie mieliśmy pojęcia, co robić. Jego kolorowa pościel była pokryta brunatnobrązową plamą zaschniętej krwi. Starsi ode mnie mężczyźni zaczęli go cucić, próbowali mu pomóc, ale wszystko na nic. Byliśmy świadkami ostatnich chwil rannego kolegi. Umarł na naszych oczach kilka minut później.

Zgłosiliśmy to podczas zbiórki superwizorowi. Przyjął tę wiadomość bez emocji i kazał nam wsiadać do autobusu. Kiedy tego dnia wróciliśmy po pracy do celi, prycza Rishita była pusta. Nie było ciała, pościeli ani jego

rzeczy. Na materacu została tylko plama z niedopranej krwi, która zdążyła przesiąknąć przez tkaniny. Tyle po nim zostało.

Nie znałem tego chłopaka, rozmawialiśmy może kilka razy, kiedyś podzielił się ze mną swoim jedzeniem. Wiedziałem, że niedawno się ożenił, jego żona była w ciąży i przyjechał zarobić na lepszy start swojej rodziny. Nawet nie jestem pewien, czy ktoś poinformował kobietę o jego śmierci. Nie wiem, jakie były tam procedury, co z nim zrobili... Po prostu zniknął.

Myśl, że i mnie może spotkać taki los, przerażała mnie coraz bardziej. Wiedziałem już, że nie będę w stanie wytrzymać w tym miejscu przez trzy lata. Chciałem wracać.

Powiedziałem o tym następnego dnia supervisorowi, ale wyśmiał mnie tak, jakbym opowiedział mu bardzo śmieszny żart. Poszedłem z tym do brygadiera na budowie, ale on z kolei tylko się zdenerwował.

– Podpisałeś kontrakt, więc zabieraj się do roboty! Wy wszyscy chcielibyście dostawać pieniądze za darmo! Jak tylko robi się trudno, natychmiast się wycofujecie! – krzyczał. – To przez takich jak ty budowa jest opóźniona. Jak chcesz, to wracaj. Ciekawe, jak daleko zajedziesz bez paszportu.

Nie miałem wątpliwości, że jestem w potrzasku.

A sprawy jeszcze bardziej się skomplikowały. Miesiąc później świat opanowała pandemia COVID-19, która sprawiła, że śmierć na dobre rozgościła się w naszym obozie. Osłabieni przez kiepskie jedzenie albo jego brak, przepracowani, przemęczeni, niewyspani, byliśmy łatwym celem dla bezlitosnego wirusa. Nie mieliśmy też szans na porządną opiekę lekarską.

Początkowo próbowano przemilczeć temat i nadal, jak gdyby nigdy nic, wożono nas na plac budowy, ale gdy sytuacja stała się naprawdę trudna i coraz więcej osób padało jak muchy przy swoich obowiązkach, zapadły decyzje, by tymczasowo wstrzymać prace. A gdy wprowadzono obostrzenia i kwarantannę, po prostu zamknięto nas w obozach bez możliwości wyjścia, bez żadnej pomocy.

Paradoksalnie władze Kataru i zatrudniani przez nich przedsiębiorcy nagle zyskali w wirusie niespodziewanego sprzymierzeńca. Obwiniono go o śmierci, których można było uniknąć, a wiele takich, które nie miały z nim nic wspólnego, po prostu dopisano do krwawych statystyk.

¹ System szkolny w Indiach ma cztery poziomy: niższy podstawowy dla dzieci w wieku 6–10 lat, wyższy poziom podstawowy (11–12 lat), wyższy (13–15 lat) i wyższy ponadpodstawowy (17–18 lat). Krótsze przedziały wiekowe związane są z tym, że w niektórych, zwłaszcza biedniejszych częściach kraju edukacja bywa przerywana na wcześniejszych poziomach.

² Około 4200 złotych.

ROZDZIAŁ 15

Mukhadam

Pandemia potężnie uderzyła również w Indie. Nie byłem w stanie wysłać pieniędzy mojej mamie, bo kiedy zamknięto nas w obozie, przestano nam płacić. Tymczasem mama straciła pracę w fabryce. Z dnia na dzień zniknęły jej oba źródła dochodu. Marne, ale pozwalające na przeżycie.

Podczas gdy ja siedziałem w niewoli, przyglądając się chorym i umierającym współtowarzyszom, przekonany, że i po mnie śmierć wyciągnie swoje ręce, moja załamana sytuacją rodzicielka zaczynała się zastanawiać, czy śmierć nie byłaby dla niej i Sariki najlepszym wyjściem.

– To ja wołałam śmierć – przyznała mi się później do tych myśli. – I przyszła. Tylko dlaczego zabrała ją, a nie mnie... – łkała, oplakując moją siostrę.

Epidemia koronawirusa boleśnie doświadczyła miliony mieszkańców Indii. Zamrożenie gospodarki i liczne bankructwa spowodowały, że biedni stali się jeszcze biedniejsi, choć wydawać by się mogło, że to praktycznie niemożliwe. I mimo że władze Indii próbowały stosować lockdown, często nawet siłą – dosłownie bijąc na ulicach ludzi, którzy go nie przestrzegali – nie udało się im uniknąć porażki w walce z wirusem. Indie zajęły niechlubne trzecie miejsce pod względem liczby zgonów spowodowanych przez covid.

W tak trudnych sytuacjach z reguły na scenie pojawiają się ludzie, którzy kreuja się na zbawców narodu, dając biednym proste recepty na wyjście z niedoli. Nie inaczej było i tym razem.

Agencje pracy, również ta, która oszukała mnie, nagle straciły ważnych klientów. Migracja została wstrzymana, albo przynajmniej mocno ograniczona, co spowodowało, że wysyłanie robotników do krajów

arabskich nie było przez jakiś czas możliwe, ale w kraju wciąż potrzebni byli ludzie do pracy, choć niekiedy daleko od miejsca ich zamieszkania.

Mukhadam to kontraktorzy – ludzie, którzy często kreują się na biznesmenów i pośredników pracy. W rzeczywistości są po prostu bezlitosnymi handlarzami, obracającymi tanią siłą roboczą potrzebną do pracy na plantacjach trzciny cukrowej. Są opłacani przez cukrownie i mają za zadanie ściąganie ludzi do morderczej pracy.

Indie od dawna walczą z Brazylią o miano lidera w produkcji cukru z trzciny cukrowej – i z reguły wygrywają. Spory teren w północnej i zachodniej części kraju, obejmujący stany Uttar Pradesh, Maharashtra, Karnataka, Tamil Nadu, Andhra Pradesh, Gujarat i Bihar, tworzy tak zwany pas cukrowy, znany na świecie pod angielską nazwą *sugar belt*.

W tym regionie cukier trzcinowy jest podstawowym produktem i daje zatrudnienie dosłownie milionom ludzi. Pracują oni w licznych fabrykach zajmujących się wytwarzaniem samego cukru, ale też wielu innych produktów ubocznych. Najtrudniej jednak znaleźć tych, którzy będą pracować na samych plantacjach. To praca nie tylko wymagająca dużej siły, ale też bardzo niebezpieczna. Mimo to sporą część plantatorek stanowią kobiety.

Chociaż pas cukrowy znajduje się z daleka od regionu Tirupati, pandemia spowodowała, że *mukhadam* zaczęli ściągać ludzi na plantacje również stamtąd. Okazało się to nieco łatwiejsze, bo w stanach takich jak Uttar Pradesh i Maharashtra plantacje trzciny cukrowej okryte są bardzo złą sławą, której raczej nie mają inne regiony.

Aby dotrzeć do właściwych rodzin, które mogą być zainteresowane sezonową pracą na plantacjach, *mukhadam* o imieniu Daksh skontaktował się z kilkoma agencjami w Tirupati i dobił z nimi targu. Obiecując im prowizję z dochodów zatrudnionych ludzi, poprosił o wskazanie tych, którzy mogą mieć kłopoty finansowe. Na pierwszy ogień poszli oczywiście aplikanci, którym pandemia uniemożliwiła wyjazd z kraju, ale znaleźli się też tacy, których bliscy utknęli na Bliskim Wschodzie bez zarobku, a co za tym idzie – bez możliwości wysyłania pieniędzy.

W tej drugiej grupie znalazła się moja mama. Podczas tamtej wizyty w agencji podpisała dokumenty, które, jak się wkrótce okazało, było

swoistym żyrowaniem nigdy niezaciągniętej pożyczki. Agentka, z którą rozmawiałem, bez problemu zaakceptowała fakt, że nie mam pełnej kwoty na pokrycie kosztów agencyjnych. Plan był taki, że zostaną one ze mnie ściągnięte po tym, jak wrócę z kontraktu, a moja mama miała być tego gwarantem. To dlatego potrzebny był jej podpis.

Teraz ten dług okazał się mocną kartą przetargową w kolejnym nieuczciwym biznesie. Moja mama miała nie tylko zarobić pieniądze na życie, ale też wyzwolić się z długu.

Kwota, jaką jej zaproponowano, nie odbiegała od oferty przedstawianej innym potencjalnym zbieraczom trzciny cukrowej. Miała wyjechać na sto pięćdziesiąt dni. Każdy z nich miał być przepracowany. Bez ani jednej przerwy. Za cały sezon miała zarobić niespełna pięćdziesiąt tysięcy rupii...

– To jakieś trzysta trzydzieści rupii na dzień – policzyła szybko zaraz po tym, jak *mukhadam* złożył jej ofertę.

– No nie do końca, bo tyle płacimy parom – odparł Daksh.

– Mój mąż nie żyje.

– Ale pani córka wygląda na wystarczająco dużą, by pomóc matce – rzucił, uciekając się do szantazu emocjonalnego.

– Jest za młoda! – zaprotestowała natychmiast mama.

– Jeśli chcecie, mogę złożyć tę ofertę innym. Dobrzy ludzie z agencji, którzy pomogli pani synowi, polecili mi panią, bo wiedzą, że przez pandemię jest chwilowa przerwa w transferach pieniędzy. Myślałem, że będę mógł pomóc... – *Mukhadam* odgrywał dobrego samarytanina zawiedzionego odrzuceniem pomocy.

Moja mama nie miała pojęcia o tym, że każda obietnica, jaką usłyszałem w agencji, okazała się kłamstwem. Wierzyła, że przerwy w transferach faktycznie są spowodowane pandemią – i poniekąd były, ale nie dlatego, że nie działały międzynarodowe przelewy, co próbowano jej wmówić, a dlatego, że Katarczycy po prostu przestali nam płacić.

– Mamo, ja mogę pracować – wtrąciła się milcząca do tej pory Sarika. – Przecież i tak pojedę z tobą. Nie zostanę tu sama. Razem damy radę. Będzie nam raźniej!

Powiedziała to z takim entuzjazmem, że jakaś jego część udzieliła się mojej mamie. Pomyślała, że może to nie jest taki zły pomysł. Przynajmniej będą miały co jeść. Poświęcą się w trudnym okresie, a gdy skończy się

pandemia, wszystko się odmieni. Tak naprawdę nie miały innego wyjścia. To zdawało się jedynym. I na tym właśnie zerował *mukhadam*.

– Mądra dziewczyna, daleko zajdziesz – pochwalił ją z uśmiechem.

Na swojej drodze zawsze spotykał ludzi tak zdesperowanych, że jego oferta wydawała im się błogosławieństwem wprost z boskich rąk, choć tak naprawdę zgoda na nią była równa oddaniu się w niewolę.

I tak moja mama i siostra przyjęły pracę, w której każda z nich dziennie miała zarabiać równowartość zaledwie ośmiu złotych na dzień.

Na przygotowanie się do podróży miały dwa dni. Nie potrzebowały więcej. Pokonanie trasy z Narayanavanam do okolic Pune w stanie Maharashtra zajmowało około osiemnastu godzin. Transport robotników zwerbowanych przez Daksha trwał jednak ponad dobę. Jechali kilkunastoosobowym, wypchanym po brzegi busem. Wszyscy z nadzieją, że u celu czeka ich ulga od problemów, które przyniosło im życie, a spotęgowała pandemia.

Wśród pasażerów busa było kilka kaszlących osób. Nikt nie zrobił im testów, ale niedługo po przyjeździe na miejsce choroba dopadła zarówno moją mamę, jak i Sarikę. Mama przechodziła ją naprawdę ciężko. Gorączka i osłabienie sprawiły, że przez pierwsze trzy dni kompletnie nie nadawała się do pracy, ale *mukhadam* nie chciał nawet o tym słyszeć.

– Nie przyjechałyście tu po to, by się wylegiwać! – wrzeszczał, gdy Sarika przysłała prosić o zwolnienie dla mamy.

– Ale ona nie jest w stanie nawet stać o własnych siłach... – łkała.

– To niech się zbierze albo nie zobaczycie pieniędzy!

– Proszę, my to wszystko odpracujemy.

– Niby jak? Zbiorów nie da się ani przyspieszyć, ani opóźnić. Nie będą czekały na to, aż twoja matka łaskawie pofatyguje się do pracy! – wściekał się, ale wkrótce spuścił z tonu. – Macie trzy dni. Ty idziesz do pracy, a matka ma wyzdrowieć. Jeśli nie, zapłacicie całą kwotę kontraktu i dług wobec agencji.

– Dług wobec agencji?

– A co ty myślisz? Twój braciszek wyjechał sobie zarabiać do Arabów, a długi po sobie zostawił. Musicie je teraz odpracować, bo z tego, co wiem, wypiął się i arabskich pieniędzy już nie przysyła! – kpił z odrazą.

Sarika nie chciała wierzyć jego słowom, ale postanowiła nie dopytywać, by nie zmienić zdania w sprawie matki. Wróciła do skleconego z tkanin

namiotu w obozowisku, w którym przyszło im zamieszkać, i natychmiast podzieliła się z nią dobrą nowiną. Mama ledwo żyła. Przeraziła kaszlała i wciąż miała wysoką gorączkę. W całym obozie było słycać dźwięki kaszlu i jęki w malignie. Wirus rozprzestrzeniał się w błyskawicznym tempie. Bez żadnych przeszkód. Trudno było tu o izolację, skoro wszyscy mieszkali w prowizorycznych namiotach, załatwiali się w wychodkach, którymi były wykopane w ziemi dziury przesłonięte za pomocą tkanin rozciągniętych na czterech patykach, i byli skazani na bliską koegzystencję. Wszyscy byli tu chorzy, różnili się tylko tym, że niektórzy przechodzili chorobę bezobjawowo, inni ocierali się o śmierć, po jeszcze innych ta przychodziła bezkompromisowo.

Sarika zacisnęła zęby i zaczęła ciężką pracę przy zbiorach trzciny. Ścinanie jej łodyg maczetą i układanie w snopki było zdecydowanie ponad jej siły, zwłaszcza że większość z tych roślin znacznie przewyższała jej wzrost, a złożonego snopka nie była w stanie podnieść. Ale robiła wszystko, by nadażać i nie dać *mukhadam* powodów do narzekania. Szczęśliwie trzy dni wystarczyły, by matka poczuła się lepiej. Oczywiście nadal była chora, nadal bardzo osłabiona, ale szczyt choroby wyraźnie miała już za sobą. Gorączka ustąpiła, a ona powoli wracała do żywych. Znacznie szybciej musiała wrócić do pracy.

Na tym nie skończyły się jednak ich kłopoty zdrowotne. Gdy minęły pierwsze trzy tygodnie na plantacji, Sarikę dopadły silne bóle brzucha. Matka początkowo była przekonana, że są one związane z miesiączką. Próbowwała pomóc córce – i gdy po pracy wracały do obozu, gotowała na palenisku wrzątek, a Sarika na nim siadała. Gorąca para miała rozluźnić jej mięśnie i przegonić ból, ale ta jedyna z dostępnych w obozie metod leczenia nie przyniosła rezultatu.

Sytuacja się odwróciła. Teraz to matka zmuszona była błagać o pomoc dla swojej córki. Tym razem *mukhadam* był równie nieprzejednany i okrutny.

– Najpierw matka, teraz córka! – rzucił z wściekłością.

– Nie proszę o wiele, tylko o pomoc lekarza. Może wystarczy, by ją zbadał i dał jakieś lekarstwo. Dziewczyna jest młoda, to na pewno nic poważnego.

– Lekarz kosztuje.

– Może pan to odliczyć od naszych zarobków, tylko proszę, błagam...

Mukhadam zdawał sobie sprawę, że kobieta z bolącym brzuchem to nie jest wydajny pracownik. Nie pierwszy raz się z tym spotykał, tak naprawdę ścieżka, jaką w takich sytuacjach podążał, była już dobrze wydeptana. Następnego dnia do obozowiska pracowników plantacji przyjechał lekarz, zbadał Sarikę, a także trzy inne kobiety i wszystkie zabrał do swojej prywatnej kliniki w Pune.

– Bądź dzielna, córeczko, i wracaj zdrowa – powiedziała na pożegnanie mama, gdy zalana łzami, odprowadzała ją wzrokiem.

W klinice przeprowadzono kolejne badania. W ciągu piętnastu minut wszystkie cztery kobiety usłyszały diagnozę. Tę samą.

– Obawiam się, że to rak – oznajmił doktor. – Dobrze, że znalazłaś się pod naszą opieką, bo szybko będziemy w stanie temu zaradzić.

Sarika nie znała się oczywiście na medycynie, ale doskonale wiedziała, że rak to potencjalnie śmiertelna choroba i tylko szybkie działanie może pomóc w jego wyleczeniu. Natychmiast też usłyszała pocieszające wieści:

– Jutro przeprowadzimy operację. Nie jest skomplikowana. Będziesz miała tylko niewielką pionową bliznę na podbrzuszu. Pozbędziemy się tego, co sprawia ci ból, i wkrótce będziesz zdrowa.

Kobiety, które przywieziono z plantacji, umówiono na zabiegi następnego dnia niemal taśmowo. Rozmawiały o tym, jak dziwnie się złożyło, że wszystkie cierpią na tę samą przypadłość, ale więcej w ich głosach było wdzięczności za to, że szybko znalazły się pod opieką, niż strachu.

Stół operacyjny stał w niemal pustym pokoju. Umieszczone pod sufitem luksfery praktycznie nie wpuszczały światła. Seledynowa lamperia dzieliła ściany na pół i była wątpliwą dekoracją. Nad stołem wisiała okrągła metalowa lampa przypominająca kształtem statek kosmiczny. Przynajmniej taki, jaki wyobrażano sobie w archiwalnych filmach o kosmitach. Dookoła na metalowych wózkach umieszczony był sprzęt do sedacji i narzędzia chirurgiczne. Wszystko, co wydawało się potrzebne do operacji, która miała uzdrowić Sarikę z raka.

Przywieziono ją na salę jako pierwszą. Na wózku inwalidzkim. Z drżącym sercem położyła się na stole, a kilka minut później otaczający ją świat zaczął powoli odpływać, aż całkiem zniknął...

A później zaczął wracać. Z chwili na chwilę z mgły wyłaniały się coraz wyraźniejsze kontury. Wraz z nimi pojawił się ból. Potworny ból. Wcale nie mniejszy niż wtedy, gdy przyjechała tu z rakiem. Zupełnie jakby wcale go

nie usunięto, jakby stał się jeszcze bardziej złośliwy, wściekły. Kąsał, wywołując spazmy.

Sarika się zorientowała, że jest w tym samym pokoju, w którym czekała przed operacją. Obok niej na łóżku leżała inna zoperowana dziewczyna. Była wciąż nieprzytomna. Kiedy w sali pojawiła się jakaś postać, moja siostra wymamrotała prośbę o coś, co uśmierzy jej ból.

– Po operacji musi boleć. Nie ma innego wyjścia – usłyszała. – Najważniejsze, że wszystko się udało. Ból w końcu zniknie. Młoda jesteś, wytrzymasz.

Nie miała innego wyjścia. I faktycznie z godziny na godzinę ból stawał się łatwiejszy do zniesienia. A może po prostu zdążyła się już do niego przyzwyczaić? Żyła nadzieją, że wkrótce wszystko się odmieni. Wprawdzie wciąż w perspektywie miała powrót do morderczej pracy na plantacji, ale przynajmniej będzie razem z mamą. Ta myśl trzymała ją w karchach. Nie mogła się już doczekać spotkania.

Do obozu wróciły wszystkie dwa dni później. Każda obolała, ale zadowolona, że pokonała chorobę.

– Szkoda mi was, dziecińcy – powiedziała do Sariki i jeszcze jednej równie młodej dziewczyny starsza kobieta z ich grupy. – My tu wszystkie mamy już dzieci, a wy nigdy nie zostanieie matkami.

Sarika była za młoda, by myśleć o własnych dzieciach, ale jak wiele dorastających dziewcząt marzyła o tym, że kiedyś będzie miała męża, że założy z nim rodzinę.

– Dlaczego nie? – zapytała, nie rozumiejąc, czemu miałyby nie mieć tej szansy.

– No bez macicy nie da się urodzić dziecka.

Moja siostra dalej nie rozumiała, co ta informacja ma wspólnego z nią. A gdy w końcu usłyszała, że z powodu rzekomego nowotworu przeszła operację hysterotomii, czyli usunięcia macicy, przez długi czas to do niej nie docierało.

W busie, który wiozł je z powrotem na plantację, zapanowało poruszenie. Nie tylko Sarika została zaskoczona informacją o tym, na czym tak naprawdę polegała jej operacja. Co więcej, kobieta, która wyjawiała im fakty, wcale nie wierzyła, że miały raka.

– To niemożliwe, żebyście wszystkie chorowały dokładnie na to samo i wszystkie potrzebowały takiego samego zabiegu – oznajmiła rzeczowo.

- Dlaczego więc to zrobili? – spytała Sarika.
- Bo teraz przestaniesz krwawić. Nie będziesz niezdarna do pracy. Nie będziesz się mogła skarżyć na ból.
- Ale nie będę mogła mieć już dzieci...
- Tym lepiej. Jeszcze bardziej przydasz się jako kosiarka trzciny.

Piętno związane z miesiączką jest w Indiach wciąż bardzo żywe. Kobietom menstruującym często odmawia się wstępu do świątyń, miejsc publicznych i do pracy. Społeczeństwo indyjskie uważa okres za nieczysty. Rodzice, sami niewykształceni, rzadko uświadamiają swoje córki w temacie cyklu menstruacyjnego, więc kiedy pojawia się pierwsza krew, młode kobiety ogarnia strach i niepokój. Z powodu złych warunków sanitarnych i braku dostępu do produktów higienicznych ponad dwadzieścia milionów indyjskich dziewcząt rocznie porzuca edukację po wystąpieniu miesiączki. Boją się też kpiny i ostracyzmu ze strony kolegów.

Poza wykluczeniem menstruacyjnym istnieje w Indiach jeszcze jeden poważny problem związany z miesiączkowaniem. Brak edukacji seksualnej, a także powszechne tabu, które uniemożliwia rozmowy na ten temat, sprawiają, że hysterotomia – operacja usunięcia macicy, skutkująca między innymi przedwczesną menopauzą – jest tu procedurą pożądaną i niestety często wymuszaną na kobietach.

Najczęściej jej ofiarą padają kobiety z niskich kast, które miesiączkując, są mniej wydajne w pracy, co w oczach ich pracodawców lub właścicieli jest wymierną stratą. Dużo bardziej opłacalne jest wyłączenie takiej kobiety na kilka dni, by raz na zawsze pozbyć się problemu.

Wynajęci lekarze często wmawiają niewydukowanym kobietom, że bóle towarzyszące menstruacji albo zakażeniom spowodowanym kiepskimi warunkami sanitarnymi są zagrażającym ich życiu nowotworem. Twierdzą, że żeby przeżyć, muszą poddać się operacji. Kto w takiej sytuacji powiedziałby „nie”?

Proceder ten jest złotym biznesem dla prywatnych, często nielicencjonowanych klinik, które często nie przestrzegają reżimu higienicznego i nie zaopatrują pacjentek w odpowiednie leki.

Kiedy trafiają do nich niepiśmienne wiejskie kobiety ze skurczami menstruacyjnymi i obfitym krwawieniem, lekarze nie dają im wyboru. Nie pozwalają im nawet skonsultować się z rodziną, nie mówią o przyczynie problemów ani o możliwościach leczenia. Opuszczając klinikę, często nie wiedzą

one nawet, czy usunięto im jajniki i macicę. Pozbawione narządów kończą w długach. Operacja kosztuje średnio około sześciuset dolarów. To dla większości fortuna pokrywana przez *mukhadam*, który staje się realnym właścicielem dłużniczki.

Trudno o wiarygodne całościowe dane na temat tego proceduru, ale organizacje walczące o prawa kobiet w Indiach szacują, że rocznie dotyczy on nawet stu tysięcy młodych dziewczyn i kobiet. W okresie zbiorów w regionie *sugar belt* sześć na dziesięć pracujących tam kobiet nie ma macicy lub macicy i jajników.

Powrót w objęcia matki był słodko-gorzki. Były szczęśliwe, że znowu są razem, ale gdy Sarika opowiedziała mamie, co się wydarzyło w klinice i jakie będą tego skutki, nie mogły powstrzymać łez.

– Najważniejsze, że jesteś już zdrowa i bezpieczna – orzekła w końcu nasza matka. – Lekarze wiedzą, co robią. A tych kobiet nie słuchaj. Skąd one mogą wiedzieć, na czym polegała operacja, przecież przy niej nie były. Lekarze nie pozbawiliby takiej młodej dziewczyny możliwości zostania matką. Na pewno by tego nie zrobili – pocieszała Sarikę, a ta chętnie uwierzyła w jej słowa.

Już następnego dnia obie wróciły do pracy. Do końca ich kontraktu pozostało jeszcze niespełna osiemnaście tygodni morderczego wyzysku. Odliczały dni. Niestety Sarika wcale nie wracała do formy. Przeciwnie – od czasu operacji była coraz słabsza. Miała zawroty głowy i szybko się męczyła. Wiedziała, że nie może dłużej być ciężarem dla mamy, której nie brakowało przecież innych problemów. Cały czas martwiła się też o mnie, zwłaszcza że nie dawałem znaku życia. I właśnie wtedy, mniej więcej w połowie wyroku, jakim okazał się kontrakt na plantacji trzciny, udało nam się wreszcie skontaktować.

Przez blisko trzy miesiące, od kiedy zamknięto nas w obozie, codziennie myślałem o tym, żeby zadzwonić do mamy. Nie miałem doładowanej karty i byłem w tej samej sytuacji co pozostali. Niektórym udało się skontaktować z rodzinami, zanim wyzerowali swoje konta, ale ja nie miałem tego szczęścia. Kiedy wreszcie nas wypuszczono, natychmiast doładowałem kartę.

Umierałem z tęsknoty i byłem przerażony myślą o tym, co musi przeżywać moja biedna mama, nie mając ani wiadomości, ani pieniędzy ode mnie. Sam też martwiłem się o nią i Sarikę. Kiedy wreszcie usłyszałem w słuchawce ich głos, przez pierwszą minutę nie mogliśmy wydusić ani słowa. Każde z nas zanosilo się od dławiącego płaczu.

Wciąż nie byłem w stanie przyznać się mamie do tego, jak potwornie zostałem oszukany, ale gdy dowiedziałem się o tym, że straciła pracę w fabryce i była zmuszona przyjąć kontrakt przy ścinaniu trzciny cukrowej, serce we mnie zamarło. Kiedy wspomniała, że w sprawę zaangażowana była ta sama agencja, która wysłała mnie do pracy, wiedziałem, że nie mówi mi całej prawdy.

Okłamywaliśmy się wzajemnie w trosce o siebie. To była jedyna szansa, by przetrwać i wciąż mieć nadzieję, że nasza pokiereszowana rodzina ma jeszcze przed sobą jakąś przyszłość. Gdybyśmy wiedzieli, jak jest naprawdę, niemal na pewno nie spotkalibyśmy się już na tym świecie. Zresztą w komplecie tak naprawdę nigdy już się nie spotkaliśmy...

Sarika też konsekwentnie ukrywała swoją tajemnicę do chwili, gdy nie było to już możliwe. Początkowo nikt nie zauważył, że moja siostra osunęła się na polu i nieprzytomna upadła w nieściętą jeszcze trzcinę. Kiedy wreszcie ją dostrzeżono, nie dawała już znaków życia. Zawołano matkę, ale ta, widząc ją bez świadomości, nie wiedziała, jak ją ratować. Mężczyźni przenieśli Sarikę na łąkę, nie dając matce nadziei, że zobaczy jeszcze córkę żywą.

I faktycznie nie było na to nadziei. Sarika zmarła bez szans na ratunek. Wkrótce się okazało, że rana po zabiegu jest niemal otwarta, nadgniła, a cały brzuch spuchnięty i siny. Chyba tylko cudem Sarika żyła z nią tak długo. Jej organizm walczył z zakażeniem, ale w końcu przegrał, poddał się. Moja siostra nie tylko straciła szansę na zostanie w przyszłości matką – w ogóle straciła przyszłość.

Poinformowany o zdarzeniu *mukhadam* zachował się w zaskakujący sposób.

– To ogromna tragedia. Tak bardzo współczuję – powiedział, widząc zrozpaczoną matkę, która bała się, że będzie miała kłopoty, bo opuściła bez pozwolenia miejsce pracy.

Z drugiej strony było jej już wszystko jedno. Gdyby nie fakt, że kilka dni wcześniej rozmawiała ze mną, prawdopodobnie wzięłaby ostrą maczetę do

ścinania trzciny i zakończyła swoje życie, kładąc się obok córki.

Mukhadam jeszcze tego samego dnia zorganizował stos, na którym spopielono ciało mojej siostry.

– Ta potworna choroba zabiera nawet młodych – skomentował z udawanym smutkiem, po czym wspaniałomyślnie zwrócił się do matki: – Możesz już dziś nie wracać do pracy.

Wiedziała, że covid nie miał nic wspólnego ze śmiercią Sariki, ale nie miała siły wdawać się z nim w dyskusje. Nie miała też wątpliwości, że błyskawiczny pogrzeb jest jedynie próbą pozbycia się ciała, choć pewnie i tak nikt nie dochodziłby w tej sprawie sprawiedliwości.

Zresztą nic już nie mogło zwrócić życia Sarice. Mimo że była jedną z wielu kobiet, które zmarły po nieprawidłowo przeprowadzonej, wymuszonej i zupełnie niepotrzebnej operacji usunięcia narządów rodnych, stała się tylko cyferką w statystykach dotyczących zgonów covidowych w Indiach. Choć nie ma pewności, czy w ogóle została w nich ujęta.

Opuszczona matka opłakiwała od tej pory córkę każdego dnia, starając się dotrwać do końca kontraktu. Gdy ten wreszcie nastąpił, przyszedł czas rozliczenia.

– Jesteś mi winna trzydzieści tysięcy rupii – powiedział *mukhadam*.

– Jak to? Przecież pracowałam... Ciężko pracowałam.

– Umówiliśmy się na pięćdziesiąt tysięcy za was dwie, ale musiałem właśnie tyle zapłacić lekarzowi, więc byliśmy na czysto. Przez ponad połowę kontraktu pracowałam sama, poza tym masz jeszcze dług z agencji, który za ciebie pokryłem...

– Ja nie mam pieniędzy.

– To już nie jest mój problem. Długi trzeba spłacać.

ROZDZIAŁ 16

Agenci

Słyszałem już kilka podobnych historii i za każdym razem budzą one we mnie nie tyle smutek, ile agresję. Nie mogę uwierzyć, że człowiek potrafi się zdobyć wobec drugiego człowieka na tak skrajny cynizm. Gdybym takiego dorwał... – zawsze wtedy myślę. Oczywiście wiem, że to tylko teoretyzowanie, ale naprawdę trudno mi się pogodzić z taką niesprawiedliwością, zwłaszcza że mam właśnie przed sobą jej ofiarę.

Ishan, opowiadając historię swojej mamy i siostry, bez przerwy płakał. Kiedy mówił o sobie, w jego głosie słychać było rozczarowanie, ale to, co zdarzyło się na plantacji trzciny cukrowej, całkowicie go rozklejało.

Mam poczucie, że nie mogę tak po prostu zakończyć tej znajomości. Nie mogę być kolejną osobą, która go wykorzystała. Usłyszałem, co przeżył, teraz to opiszę i nasze drogi się rozejdą...

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – pytam.

– Pójdiesz ze mną do tej agencji? – Patrzy na mnie z nadzieją. – Oni nie chcą ze mną rozmawiać, ale z dziennikarzem z zagranicy będą musieli.

Ishan zdecydowanie przecenia moje możliwości, zwłaszcza że mam już za sobą rozmowę z podobną agencją na Bali. Ona również rozszerzała swoją działalność o współpracę z wątpliwej reputacji przedsiębiorcami i nie przyniosło to żadnego efektu. Ale chłopak ma zupełnie inne spojrzenie. Jest przekonany o mocy zachodniej opinii publicznej po tym, jak niedługo przed rozpoczęciem mundialu podniesiono jego katarską pensję. Nadal była głodowa, ale w jego sytuacji dodatkowe siedemdziesiąt euro zmieniło na tyle dużo, że zdołał przywieźć do Indii całkiem pokaźne jak na tamtejsze warunki oszczędności – pięćset dolarów. Wierzy, że ja też mam taką moc. Jedno jest pewne: jeśli pójdziemy tam razem, na pewno niczego nie wskóramy.

- Co chcesz od nich wyciągnąć? – pytam.
- Chcę, żeby zwolnili moją mamę z długu.
- Nadal ją nękają?

– Tak. Twierdzą, że zgodziła się pojechać na kolejny kontrakt do zbiorów trzciny i że jest winna mnóstwo pieniędzy. Chciałem za nią zapłacić, ale nie pozwoliła mi. A ja nie chcę jej pozwolić na ten wyjazd. Obawiam się, że już by stamtąd nie wróciła.

Inaczej sobie wyobrażałem tę agencję. Sądząc po tysiącach ludzi, którzy się przez nią przewinęli, powinna mieć jakąś w miarę cywilizowaną siedzibę, ale może to tylko moje oczekiwania. W porównaniu z nią ta na Bali była jak ekskluzywne biuro w szklanym wieżowcu.

Patrząc na obity blachą barak. Szyba w witrynie chyba nigdy nie była myta, metalowe drzwi są połatane skrawkami blachy, a i tak miejscami dziurawe. Mam spore opory przed wejściem do środka, ale względy estetyczne to za mało, żebym się wycofał. W sumie cała ta otoczka doskonale wpasowuje się w działalność agencji. Jest równie paskudna.

Mój widok wyraźnie zwraca uwagę wszystkich trzech mężczyzn pracujących w tym miejscu. Ishan mówił, że obsługiwała go dziewczyna, ale albo już tu nie pracuje, albo tego dnia ma wolne.

To, że nie przyszedłem tu szukać pracy, jest jasne jak słońce. Mogę albo udawać, że się zgubiłem – co pewnie nie pozwoliłoby mi na zadawanie zbyt wielu pytań – albo jak wcześniej poprosić o pomoc w znalezieniu pracowników.

W sytuacjach stresowych myśleniem rządzą najprostsze skojarzenia. Ponieważ wielu ściąganych do Polski Hindusów pracuje jako kierowcy lub dostawcy jedzenia, na poczekaniu wymyślam, że potrzebuję ludzi do mojej sieci restauracji, która dowozi jedzenie mieszkańcom dużych miast. Jeśli będą pytać o szczegóły, powołam się na jakąś istniejącą, ale sądząc po kompletnym braku zainteresowania losem pracowników wysyłanych za granicę, pewnie nawet się o tym nie zająkną. W tej kwestii się nie pomyliłem.

- *How can I help you, my friend?* – słyszę od wejścia.
- Jestem zainteresowany współpracą – odpowiadam bez wahania. – Chciałbym się dowiedzieć, czy jesteście w stanie znaleźć mi pracowników. Pytają, co to za biznes i kogo potrzebuję.
- Mężczyźni, kobiety?

– Dowolnie.

– Do dostaw to raczej mężczyźni – wyrokuje chłopak, który zajął się moją sprawą. Jest chyba bardzo młody, bo nie udało mu się jeszcze wyhodować porządnego zarostu.

– Kobiety nie mogą dostarczać jedzenia? – pytam podchwytliwie.

– Kobiety lepiej niech je gotują. Potrzebujesz ludzi do gotowania? Idźmy na całość.

– Tak.

– To kobiety też ci załatwimy. Ile?

– Dziesięciu mężczyzn i pięć kobiet – rzucam bez zastanowienia.

– Dobrze, a od kiedy?

– Im szybciej, tym lepiej – szarżuję, ale chcę wyglądać na poważnego klienta.

– Chcesz na stałe czy na kontrakt?

– Co znaczy „na stałe”?

– Że zostaną z tobą na zawsze.

– W jakim sensie?

– No po prostu. Nie będą mogli wyjechać i będą u ciebie pracować na zawsze. Muszą wtedy robić wszystko, co chcesz, i nie mogą decydować. Jak będą chcieli przyjechać do Indii, będą potrzebować twojej zgody.

– Ale to jest niewolnictwo – zauważam.

– Nie, nie... – zaprzecza odruchowo chłopak.

– Jak to nie? Jak jeden człowiek decyduje o tym, kiedy drugi ma pracować czy dokąd ma pojechać, to jest to niewolnictwo.

– Nie, nie... Na Bliskim Wschodzie tak, w Europie nie. W Europie dostają obywatelstwo... Każdy tak chce.

Wtedy dociera do mnie pokrętnie myślenie pracownika agencji ewidentnie wynikające z jego doświadczeń z ludźmi, którzy wyjeżdżają za granicę. I jest w tym spory paradoks. Większość kontraktów na Bliskim Wschodzie faktycznie nosi znamiona niewolnictwa albo wprost nim jest – sami kandydaci często to zauważają, ale nie mając innego wyjścia, i tak się na to godzą. Niewolnictwo w Europie jest jednak dla nich czymś zupełnie innym. Choć większość ludzi, którzy dostali się do pracy w krajach europejskich, jest zatrudniona legalnie i bez łamania kontraktów, byłiby oni gotowi zostać niewolnikami, byleby dostać obywatelstwo w którymś z europejskich krajów.

– Nie potrzebuję niewolników, tylko pracowników – mówię stanowczo.

Chłopak wypytuje mnie jeszcze o kilka spraw formalnych, a ja kłamię jak z nut.

– Kiedy możesz wrócić? Będę miał gotowych ludzi na jutro. Chcesz ich zobaczyć?

To kolejny dowód na to, jak wielka desperacja rodzi się z biedy.

Umawiam się na spotkanie za kilka dni, tłumacząc, że mam jeszcze parę spraw, co wywołuje wyraźny popłoch u chłopaka.

– Byłeś w innej agencji? – pyta wprost.

– Nie, dlaczego?

– My mamy najlepsze ceny, damy ci rabat – zachęca, choć wcale się nie targuję.

Rozumiem, że pomiędzy agencjami pośrednictwa pracy i niewolnictwa istnieje spora konkurencja.

– A może konkurencja da mi większy? – Postanawiam jednak zagrać w tę grę.

– Nie, nie... To niebezpieczni ludzie. Jak się coś nie spodoba, wyjmują pistolet. My nawet nie mamy pistoletu – zapewnia z dziecięcą naiwnością.

Jego słowa sprawiają, że choć wcześniej tego nie planowałem, postanawiam udać się do konkurencji.

Ishan od razu wie, o kogo chodzi. Konkurencyjną agencję prowadzi żona zmarłego brata właściciela tej pierwszej. Robi się z tego całkiem wciągająca telenowela.

W drugiej agencji, znajdującej się zaledwie dwieście metrów od tej pierwszej, wyraźnie widać kobiecą rękę – jest równie skromna i mocno nadszarpnięta przez czas, ale są tu dekoracje ze sztucznych kwiatów i ogrom wielokolorowych tkanin.

Tym razem rozmawiam z młodą, ubraną w eleganckie sari dziewczyną, ale sama rozmowa przebiega bardzo podobnie. Umawiam się na identyczną liczbę pracowników, by uniknąć podejrzeń, gdyby agencje miały swoich wewnętrznych szpiegów.

Kiedy zanosi się na to, że nie dowiem się niczego o sporze pomiędzy obiema firmami, rzucam:

– Byłem wcześniej u waszej konkurencji. Oferowali mi rabat, bylebym tylko do was nie przyszedł...

Jestem z siebie dumny, że udało mi się ubrać moje prywatne śledztwo w formę zwyczajnych negocjacji z absolutnie akceptowalną w tej części świata próbą wyłudzenia zniżki. Otwieram tym samym puszkę Pandory, rozwiązując języki pracownikom przybytku.

– My też damy rabat. Nawet lepszy – obiecuje dziewczyna, podskakując w miejscu na wiadomość o ofercie konkurentów.

– Z nimi lepiej nie pracować, bo zawsze są jakieś kłopoty z dokumentami – dodaje jej siedząca obok koleżanka. – I ściągają nawet chorych ludzi. Niczego nie sprawdzają.

– A wy badacie pracowników? – pytam.

Nieco za długie wahanie wystarczy mi za odpowiedź, choć po chwili dziewczyny zgodnie zapewniają, że wszyscy pracownicy, zanim wyjadą, przechodzą badania.

Z opowieści swoich rozmówców wiem, że badania przeprowadzane przez handlarzy z reguły nie oznaczają dla nich niczego dobrego. Historia braci z książki *Dubaj krwią zbudowany* skończyła się dla nich utratą nerek, zaś badania Sariki pozbawiły ją narządów rodnych, a w konsekwencji życia. Może lepiej, by agencje faktycznie nie wchodziły w tematy medyczne.

– A dlaczego wy się tak nie lubicie? – zagaduję.

– Bo oszukują – pada wprost.

Po dłuższej rozmowie okazuje się jednak, że przyczyna jest zdecydowanie bardziej prozaiczna. A sprowadza się do dawnego sporu pomiędzy dwoma braćmi, którzy kiedyś prowadzili wspólny interes, a gdy się poróżnili, każdy poszedł w swoją stronę. Starszy zatrzymał firmę, młodszy założył nową, ale przejął sporą część klientów. Zmarł przedwcześnie, dlatego teraz agencję prowadzi jego żona. Ale mimo zmiany właściciela niechęć pomiędzy firmami pozostała.

Wiem już, co mają do powiedzenia hinduscy agenci, ale zanim wrócę na spotkania z moimi potencjalnymi pracownikami, postanawiam odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Proponuję Ishanowi, żebyśmy polecieeli do Pune i spróbowali odnaleźć pole trzciny cukrowej i obozowisko, w którym mieszkała jego matka z siostrą. Wiem, że to pewnie nie zmieni jego sytuacji, ale być może przynajmniej przyniesie mu ulgę. Każde wspomnienie o siostrze doprowadza go na skraj rozpacz. Może gdy

znajdzie się w miejscu, w którym wydała ostatnie tchnienie, zdoła przepracować swoją żalobę.

Nie udaje mi się zarezerwować bezpośredniego lotu, więc z lotniska w Tirupati najpierw musimy dolecieć do Hyderabadu, a tam przesiąść się na samolot do Pune. Zajmuje nam to niespełna pół dnia, ale mam wrażenie, że jesteśmy w podróży o wiele dłużej.

Na lotnisku wynajmujemy taksówkę, która w ciągu kolejnych czterdziestu minut zawozi nas na miejsce. Urzeka mnie jego malowniczość. Kolor zieleni na plantacjach trzciny cukrowej jest absolutnie zachwycający i chyba niepowtarzalny nigdzie indziej. Mój entuzjazm nie trwa jednak długo.

Do obozowiska docieramy krótko przed południem. Wygląda na zupełnie opuszczone, jakby nikt w nim nie mieszkał, ale oczywiście jest to spowodowane tym, że o tej porze wszyscy są w polu. Bez ludzi to miejsce wygląda jeszcze posępniej. Kiedy wcześniej Ishan mówił o namiotach, byłem przekonany, że faktycznie mieszkali w czymś na ich kształt. Ale to, co widzę, to ledwo trzymające się pionu konstrukcje z fragmentów drzew, bo trudno je nazwać deskami czy żerdziami. Nie są w żaden sposób obrobione, po prostu znalezione, przytachane i zatknięte w ziemię. Kilka takich obleczonych tkaniną, czasami fragmentem folii albo zdobyczej blachy, stanowi miejsce do spania dla minimum dwóch osób.

Wszystko tu wygląda tak, jakby obóz powstał na bezludnej wyspie, gdzie rozbitkowie próbują zorganizować sobie życie z tego, co znaleźli. I w sumie tak jest. Swoiste wizytówki każdego „domostwa” stanowią tutaj paleniska. Znajdują się przed każdym szałasem i są jednocześnie jego kuchnią.

Pierwszą osobą, jaką spotykamy w tym miejscu, jest na oko pięćdziesięcioletnia kobieta. Początkowo nie chce z nami rozmawiać, wygląda na spłoszoną, ale po krótkiej rozmowie, której Ishan nie tłumaczy, wyraźnie zmienia nastawienie. Okazuje się, że na plantacji trzciny cukrowej pracuje w sezonie, od kiedy skończyła trzynaście lat – teraz ma dwadzieścia osiem. A więc sporo się pomyliłem. Ma na imię Raiya i poza życiem w *sugar belt* w zasadzie nie zna żadnego innego. *Mukhadam* Daksh kupił ją od jej rodziców, gdy się okazało, że nie ma chętnego, by ją poślubić, a ojciec nie chciał jej dłużej utrzymywać.

– Przecież poszłaś do pracy – wtrącam, zirytowany informacją o kolejnej dziewczynie sprzedanej obcemu człowiekowi w nastoletnim wieku.

Nigdy się z tym nie pogodzę.

– Zarabiałam dla *mukhadam*.

– Mogłaś pracować na utrzymanie rodziny.

– Mój ojciec dostał dobrą cenę, a *mukhadam* nie chciał mnie zatrudnić, jeśli ojciec mnie nie sprzeda. Powiedział, że z takimi młodymi dziewczynami jak ja są same kłopoty.

– I dlatego chciał cię kupić?

– Tłumaczył, że jak mnie kupi, będzie mógł mnie sobie ułożyć.

– A ułożył?

– Na początku bił, ale później, jak już wiedziałam, jak pracować, to nie...

– I teraz nadal do niego należysz?

– Teraz do jego syna. *Mukhadam* Daksh umarł. Dwa lata już będzie. Mówią, że covid.

Przynajmniej tyle w tym wszystkim sprawiedliwości, choć wolałbym, żeby śmierć handlarza trzcina i ludźmi oznaczała dla Raiyi wolność.

– A jego syn dobrze was tu traktuje?

Dziewczyna spuszcza głowę i mówi tylko ciche „tak”, które wiem, że znaczy coś dokładnie przeciwnego. Wyraźnie boi się powiedzieć na głos cokolwiek złego o nowym właścicielu, co wcale nie świadczy o nim najlepiej.

Wkrótce w obozie zaczynają się pojawiać kolejne osoby, ale niestety wraz z nimi także strażnicy. Mają godzinną przerwę, ale wypuszczani są na nią tylko nieliczni. Trudno się domyślić, według jakiego klucza są wybierani, ale najprawdopodobniej chodzi o to, by mała grupa przyniosła reszcie jedzenie. Spędzanie z pola wszystkich jest operacją znacznie trudniejszą dla strażników.

Wraz z ich pojawieniem się w obozie pojawiają się też problemy. O ile Ishan nie ma kłopotów z ewentualnym wmieszeniem się w tłum, by przynajmniej przez jakiś czas pozostać anonimowym, o tyle ja nie mam na to najmniejszych szans.

– Co tu robicie? – pyta wysoki chudy chłopak w piaskowym, paramilitarnym mundurze z karabinem przewieszonym przez ramię.

– Zwiedzamy – mówi natychmiast Ishan. – Oprowadzam turystę po różnych miejscach w Indiach. Chciał zobaczyć plantację trzciny cukrowej.

Mężczyzna mierzy nas obu wzrokiem przez dłuższą chwilę, jakby się zastanawiał, co powinien zrobić.

– Żadnych zdjęć, żadnych rozmów – warczy w końcu i każe nam odejść. Już mam nadzieję, że uda nam się wyjść z tego bez strat, gdy nagle zmienia zdanie.

– Macie telefony? Pokażcie.

Ishan szybko wyciąga swój.

– Odblokuj, pokaż zdjęcia.

Strażnik bierze komórkę do ręki i przez chwilę przegląda jej zawartość, po czym mu oddaje. Liczę, że tak samo będzie z moim telefonem. Nie mam zbyt wielu zdjęć, nie nawykłem fotografować wszystkiego, co widzę, bo w dzisiejszych czasach w internecie można znaleźć zdjęcia z dosłownie każdego zakątka świata zrobione przez ludzi znacznie bardziej utalentowanych ode mnie. Są tu jednak zdjęcia obozu, który właśnie zobaczyłem. To dla mnie tak niewiarygodny widok, że musiałem go uwiecznić. Właśnie te zdjęcia oraz bez wątpienia fakt, że facet połasił się na nowego iPhone'a, sprawiają, że go tracę.

– Niedozwolone – rzuca i wyraźnie nie zamierza mi go oddać.

– Nie możesz mi zabrać telefonu, mam tam wszystko – próbuję negocjować, ale chłopak zdejmuje z ramienia karabin, co oznacza, że nie ma tu miejsca na dyskusje.

Kiedy odchodzimy kilka kroków, słyszymy strzały. Obaj jesteśmy cali. Odwracam się odruchowo. Mężczyzna, który przed chwilą zabrał mi telefon, stoi z karabinem uniesionym w rewolucyjnym geście. Świątuje zdobycz albo próbuje nas dodatkowo wystraszyć. Wiemy, że nie ma sensu ryzykować i zostawać tu dłużej, ale okazuje się, że to nie koniec opowieści z plantacji trzciny cukrowej.

Taksówkarz, który wioził nas do Pune, przewidział, że prawdopodobnie długo w nim nie zabawimy, i czeka, by zabrać nas w drogę powrotną. Wychował się w stanie Maharashtra i dobrze wie, czym rządzi się tutejszy biznes cukrowy.

– Cukier jest zbyt tani, by płacić ludziom za jego produkcję – mówi, gdy wspominam o niewolnikach z pól. – Tu prawie nikt tak naprawdę nie dostaje pieniędzy. Jeśli ludzie zarabiają, to jakieś grosze.

– I godzą się na to?

– Nie mają wyjścia. Słyszałem te strzały. Domyśliłem się, że chodziło o was. Chcieli was przestraszyć. Ale myślisz, że ci z obozu jeszcze na nie reagują? Słyszą je codziennie. I niektóre nie są tylko ostrzeżeniem.

– A czym?

Taksówkarz milczy przez chwilę.

– Wiesz, jak masz dużo kóz w stadzie, to możesz je dyscyplinować, ale do czasu. Jak nie słuchają, trzeba zadziałać nieco drastyczniej.

Czuję, że chłopak obchodzi temat.

– Strzelają do ludzi?

– Tak, z reguły do tych, którzy chcą uciekać. Czasami skracają też mękę chorym.

– Mówisz, jakby to był akt miłosierdzia.

– Ci, którzy pracują na plantacjach, wiedzą, że nie są traktowani jak ludzie, i nawet na to nie liczą. Godzą się na swój los. Trochę jak zwierzęta rzeźne. Śmierć też nie robi na nich wrażenia.

– Ale to jest praca sezonowa. Po co tu wracają?

– Jedni nie znają innego życia, inni nie mają wyjścia. *Mukhadam* mają takie metody, że jak raz się pojawisz na plantacji, to prawdopodobnie będziesz na niej pracował co roku już do końca swoich dni.

Ishan wtrąca się do rozmowy:

– Moja mama właśnie w ten sposób została złapana. Po prawie pięciu miesiącach pracy okazało się, że nie tylko niczego nie zarobiła, ale dodatkowo ma spory dług. Wszystkie pieniądze, jakie miałem, poszły na wykupienie jej od handlarzy, a i to nie wystarczyło. Dla nich same kwoty nie mają znaczenia. Tu chodzi o to, by mieć ludzi w garści. Długi spłacają nie wtedy, gdy oddadzą pieniądze, tylko wtedy, gdy ich wierzyciele zgodzą się zwolnić ich z niewoli.

Wiem już, na co Ishan wydał pieniądze, które udało mu się cudem zaoszczędzić w Katarze. Miałem nadzieję, że faktycznie będzie mógł wrócić na studia i że w przyszłości zostanie inżynierem. Ma dopiero dwadzieścia jeden lat, wszystko przed nim. Ale sądząc po tym, jak wygląda życie większości ludzi z niskich kast w Indiach, istnieje spore ryzyko, że znowu wpadnie w pułapkę zastawioną przez tych, którzy nie widzą najmniejszego problemu w zniewalaniu i sprzedawaniu ludzi.

Z taksówkarzem łączy go jedna bardzo smutna historia. Obaj na plantacjach stracili swoje siostry.

– Była jeszcze dzieckiem, a oni kazali jej ciąć maczetą jak dorosłym mężczyznom – wspomina kierowca. – Na początku ledwo potrafiła ją unieść, z czasem nabrała krzepy, ale to nie wystarczyło. Nikt nie zauważył,

jak któregoś dnia skaleczyła się tak niefortunnie, że przecięła tętnicę. Krew wylała się z niej wartkim strumieniem, a gdy ją znaleziono, nie było jej już wśród żywych. Wtedy postanowiłem, że nigdy nie będę ścinał trzciny. Próbowali mnie straszyć, nawet mnie ścigali, ale w końcu odpuścili.

– I nie bałeś się tam z nami dziś pojechać? – dziwię się.

– Zawsze jest jakiś strach, ale muszę zarabiać. Wierz mi, zawiezenie tam was jest zdecydowanie mniej niebezpieczne niż choćby jeden dzień spędzony na plantacji trzciny. Gdyby tylko ludzie na całym świecie wiedzieli, co wsypują do swojej kawy czy herbaty. Ile cierpienia...

ROZDZIAŁ 17

Rekrutacja

Konfiskata telefonu znacznie utrudnia mi życie do końca podróży, ale szczerze mówiąc, nie mam poczucia wielkiej straty. Kilka dni w miejscu, w którym kwota wydana na ten telefon byłaby w stanie utrzymać kilkusobową rodzinę przez dwa lata, całkowicie zmieniło moją optykę. Historie, które do tej pory opisywałem, zawsze poruszały mnie do głębi, niekiedy tak bardzo, że nie byłem w stanie ich spisywać, ale dopiero teraz, gdy dotknąłem ich własnymi dłońmi, gdy spotkałem tych ludzi, czuję, jak niewyobrażalny jest to problem.

A później przychodzi bezsilność, bo choćbym nie wiem jak się starał, nie będę w stanie oddać sprawiedliwie tego, co przeżywają ludzie będący towarem. W dodatku z braku innego wyjścia pchającym się „na półkę”.

Wracam do agencji, która wysłała Ishana do Kataru i która praktycznie sprzedała jego matkę na plantację trzciny, w dniu, w którym mam się spotkać ze swoimi potencjalnymi pracownikami. To mój ostatni dzień przed wylotem do New Delhi, a później z powrotem do domu. I chyba najdziwniejszy od czasu przylotu.

Pierwszą osobą, którą spotykam, była Bibi. W aplikacji twierdziła, że ma trzydzieści lat, i może faktycznie tyle ma, choć siedząca przede mną kobieta wygląda tak, że z powodzeniem mogłaby być moją matką. Chłopak z agencji miał pełnić funkcję tłumacza, ale nie wywiązuje się z niej zbyt dobrze, bo co chwilę wdaje się z kobietą w dyskusje, których nie tłumaczy. Kiedy pytam, co powiedziała, mówi, że nic ważnego i że jest szalona. W końcu muszę zainterweniować.

– Jeśli nie będziesz tłumaczył wszystkiego, to to nie ma sensu. Będę musiał pójść do konkurencji – rzucam.

Działa jak magiczne zaklęcie.

Bibi faktycznie zdaje się nie do końca rozumieć, co oznacza rekrutacja, bo z jakichś powodów wierzy, że jestem w stanie sprowadzić do domu jej męża – choć taka obietnica nigdy nie padła z moich ust. Nie przyjmuje do wiadomości mojego zaprzeczania. Płacze i błaga.

– Ona chyba nie stara się o pracę – mówię w końcu do agenta.

– Stara się, aplikowała.

– Ale ciągle mówi o swoim mężu... Co się z nim stało?

– Nie wrócił z Arabii Saudyjskiej, a ona wciąż na niego czeka. Nie ma dnia, żeby nie zawracała nam tym głowy.

– Wy go tam wysłaliście? – dociekam, widząc w tym doskonałą okazję, by skierować naszą rozmowę na znacznie bardziej interesujące tory.

– Tak – odpowiada chłopak.

– I nie bierzecie żadnej odpowiedzialności za to, że zaginął? – pytam kategorycznym tonem.

– Przecież to nie nasza sprawa, to kontraktor w Arabii Saudyjskiej.

– Wy go tam wysłaliście. Ta kobieta ma rację, że przychodzi z tym do was. Gdzie indziej ma pójść? – Zapominam na chwilę, kogo tu udaję, i wchodzę w rolę adwokata pokrzywdzonej, co mocno dziwi chłopaka.

Wątpię, by się domyślał, że blefuję w kwestii rekrutacji, ale jest wyraźnie zaskoczony moją reakcją. Raczej nie widział tu jeszcze nikogo, kto przejmowałby się losem jakiegoś przypadkowego, nigdy wcześniej niespotkanego człowieka, który jak wielu innych nie wrócił z Arabii Saudyjskiej.

– I nie wiecie, co się z nim stało? – dopytuję poirytowany, wciąż siedząc naprzeciwko kobiety.

– Nie wiemy. Może miał jakiś wypadek. Może zginął w pracy – mówi chłopak z takim lekceważeniem, jakby opowiadał treść miernego filmu.

– A jeśli ja też zatrudnię ludzi, którym coś się przytrafi? – pytam, nadal nie wychodząc z wymyślonej roli.

Na to mój rozmówca nie umie odpowiedzieć, ale też nie mam wątpliwości, że kompletnie mu na tym nie zależy. Tak jak na tych ludziach. Liczy się tylko zarobek.

Bibi odchodzi z kwitkiem. Wiem, że nie po pracę tu przyszła, a to, czego oczekiwała – współczucie i pomoc – nie figuruje w ofercie agencji.

Kolejny na liście do zatrudnienia jest Raj. Mógłbym się założyć, że ma najwyżej szesnaście lat, ale twierdzi, że dwadzieścia dwa. Całkiem nieźle

porozumiewa się po angielsku.

– Co byś chciał robić w życiu? – pytam.

– Co trzeba... w czym jest praca – odpowiada zaskoczony.

Indyjskich dzieci z niskich kast nikt nie pyta o to, kim chcą zostać, jak dorosną, bo po pierwsze dorastają długo po tym, jak rozpoczną pracę, a po drugie ich marzenia nie mają w tej kwestii żadnego znaczenia. O pracy się nie marzy, pracę się wykonuje, by przeżyć.

– A gdybyś mógł wybrać? – dopytuję, bo chciałbym, żeby zdał sobie sprawę, że gdzieś w głębi, mocno skrywane drzemią w nim marzenia.

– Chciałbym zostać kierowcą rajdowym – mówi cicho, a zaraz potem, jakby się bał, że mógłbym to marzenie przez przypadek spełnić, dodaje: – Ale i tak nie mam prawa jazdy.

Na te słowa mężczyzna z agencji wstaje i zaczyna wrzeszczeć coś po hindusku. Krzyczy na skulonego chłopaka w amoku, zupełnie nie zważając na to, że nie rozumiem z tego ani słowa.

– O co chodzi? – pytam, gdy trochę się uspokaja.

– Ten debil nie ma prawa jazdy, a przecież jest wyraźnie napisane, że klient szuka kierowcy. Jak ma pracować jako kierowca bez prawa jazdy?

– Prawo jazdy można zrobić – mówię.

– A kto za to zapłaci?

– Ja, jeśli będzie trzeba.

Chwilę potem zostajemy sami. Raj wychodzi, a ja coraz bardziej załamuję, że to wszystko, co robię, jest tylko mistyfikacją. Brnę w nią jednak, nadal mając nadzieję na ujawnienie sposobu myślenia ludzi, którzy kompletnie zgubili swoje człowieczeństwo. Nie zdaję sobie sprawy, że finalny akt tego przedstawienia właśnie się zaczyna...

– Nie macie chyba zamiaru brać pieniędzy od ludzi, których zatrudnię? – pytam.

– Muszą zapłacić – odpowiada chłopak stanowczo.

– Ile?

– Dwie przyszłe pensje.

– Ale za możliwość podjęcia pracy nie powinno się płacić...

Ten komentarz wyraźnie przelewa czarę goryczy. Chłopak traci cierpliwość do moich uwag, a jego twarz przybiera groźny wyraz.

– Musisz skończyć z tymi komentarzami, bo to niegrzeczne.

Rozbawia mnie takim doborem słów. Wytykanie komuś łamania praw człowieka jest... niegrzeczne?

– Wy tam, w tej waszej Europie, wymyśliliście sobie jakieś prawa i to są wasze prawa, a te są nasze i koniec. Jak nie chcesz, to nie musisz zatrudniać naszych ludzi. – To mówiąc, wyciąga z szuflady pistolet i kładzie go na biurku.

Nie mam wątpliwości, że ten gest ma bardzo istotne i klarowne przesłanie.

– Możemy zatem zakończyć współpracę – mówię. – Nikt nie będzie mnie próbował zastraszać. Wystarczy, że straszycie tych biednych ludzi.

Adrenalina w moich żyłach robi swoje. Po raz drugi w ciągu dwóch dni ktoś straszy mnie bronią tylko dlatego, że zadaję pytania o prawa człowieka. To wyraźny sygnał, że ludzie zajmujący się handlem żywym towarem są gotowi się przed tymi prawami stanowczo bronić.

Kiedy wkopałem się w tę fikcyjną rekrutację, zastanawiałem się, jak się z niej wyplątać, ale najwyraźniej problem rozwiązał się sam. Moja współpraca z agencją kończy się równie gwałtownie, jak się zaczęła.

Mam wrażenie, że zawiodłem pokładane we mnie przez Ishana nadzieje na to, że w jakiś sposób uda mi się ukrócić działalność agencji, która swoją chciwością i brakiem przyzwoitości rozerwała na strzępy jego rodzinę, zdeptała jego szanse na godną przyszłość.

On jednak zdaje się być innego zdania. Cieszy się, bo wreszcie ktoś im powiedział, że krzywdzą ludzi. Tak naprawdę jednak, choć te słowa faktycznie padły z moich ust, nikt ich nie usłyszał. Minęły uszy i sumienia tych, do których były skierowane. Ale jest w tej historii jeden pozytywny aspekt. Jak wszystko dobrze pójdzie, jeszcze się z Ishanem spotkamy. Udało mu się pozytywnie przejść rekrutację do polskiej firmy kurierskiej i ominąwszy wszelkich indyjskich pośredników, jest w trakcie załatwiania formalności, które pozwolą mu na pracę w Polsce. Kto wie, może za kilka lat to w naszym kraju odbierze dyplom inżyniera i spełni marzenia swoje i swojego taty.

ROZDZIAŁ 18

Aldo

Do Polski wracam przez Dubaj. Tym razem tylko z międzylądowaniem z kilkoma godzinami przerwy pomiędzy lotami. Za mało, by ruszyć w miasto, ale wystarczająco, by rozejrzeć się po dobrze mi znanym lotnisku. Tym razem szczególną uwagę zwracam na robotników jadących do pracy. Widywałem ich już tu wielokrotnie, ale nigdy tak świadomie się im nie przyglądałem.

Przy jednej z bramek jest ich naprawdę wielu. Czekają na lot transferowy do Tabuk w Arabii Saudyjskiej. Zmęczeni podróżą, zajęli całą poczekalnię pod gate'em, rozkładając się na siedzeniach i wykładzinach. Miejsce zaczyna przypominać nieco schronisko dla bezdomnych, a takie widoki w Dubaju zdecydowanie nie są pożądane.

Snuję się, zabijając czas, gdy nagle przy bramce pojawia się kilku umundurowanych funkcjonariuszy. Natychmiast stawiają na nogi pogrążonych w letargu mężczyzn. Nie jestem w stanie zrozumieć komend, jakie wydają, ale sądząc po ich efekcie, nietrudno się domyślić ich brzmienia. W krótkim czasie wszyscy robotnicy siadają w rzędach na siedzeniach z nogami przytwierdzonymi do ziemi, z głowami skierowanymi ku górze. Nie ma mowy o wylegiwaniu się i robieniu z dumnego dubajskiego lotniska noclegowni dla biedoty.

Pod gate'em tuż obok niektórzy biali turyści czekający na swoje loty również z nudów polegają na podłodze lub zajmują kilka siedzeń, by rozprostować kości. Ci jednak nie zwracają uwagi ochrony lotniska. Chciałbym wierzyć, że to niedopatrzenie, ale wiem, że tak nie jest.

Lotnisko w Dubaju to prawdziwa mieszanka kulturowa, w sumie jak większość dużych portów przesiadkowych, ale tylko w tej części globu spotykają się ludzie z tak skrajnie różnych światów – od tego, w którym

pieniądze nie stanowią najmniejszego problemu, po ten, w którym są problemem nieustannie.

Wśród nacji, które miałem okazję poznać na Bliskim Wschodzie, zawsze najbardziej otwarci wydawali mi się Filipińczycy. Nie wiem, czy to długi czas oczekiwania, czy po prostu osobowość skłania ich do rozmów z obcymi ludźmi, a może po prostu ktoś czuwa nad powstaniem tej książki, bo tak się składa, że Filipinka, którą poznałem w lotniskowej kawiarni, ma w poruszonym przeze mnie temacie sporo do dodania, a jej słowa staną się swoistą kłamrą tej opowieści.

Jenny – tak się przedstawia – leci do Manili w rozdzierającym serce momencie, choć trudno to poznać po jej szerokim uśmiechu. Ten ani trochę nie zdradza, z czym mierzy się jej serce. Niska, korpulentna, ujmująca ciepłą osobowością. Wyraźnie ma ochotę na rozmowę, jakby to, co ją trapi, chciała oddać komuś obcemu, zostawić za sobą. To się nie uda, ale trafiła na doskonałego słuchacza.

Nigdy bym nie zgadł, że ma czterdzieści lat; w Dubaju mieszka blisko od dwudziestu. Przyjechała w czasach, gdy moda na Dubaj dopiero się zaczynała, a zachodni świat powoli dowiadywał się o jego istnieniu. W czasie, gdy za sprawą dekretu emira uwolniono rynek nieruchomości, co sprawiło, że coraz więcej ludzi zaczynało w niego inwestować, coraz więcej potrzebnych też było do tego, by te nieruchomości budować. Miasto wcisnęło pedał gazu, a jego rozwój ruszył z zawrotną prędkością.

Jestem pielęgniarką. Wszystkie dziewczyny, z którymi pracowałam w Manili, wyjechały do Dubaju. To w tamtym czasie wydawało się oczywiste. Nikt nie chciał zostać, każdy pragnął jechać do miejsca, w którym marzenia spełniają się zaraz po przylocie, a pieniądze leżą na ulicy. Wystarczy się po nie schylić.

Brat mojej koleżanki ze szpitala, w którym pracowałam, zajął się załatwianiem pracy w Dubaju. Założył coś w rodzaju biura podróży, bo raczej nie była to agencja pośrednictwa pracy. O tę same musiałyśmy zabiegać, ale on wskazywał nam, gdzie wysłać aplikacje, a później pomagał załatwić bilety. Nie nazwałabym go handlarzem ludźmi. Nie czerpał z nas zysków, nie zniewalał. Pośredniczył, pomagał, brał za to niewielkie opłaty,

nic, co mogłoby nas wpędzić w długi lub zmuszać do wyrzeczeń. Może po prostu był dobrym człowiekiem, a może to nie były jeszcze czasy, w których handlarze odkryli, jak wielki majątek można zbić na przetrzucaniu ludzi do pracy w krajach arabskich.

Zapotrzebowanie na nas było tak ogromne, że bardzo szybko dostałam odpowiedź. Nie wiem, czy od momentu złożenia aplikacji do chwili, gdy wylądowałam w Dubaju, minęło więcej niż dwa tygodnie. To było bardzo nagłe, szybkie, ale czułam, że to ogromna szansa.

Dostałam pracę w klinice, która robiła badania przyjeżdżającym do kraju robotnikom. Pobieraliśmy im krew, robiliśmy prześwietlenia klatki piersiowej. Pamiętam, jak z tygodnia na tydzień w klinice pojawiała się ich coraz więcej. Początkowo przywożono ich pojedynczo, później małymi busami, a z czasem podjeżdżały wylądowane po brzegi autokary i konieczne było wprowadzenie rejestracji grup. To był znak, że imigracja zarobkowa w Dubaju osiągnęła naprawdę potężne rozmiary. A wraz z nią pojawili się ludzie, którzy na niej zarabiali.

Mimo że sama nie miałam złych doświadczeń z przyjazdem do Dubaju, nikt nie sprzedał mnie do niewoli, szybko się zorientowałam, że ludzie, których codziennie obsługuję, pobieram im krew lub wydaję wyniki badań, nie mieli tyle szczęścia i są de facto niewolnikami. Widziałam, jak wielu z nich jest chorych. Spora część wyników morfologii była naprawdę zatrważająca. W zasadzie wymagała natychmiastowej interwencji lekarza, ale jak nietrudno się domyślić, jedyną interwencją w takich przypadkach była deportacja.

Zdarzało się, że z całego autobusu robotników zostawało trzech, może czterech mężczyzn, którzy kwalifikowali się do pracy. Reszta zgodnie z prawem wracała do swojego kraju. To dla handlarzy tanią siłą roboczą stanowiło potężny problem i wkrótce pojawiły się pierwsze tego skutki.

Mieszkałam w Dubaju już od jakichś dwóch, może trzech lat, kiedy po raz pierwszy próbowano wywrzeć na mnie nacisk. To była typowa metoda kija i marchewki. Pewnego dnia po prostu porwano mnie spod kliniki po skończonej pracy. Moi porywacze próbowali wywrzeć wrażenie, że wcale nie zabrali mnie z ulicy siłą, zawieźli mnie do restauracji i złożyli propozycję, która wydawała się nie do odrzucenia. Miałam zarabiać dodatkową pensję tylko za to, że wyniki badań ludzi przywożonych przez tę

konkretną, zupełnie oficjalnie działającą w Dubaju do dziś firmę będą spełniały normy wymagane przez władze.

– To byłoby fałszerstwo, nie mogę – powiedziałam. – Poza tym ja tylko pobieram krew, a potem wprowadzam dane do komputera i wydaję wyniki. Nie przeprowadzam badań w laboratorium.

– Doskonale, chodzi właśnie o dane. O to, żeby były wprowadzone właściwe – nalegał jeden z dwóch mężczyzn, którzy próbowali na mnie wpłynąć.

– Zawsze wprowadzam właściwe – odpowiedziałam krnąbrnie, udając, że nie wiem, o co im chodzi.

– Nasi ludzie mają być zdrowi – rzucił drugi tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Oni doskonale znali ten system. Wiedzieli, że są przynajmniej trzy momenty, w których byłabym w stanie wpłynąć na wyniki badań. Na początku podmieniając próbki, co jednak wymagałoby największej logistyki, później wprowadzając dane do komputera, co z kolei było najłatwiejsze do sfalszowania, w końcu wydając wyniki badań, co kończyło się zatwierdzeniem lub odrzuceniem aplikanta w systemie. Wtedy jeszcze system był na tyle niedoskonały, że teoretycznie pozwalał na zaakceptowanie osoby, której wyniki nie dawały szansy na przeżycie kolejnej godziny.

Czułam, że nie zdołam udawać przed nimi, jak mało ode mnie zależy. Nie miałam żadnej formalnej władzy, a jednocześnie miałam ogromną. To ode mnie zależało, czy ludzie, którzy przyjechali do Dubaju, by zarobić na życie, będą mieli na to szansę, czy też będą musieli wrócić do swoich krajów, gdzie mimo poważnych chorób uniemożliwiających im pracę będą musieli zmierzyć się z długami i znajdą się w punkcie wyjścia.

– Możesz im pomóc – próbowali innej, znacznie skuteczniejszej strategii.

Oczywiście wiedziałam, że ci mężczyźni wcale nie mają na myśli pomagania biednym robotnikom, a jedynie chcą uniknąć coraz bardziej bolesnych kosztów odsyłania ich do krajów pochodzenia, ale niezaprzeczalnym faktem było, że na tym procederze korzystali również sami pracownicy.

Zgodziłam się.

Umówiłam się z nimi tak, że naprawdę chorzy, których wyniki dyskwalifikują do pracy w trudnych warunkach, dalej będą odsyłani.

Akceptowanie wszystkich mogłoby być podejrzane, a ja miałam nadzieję, że ci chorzy dostaną sygnał, by zadbać o swoje zdrowie. Może w ten sposób będą mieli szansę na przeżycie. Reszta, zwłaszcza ci, których wyniki były kiepskie, ale niezagrażające bezpośrednio życiu, mieli zostać.

Wpisując liczby do systemu, poprawiałam wyniki badań. Wiedziałam, że inne dziewczyny też to robią, ale nigdy żadna z nas oficjalnie się z tym nie ujawniła. Nigdy też o tym nie rozmawiałyśmy. Milczałyśmy jak zakłète, ale chyba żadna nie miała poczucia, że robi coś naprawdę złego. Do dziś tak nie myślę. Wręcz przeciwnie, to był dla wielu tych ludzi pierwszy raz w życiu, kiedy ktoś poszedł im na rękę, zrobił coś dla nich, przymknął oko. Owszem, to utrzymywało ich w niewoli, oznaczało morderczą pracę na licznych budowach w Dubaju, ale skoro już się tu znaleźli, nagły powrót tylko pogorszyłby ich sytuację.

Nikt nigdy się w tym nie połapał. Nikomu też zbytnio nie zależało, by to kontrolować, bo Dubaj potrzebował rąk do pracy, badania zaś miały jedynie zagwarantować, że będą to ręce zdrowe, a nie wyciągnięte po zdecydowanie lepszą niż w biednych krajach opiekę medyczną.

Nie miałam pojęcia, że jedną z osób, której pobierałam krew, może nawet wprowadzałam jej badania do komputera, ba, może nawet je sfałszowałam, był Aldo. Nie pamiętałam go, on jednak zapamiętał mnie bardzo dobrze. Naprawdę poznaliśmy się dopiero trzy lata po naszym pierwszym spotkaniu i ta znajomość zupełnie zmieniła moje życie.

Aldo pracował na budowie jednego z apartamentowców w Marinie. W czasie słynnego kryzysu w dwa tysiące ósmym roku firma, która go wznosiła, jak wiele innych zbankrutowała i jak większość w takiej sytuacji porzuciła swoich pracowników bez środków do życia w oczekiwaniu, aż władze zarządzą ich deportację. Aldo jednak nie miał zamiaru na nią czekać. Nie chciał wracać na Filipiny, nie miał do kogo. Był sierotą, jego rodzeństwo poumierło z biedy, dwójka zginęła w wyniku tsunami. Powrót do kraju oznaczałby dla niego brak pracy, a w Dubaju było jej pod dostatkiem.

Jak wielu innych w tym czasie podjął decyzję o wejściu do szarej strefy. Uciekł z obozu i zniknął dla dubajskiego systemu. Nikt go nawet nie szukał. W tym okresie było to tak powszechne, że władze musiały kilkakrotnie ogłaszać amnestię dla tych, którzy pozostawali w Dubaju nielegalnie, obiecując im odstąpienie od wszelkich konsekwencji prawnych

i rozpatrzenie ponownego wniosku wizowego, a przynajmniej opłacenie kosztów powrotu do kraju pochodzenia, byle tylko im to zgłosić.

Aldo nie miał zamiaru tego robić. Miał zupełnie inny plan, a ja byłam jego częścią. Kiedy tylko zniknął z obozu i znalazł nowe miejsce do mieszkania, zaczął przychodzić pod klinikę, w której kiedyś był badany. Czekał na mnie. Kiedy wreszcie zdobył się na odwagę i mnie zaczepił, byłam bardzo zaskoczona, ale że był Filipińczykiem, tak jak ja, zaczęliśmy rozmowę. Od razu powiedział mi, że mnie pamięta sprzed prawie trzech lat.

– Wtedy się wstydzilem, ale próbowałem z tobą flirtować. Nie reagowałaś. Pewnie takich *creepów* jak ja spotykałaś codziennie wielu – żartował.

– Nie mam czasu na rozmowy w pracy – odpowiedziałam profesjonalnie i zgodnie z prawdą. – Sam pewnie widziałeś, ile osób przyjeżdża do nas na badania.

– Tak, wiem... Miałaś ogromne kolejki, ale już wtedy byłem zazdrosny o każdego z tych facetów.

– Zazdrosny? – zdziwiłam się.

– Tak, bo jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam.

Wiem, że to głupie, ale zdobył mnie tymi słowami. I nawet nie chodzi o sam komplement, a o to, że po tylu latach mnie pamiętał i gdy tylko uwolnił się od kontraktu, który nie pozwalał mu na budowanie jakichkolwiek relacji, swoje pierwsze kroki skierował właśnie do mnie.

Ten wieczór spędziliśmy razem, a potem wiele, wiele kolejnych... I do dziś spędzamy je razem, choć obawiam się, że nie zostało nam już ich wiele.

Aldo nie miał tyle szczęścia co ja. Został przehandlowany przez agencję za wszystko, co miał. Wyjeżdżając z Filipin, sprzedał każdą należącą do siebie rzecz i uzbierał nieco ponad dwa tysiące dolarów. Dokładnie tyle żądano wtedy za pomoc w znalezieniu pracy i zdobyciu wizy od większości Filipińczyków, którzy chcieli wyjechać do Dubaju. Katar był nieco tańszy, a za Arabię Saudyjską brano połowę tej stawki, ale wszyscy chcieli zarabiać w mieście ze złota, diamentów i platyny. Mimo że ludzie wydawali na tę wycieczkę oszczędności swojego życia, wpadali w system *kafala* i stawali się jego niewolnikami. Oczywiście wszystko za sprawą święcie

przestrzeganej zmowy milczenia, która nie pozwalała uświadamiać nowych ofiar, czym tak naprawdę jest *kafala*.

Ja też przyjechałam do Dubaju na jej mocy i jestem przykładem tego, że wszystko zależy od pracodawcy. Mój nigdy mnie nie wykorzystywał. Przeciwnie, biorąc pod uwagę fakt, że przez lata zarabiałam podwójnie, bo przecież dostawałam dodatkowe pieniądze za przymykanie oka na stan zdrowia badanych pracowników, to ja wykorzystywałam system. Ale są zawody, w których sto procent pracowników staje się ofiarami wykorzystywania. I nie ma wyjątków. Robotnicy budowlani zdecydowanie wysuwają się na tej liście na prowadzenie.

W obozie, w którym mieszkał Aldo, panowały potworne warunki. Przede wszystkim były tam kłopoty z wentylacją, bo pokoje często były pełne dymu pochodzącego z pieca w komunalnej kuchni. Obok kilku kuchenek gazowych był tam też piec z dużą płytą, opalany drewnem. Ułatwiał życie głodnym, bo pozwalał wielu osobom na gotowanie w tym samym czasie, ale mocno utrudniał je tym, którzy chcieli oddychać. Robotnicy wielokrotnie zgłaszali problem, ale zawsze ich zbywano. Skarżyli się na bóle głowy, wymioty, ale te też były lekceważone, a związku z dymem jakby nikt nie widział. Nie pozostawało im nic innego, jak tylko przyzwyczać się do tej sytuacji jak do wielu innych.

Aldo jest prawdziwym artystą. Na budowach zajmował się kafelkowaniem wewnątrz, a jego wrodzona wrażliwość na detale sprawiała, że często słyszał słowa uznania, co na dubajskich budowach wcale nie jest normą. Kiedy zrodził się w jego głowie pomysł, by uciec i zacząć życie poza prawem, liczył, że właśnie dzięki swojemu talentowi będzie w stanie się utrzymać. I choć początki były trudne, okazało się to strzałem w dziesiątkę.

Choć gros mieszkań budowanych w Dubaju oddawanych jest w standardzie pod klucz, czyli są gotowe do wprowadzenia, większość wykończona jest tak, że wymagający klienci rozpoczynają od wjechania do nich walcem i usunięcia wszystkich elementów wykończenia. Ekipy remontowe mają wtedy spore pole do popisu. Zwłaszcza gdy dysponują tak zdolnymi pracownikami jak Aldo.

Choć pracował na czarno, jego sława sprawiała, że miał pełne ręce roboty. Niestety w miejscu takim jak Dubaj ludzie jego pokroju zawsze będą zagrożeni wykorzystaniem. Zdarzali się bardzo bogaci klienci, u których

pracował za darmo. Kiedy przychodził czas rozliczeń, słyszał, że nie dostanie pieniędzy, bo pracuje nielegalnie. Straszili, że zgłoszą to władzom, co sprawiało, że Aldo od razu zniknął, nie prosząc o zapłatę. Za każdym razem drżał o to, czy jego praca zostanie opłacona, ale o zaliczkach w jego przypadku nie mogło być mowy. Nikt nie zaufałby przecież komuś, kto pracuje poza prawem, bo pewnie bez skrupułów mógłby je złamać i zniknąć z pieniędzmi.

Wiedzieliśmy, że nigdy nie będziemy mogli wziąć formalnego ślubu, bo w Dubaju nikt nam go nie udzieli, a Aldo nie może wrócić na Filipiny, ponieważ dostałby dożywotni zakaz wjazdu do Emiratów. Dlatego kilka lat temu urządziliśmy sobie prywatny ślub. Taki nieformalny, ale chcieliśmy to zrobić dla przyjaciół i znajomych. Dobrze nam się żyje. Aldo zarabia na tyle dużo, by stać nas było na wynajmowanie mieszkania. Ja mam legalną pracę, więc wszystkie formalne rzeczy jestem w stanie załatwić dla nas dwojga, co miało na przykład ogromne znaczenie w czasie pandemii, gdy obostrzenia pozwalały na robienie zakupów w określonym czasie jedynie rezydentom i obywatelom.

I tylko martwię się, że to wkrótce może się skończyć...

Jenny już się nie uśmiecha. Przerywa swoją opowieść, walcząc o to, by łzy nie spłynęły po jej policzkach, ale to się nie udaje.

– Nie musisz kończyć... – mówię, choć bardzo chcę, żeby opowiadała dalej.

– Niedługo mam samolot.

– Mówiłaś, że lecisz do mamy...?

– Tak, umiera. Moja siostra dzwoniła, że jej stan jest bardzo poważny. Nawet nie wiem, czy zdążę ją jeszcze zobaczyć żywą.

– Musisz wierzyć, że zdążysz. Na pewno...

– To i tak jej nie uratuje. Nic już jej nie uratuje...

– Ale przynajmniej powiesz jej, jak bardzo ją kochasz.

– Tylko jak tam polecę, mogę nigdy więcej nie zobaczyć Aldo.

– Boisz się, że nie wpuszczą cię z powrotem do Dubaju? – pytam zaskoczony.

Aldo kompletnie oszalał na moim punkcie. Bardzo chcieliśmy mieć dzieci, ale tutaj to też nie wchodziło w grę. Musiałby się ujawnić jako ojciec, w przeciwnym razie poszłabym do więzienia za seks pozamałżeński. Wiedzieliśmy więc, że nasza miłość będzie musiała nam wystarczyć. Może to i lepiej. Nie wiem, czy bylibyśmy w stanie zapewnić im przyszłość, na jaką zasługuje każdy dzieciak. Nieszczęśliwych dzieci jest na tym świecie zdecydowanie za dużo.

Już kiedy go poznałam, Aldo miał zachrypnięty głos. Niski, bardzo męski, a chrypka tylko dodawała mu charakteru. Nie pomyślałam wtedy, że może też być zwiastunem czegoś bardzo poważnego. Kiedy kaszłał, zawsze mówił, że to od pyłu i że musi po pracy wyrzucić go z siebie, ale kiedy doszły do tego duszności i kłopoty z oddychaniem, zaczęłam się poważnie niepokoić.

Wykorzystując swoje znajomości w klinice, zrobiłam mu badania i poprosiłam znajomego lekarza, by je zinterpretował. Ich wynik złamał mi serce. Aldo ma zaawansowanego raka płuc, a jego stan pogarsza się z tygodnia na tydzień. Nie może pójść do szpitala, bo to byłoby równoznaczne z deportacją, a jeśli do niej doszłoby, z pewnością umrze bez opieki i w samotności.

Codziennie się modlę, by Bóg go oszczędził, ale boję się, że nawet on nie będzie mógł tego zrobić. Wiem, jak bardzo poważny jest jego stan. Obiecał mi, że na mnie poczeka, zresztą to on kazał mi lecieć do mamy. Nie wiedziałam, co zrobić. Nadal nie wiem. Kocham mamę, bardzo chcę ją jeszcze zobaczyć, ale mam nadzieję, że gdy wrócę, będę mogła się przytulić do swojego ukochanego Aldo. Tak czy inaczej, wkrótce zostanę sama. A wszystko przez to, że ludzie tacy jak on są z miejsca wyrzucani poza nawias.

Wiem, że jego choroba to wina tego koszmarnego pieca w obozie i ciężkiej pracy w pyłe, i biedy... I tego, że jako niewolnik, który urwał się ze smyczy, nie zasługuje na to, by choć spróbować ratować jego życie.

Epilog

Mechanizm zniewalania ludzi niemal zawsze jest taki sam. Handlarze niewolnikami dobrze go znają. Trzeba na cel obrać tych, którzy są w trudnej sytuacji życiowej, obiecać im poprawę warunków albo wręcz świetlaną przyszłość. Aby złapani nie byli w stanie się wyplątać z sidła, trzeba ich zastraszyć albo związać ze sobą, najczęściej fikcyjnym długiem, który muszą spłacić, by odzyskać wolność. Ofiary muszą widzieć dwie klarowne drogi – tę, którą podążą do wolności i sukcesu, oraz tę, która może się dla nich zakończyć tragicznie.

Ten obrzydliwy proceder bazuje na bardzo pierwotnych instynktach. Wszyscy, niezależnie od tego, na jakim poziomie żyjemy, chcemy, by to życie miało jak najlepszą jakość. Handlarze dobrze to wiedzą i opowieść o przyszłości zawsze dopasowują do tego, kto ma ją usłyszeć. Dziewczyny marzące o luksusowej egzystencji pod palmami dostają historię arabskich księżniczek. Biedne pokojówki, które muszą zarobić na jedzenie dla swoich dzieci, słyszą obietnicę, że malcy nigdy już nie będą głodni. Młodych chłopców rekrutowanych do pracy na budowach kusi wizja, że jak zarobią na studia, zamiast budować budynki, będą je projektować. Każdy usłyszy to, co najpiękniej zagra mu w duszy. A potem idzie za tą melodią.

Kiedy napisałem swoją pierwszą książkę, byłem przekonany, że będzie zarazem ostatnią. Przecież raczej nie ma szans, by arabski książę znowu zaprosił mnie na wywiad, a ja nie będę w stanie znaleźć kolejnego, równie ekscytującego tematu, myślałem. I właśnie wtedy rozwiązał się worek... Napisało do mnie wiele osób z własnymi historiami, zacząłem z nimi rozmawiać i okazało się, że to dopiero początek przygody. Na strony książek trafiły historie stewardesy Ani i surogatki Oli, pomysł na książkę o uciekających dubajskich księżniczkach zmienił się w opowieść o księżniczkach... tyle że tych zaginionych, saudyjskich. Udało mi się też zrealizować temat o tajemnicach hoteli w Dubaju. W kolejce zaczęli się

ustawiać nowi bohaterowie, a w mojej głowie pojawiały się kolejne tematy. I wtedy zdałem sobie sprawę, że te najnowsze, choć bardzo się od siebie różnią, mają jedną wspólną cechę – wszystkie dotyczą zniewolenia i handlu ludźmi. Problemu, który w naszych czasach wydaje się kuriozalny, ale nadal niestety jest bardzo aktualny.

Dane na temat handlu ludźmi we współczesnym świecie są zatrważające. Nawet nie ma sensu bawić się liczbami, bo każda z nich obarczona jest błędem. Większości przypadków nie ujmują żadne statystyki. Ofiarami handlarzy najczęściej padają ludzie biedni, zdesperowani i słabi, często naiwni marzyciele, ale jak się okazuje, tak naprawdę nikt nie jest do końca bezpieczny. Ten proceder ma miejsce na każdym kontynencie i dotyka niemal każdej nacji, jednak są miejsca, takie właśnie jak bogate kraje Zatoki Perskiej, w których nie wywołuje on zbyt dużych wyrzutów sumienia ani głosów oburzenia. Jest wręcz często broniony i uzasadniany kulturowo bądź religijnie. To właśnie najbardziej poraża mnie w opowieściach bohaterów tych książek. Jeszcze bardziej jednak oburza podejście tych, którzy z krajów arabskich zrobili sobie rynek zbytu, tworząc niezwykle kreatywne biznesy. Wyzyskują w nich nie tylko ludzi, którzy wpadli w ich ręce bezpośrednio, ale często całe ich rodziny.

Wiem, można pomyśleć, że to dla nas bardzo odległy problem, ale prawda jest taka, że nawet jeśli coś nas bezpośrednio nie dotyka, wcale nie oznacza, że nas nie dotyczy. Jesteśmy ludźmi i zawsze powinniśmy się sprzeciwiać nieludzkiemu traktowaniu innych ludzi, nawet jeśli dzieje się to tysiące kilometrów od naszego kraju, nawet jeśli za granicą, za zasiekami, za murem.

Jest w tych historiach wiele bólu, smutku i cierpienia, ale najgorsza jest bezsilność. Czasami doprowadza mnie ona do wściekłości. Chce mi się krzyczeć. Pytanie, jak to jest możliwe dziś, w XXI wieku, nie opuszcza mnie nawet na krok. I właśnie dlatego zdecydowałem się stworzyć tę serię. Dziś jeszcze nie wiem, czy znajdę na nie odpowiedź. Nie mam na to zbyt wielkich nadziei, ale mogę zrobić jedno – dać głos tym, którzy zostali go brutalnie pozbawieni. I wierzę, że Wy poniesiecie go dalej.

Spis treści

Prolog

CZEŚĆ I. PROSTYTUCJA

ROZDZIAŁ 1. Hotel Moskwa

ROZDZIAŁ 2. Shabin

ROZDZIAŁ 3. Towar

ROZDZIAŁ 4. Indra

ROZDZIAŁ 5. Porta Potty

ROZDZIAŁ 6. Abd

CZEŚĆ II. SŁUŻBA

ROZDZIAŁ 7. Event

ROZDZIAŁ 8. Kuwejt

ROZDZIAŁ 9. Pralnia

ROZDZIAŁ 10. Luwak

ROZDZIAŁ 11. Sibir

ROZDZIAŁ 12. Bejrut

CZEŚĆ III. ROBOTNICY

ROZDZIAŁ 13. Wdowa

ROZDZIAŁ 14. Ishan

ROZDZIAŁ 15. Mukhadam

ROZDZIAŁ 16. Agenci

ROZDZIAŁ 17. Rekrutacja

ROZDZIAŁ 18. Aldo

Epilog